

metrum



1988

5

W NUMERZE:

Rozmowy z Tadeuszem Konwickim i Janem Kelusem • Teoria i praktyka surrealizmu socjalistycznego: teksty Waldemara "Majora" Frydrycha • Wiersze: Zbigniew Herbert, Iwona Pokora • Proza: Cezary Kaźmierczak • Marian Zdziechowski - Legiony a sprawa polska • Galeria "Metrum" - Mirosław Andrzejewski •

OSWIADCZENIE

W chwili, gdy zachwycamy się kolejnymi prasowymi publikacjami markującymi "pieriestrojkę", w więzieniach PRL nadal przebywają więźniowie polityczni. Za kratami przebywają m.in. przywódcy "Solidarności Walczącej": Konrad Mazowiecki, Andrzej Kołodziej, działacze "S" jak np. Bogusław Szybalski, Sławomir Dudkiewicz i inni uczestnicy ruchu "Wolność i Pokój" więzieni za odmowę złożenia przysięgi lub służby wojskowej.

Intencje oraz postępowanie władz nas nie zaskakują - reżim przez cały czas swego istnienia dał wystarczające dowody co do swojej tożsamości i zamiarów. Dziwi nas natomiast postawa kierownictwa "S", które zdaje się owego problemu nie dostrzegać. Więcej, można wysunąć uzasadnione zarzuty, że mamy do czynienia z bojkotem osób aktualnie więzionych, które wcześniej znajdowały się w merytorycznym konflikcie z elitą opozycji.

Nakierowana na porozumienie z reżimem polityka władz Związku powoduje zagubienie w swojej istniałości pojedynczych ludzi.

Wzywamy osoby mające autorytet w świecie oraz dostęp do zachodnich środków masowego przekazu do zajęcia jasnego i zdecydowanego stanowiska w sprawie więźniów politycznych i wywierania nacisku w sprawie ich uwolnienia.

Redakcja

metrum



nr 5

Warszawa - Siedlce

1988

S P I S T R E S C I

2 Oświadczenie redakcji

ROZMOWY METRUM

5 Zawsze trzymałem się z boku. Rozmowa
z Tadeuszem Konwickim

8 Trzeba wiedzieć kiedy przestać. Rozmowa
z Janem Krzysztofem Kelusem

TEORIA I PRAKTYKA SURREALIZMU SOCJALISTYCZNEGO

Cezary Kaźmierczak 15 Świeże jaja

Waldemar M. Frydrych 18 Manifest surrealizmu socjalistycznego

20 Referendum

22 Wigilia rewolucji

25 Melon w majonezie

POEZJA

Zbigniew Herbert 27 Wiersze

Iwona Pokora 30 Wiersze

PROZA

Cezary Kaźmierczak 33 Cios Apolla

36 Dzieci Bopa

LEKTURY OBOWIĄZKOWE

Marian Zdziechowski 40 Legiony a sprawa polska

NRD WCZORAJ I DZIS

Kacper S. Krzymowski 50 NRD dzisiaj

52 Berlin 1953

ARCHIWUM

Przemysław L. Maksymiuk 55 Postawy Polaków w okresie zaborów

PÓŁKA METRUM

Piotr Gazda 62 Nieobecny współmieszkaniec

Antoni Korwin 66 Żmud kultury, żmud pamięci...

Bogdan Usowicz 68 Wychodzenie na światło

GALERIA METRUM

| | | |
|-----------------------|----|---------------------------------|
| Wirosław Andrzejewski | 71 | Przegląd Wiadomości Rysunkowych |
| | 75 | Wieża Babel |
| | 83 | Wiadomości powiatowe |
| | 86 | Poczta Metrum |

Pismo jest kontynuacją gazetki o tej samej nazwie, która w latach 1983-1986 ukazywała się jako dwutygodnik. Wydano 63 numery.

Redaguje zespół. Numer zamknięto w kwietniu 1988 r.

Copyright by "Metrum"

wydawnictwo
metrum 

Metrum dziękuje "Kontaktowi" za 500 FF.

Dotacja PWiW

Zawsze trzymałem się z boku

ROZMOWA Z TADEUSZEM KONWICKIM

- Ostatnio strona reżimowa kieruje do literatów pozostających poza oficjalnym ZLP wezwana do "pojednania" czyli mówiąc po polsku do zaprzestania bojkotu neoZLP. Mówi o tym m.in. ogłoszony w "Życiu Literackim" tekst Bogusława Kundy, w podobnym duchu wypowiedzieli się Wojciech Żukrowski w "Polityce" oraz Aleksander Minkowski w "Trybunie Ludu". Co pan o tym sądzi? Czy w ogóle pisarzowi jest potrzebna przynależność do jakiegoś związku?

- Nie wszystkim. Istnieje taki typ charakterologiczny literata, który ma tzw. instynkty społeczne. Ci koledzy chcą mieć jakąś swoją organizację, która spełniałaby funkcje socjalno-towarzyskie i myślę, że nie zamierzaliby tworzyć jakiejś organizacji o charakterze ideologicznym. Ja do takich nie należę, zawsze trzymałem się z boku ponieważ wynika to z mojej natury.

Związek, który byśmy nazwali reżimowy został powołany dla pewnej dekoracji politycznej. Ani mnie ani moich kolegów on nie interesuje. Jako przykład tego braku zainteresowania można przytoczyć fakt, że przez te lata prawie nikt nowy nie zapisał się do tego związku - przeciwnie słyszałem o wypadkach wystąpienia.

Ponadto sposób potraktowania starego związku: jego brutalne i arbitralne rozwijanie powoduje, że nikt uczciwy i rozumny raczej do niego nie wstąpi. Oczywiście ten nasz związek miał całą masę wad, sporo było w nim ludzi, którzy nie powinni się tam znaleźć. Zresztą sądzę, że przez to rozwiązanie nic takiego złego się nie stało, ponieważ ten związek przepadając ze swoimi wszystkimi zaszciościami, przypadkowymi ludźmi stworzył niejako szansę do utworzenia w odpowiedniej chwili związku składającego się z ludzi rzeczywiście coś w literaturze znaczących.

Oczywiście stamtąd dochodzą głosy "pojednowcze", tzn. głosy ludzi, którzy by pragnęli tych spoza neo-związku wciągnąć dla dodania prestiżu tej nieszczęsnej organizacji. Wiącej nawet widzę próby wmanewrowania ludzi, którzy nie należą do tej sfery przywiązkowej. Jeśli chodzi o mnie to tak traktuję próbę dania mi nagrody "Literacka premiera miesiąca" za powieść "Bohik". Ja oczywiście kategorycznie ją odrzuciłem. Ponieważ wiadomo, że nie jest to nagroda księgarzy tylko warszawskiego oddziału ZLP. Ja nagrody księgarzy nigdy bym nie odrzucił ponieważ uważam ich za swoich kolegów. Jedziemy na jednym wozie, nas wiele łączy i ja nie mógłbym się znaleźć impertynencko wobec nich. Ale ponieważ jest to nagroda aparatczyków rozumiem przyznanie mi jej jako próbę wmanipulowania mnie w jakieś towarzystwo związkowo-reżimowe. Sądzę, że inicjatywy te są skazane na niepowodzenie.

- Dlaczego zaczął pan publikować w obiegu oficjalnym? Czy nie uważa pan, że obecne rozluźnienie knebla może postawić pod znakiem zapytania sens dalszego istnienia drugiego obiegu?

- Uważam to pytanie za bezsensowne dlatego, że naturalnym na całym świecie jest choć drukowania w wydawnictwach działających na powierzchni. U nas drukowanie w podziemiu zostało wymuszone przez warunki cenzuralne. Pomijam imponowalność moralną ponieważ one mnie nie dotyczą gdyż ja zacząłem drukować w drugim obiegu z powodów cenzuralnych i gdy pojawiły się możliwości druku w obiegu oficjalnym

w większym nakładzie, bez usterek technicznych to po prostu z nich skorzystałem chcąc mieć większy kontakt z czytelnikami. Mój stosunek do obiegu niezależnego jest oczywiście jak najbardziej pozytywny. Sam w nim tkwiem 10 lat i uważam, że nawet teraz istnieje potrzeba jego działania gdyż jest cała masa tematów, których podjąć nie można. Myślę, że obieg ten będzie istniał do czasu aż cenzura się w ogóle wycofa a także nastąpi możliwość powstania pewnej ilości całkowicie niezależnych wydawnictw. Pierwsze próby powstania takich wydawnictw już rodzą się tu i ówdzie. Podobno jakaś frakcja NOWej usiłuje się zalegalizować.

- Swego czasu krążyły pogłoski, że ma wyjść oficjalnie "Mała apokalipsa". Czy jest to prawda? Czy nie obawia się pan, że dyżurni interpretatorzy uczynią pana książkę rzecznikiem sprawy, przeciw której została skierowana? Np. "słuszny protest przeciwko błędom i wypaczeniom, pierwiosnek pierestrojki, dowód na to, że jest wolność".

- Jestem na tyle w dobrej sytuacji, że nikt mi tego nie proponuje. Plotka o wydaniu "Małej apokalipsy" wzięła się stąd, że Bratny w jakimś wywiadzie w telewizji powiedział, iż uważa, że moje książki wydane w drugim obiegu powinny ukazać się oficjalnie. Ponadto minister Krawczuk na pytanie dziennikarza zachodniego na ten temat zrobił unik i powiedział, że on nie ma nic przeciw tej książce. Stąd się to wzięło. Gdyby to była prawda wówczas byłby to problem, ale tym czasem nikt mi nic nie proponuje.

- Co pan sądzi o Gorbaczowie? Błazen czy reformator?

- Ja czuję do niego sympatię. Cieszy mnie, że Rosja się ucziowiecza, powolotku podnosi się z szalonego dna ludzkiego. Każda najmniejsza zdobycz, którą oni tam z wielkim trudem zdobywają ma dla tego narodu olbrzymie znaczenie. Proszę zaznaczyć, że ja mówię o Rosji, a nie o Związku Radzieckim. Oczywiście myśląc o Gorbaczowie nie mogę nie myśleć "a co my z tego będziemy mieli, co my z tego mamy?" Mamy np. to, że władza, która w pewnym momencie pod względem ustępstw wobec społeczeństwa była przed ZSRR, aktualnie dała się wyprowadzić i jest poganiana przez wydarzenia, które mają tam miejsce. co nam to daje perspektywicznie? Powiem coś nietypowego. W ZSRR wszystko zrzuca się na system. Mnie się wydaje, że nie on jest grzechem pierworodnym. Jest nim spuścizna imperialna, spuścizna po państwie carów. W związku z tym myśląc o demokratyzacji Rosji zastanawiam się co będzie z doktryną imperialną, która przecież odkształca Rosjan. Jak można budować demokrację trzymając za pysk kilkanaście narodów?

- Zauważam w pana literaturze lęk przed nacjonalizmem. Czy nie uważa pan, że dla takich narodów jak np. Białorusini czy Ukraińcy tak intensywnie rusyfikowanych, nacjonalizm jest jedyną szansą zachowania tożsamości narodowej?

- Tutaj muszę powołać się na Lenina, co zapewne pana zdumieje. Ja go nie czytam, ale gdzieś przeczytałem, że nacjonalizm wielkich narodów jest niebezpieczny i o wiele groźniejszy od nacjonalizmu małych narodów. Najczęściej wynika on z fatalnej sytuacji historycznej i losowej. W takiej właśnie sytuacji są narody, o których pan wspominał i jest to rzeczywiście jedyna dla nich szansa zachowania tożsamości.

- Czy nie obawia się pan zatem, że gdyby dano narodom okupowanym aktualnie przez ZSRR niepodległość nastąpiłaby tam rzeź?

- Mówi pan jak członek Biura Politycznego KPZR... Myślę, że nie powinniśmy o tym mówić ponieważ zawsze będzie to hamulcem dla tych wszystkich dążeń niepodległościowych. Od straszania są inni. Dlaczego ja mam przewidywać rzeź, kiedy ja mogę przypuszczać symbiozę i dobrą współpracę między tymi narodami. Dążność do terroru, do rzezi, do mordu wynika z rozpacz, z sytuacji ekstremalnych. Utedy, gdy zagłada im w oczy widmo zagłady. Na przykład nad stosunkami między Polakami i Rosjanami wisi chmura gradowa. Myślę o strasznej zbrodni w Katyniu. Sądzę, że szczerze i prawdziwie wyjaśnienie tej sprawy do końca, niezwykle by

wypogodziło stosunki polsko-rosyjskie.

- W dwóch ostatnich książkach zarzekał się pan, że nic więcej już nie napisze. Każe się pan nawet bić na ulicach w przypadku złamania przyrzeczenia. Sądzę, że te pogrózki nie są li tylko literackim chwytym... Czy pisze pan coś aktualnie?

- Nic nie piszę i na razie nie zamierzam. Mam pewne nadzieje na nakręcenie "Dziadów" i tylko o tym myślę. Jest to strasznie ryzykowne, a dla mnie może nawet katastrofalne przedsięwzięcie. W zasadzie jedyny z tego pożytek, że nie muszę pisać tych przaklętych powieści. Zastanawiam się czy ta moja apatia beletrysty nie bierze się z jakichś głębszych przyczyn, z ogólnego kryzysu słowa pisanego w Polsce i na świecie. Słowo stało się śmieciem, monetą tysiąc razy fałszowaną, słowo straciło swoje znaczenie, jest nadużywane, wygłupione, słowo jest ośmieszona.

Wśród ludzi posługujących się słowem rodzi się do niego sceptycyzm podobnie zresztą jak u czytających. Najlepiej jeszcze słowo funkcjonuje w kategoriach sanitarnych, jako pielęgniarz, usypiacz, głaskacz umęczonej świadomości zmęczonego współczesnego człowieka po prostu w literaturze rozrywkowej, do której nikt nie przywiązuje żadnej wagi wyższego rzędu łącznie z piszącym, który chce zarobić i zabawić doradźnie publiczność, uspokoić po ciężkim dniu pracy, pozwolić mu szybko zasnąć. Być może jeszcze bardziej istotne erozje dręczą literaturę. Myślę o literaturze faktu, która ma tę przewagę, że wydobywa i podnosi konkretnego człowieka. Wszyscy mamy przecież kompleks anonimowości, że jest nas 5 miliardów, że ginimy, przepadamy. Literatura faktu, która teraz pyszni się swoim wzięciem, też przeżywa koniunkturę, być może chwilową. Poza tym formy artystyczne dość szybko i tajemniczo się zmieniają i często tzw. artyści w ogóle nie wiedzą co się dzieje. Ja piszę, ale nie chce mi się i nie mam ambicji być modniem i z rozbiegany wzrokiem patrzeć co idzie albo co pójdzie za 10 lat. Zresztą te interwały młodych, rytmy upodobań są tek szybkie, że nawet najbardziej wychytrzony artysta, który chciałby być modnym nie jest w stanie tego przewidzieć, bo zanim to, co sobie wyobraził, że za rok dwa będzie modne i przygotowuje swój paszтет, może się już całkowicie okazać nieaktualne. Ideal tej demokracji na Zachodzie, gdzie szanuje się prawa osoby ludzkiej, gdzie jest demokracja parlamentarna i wolna konkurencja i na tzw. rynku silniejszy zwycięża, w gruncie rzeczy dla literata nie jest przychylny. My, tak z oddali kibicując temu modelowi, w zasadzie podcinamy gałąź, na której siedzimy. Dlatego, że na Zachodzie z czytaniem jest bardzo słabo, zresztą powiedzmy sobie otwarcie: tam jest beznadziejnie, tam nikt nie czyta, bo nie ma czasu. Pracuje od 9 do 18-iej z przerwą na lunch, wraca do domu i je, popatrzy trochę na telewizję i idzie spać. Ponadto troszka o swoją kondycję fizyczną: chce trochę pobiegać, pojechać na narty, wyjechać gdzieś. Chce być w towarzystwie, żeby nie wypaść, żeby być obecnym na swoim rynku towarzysko-zawodowym. Ten konsument jest ogłupiały, skołatany tym rytmem życia i zainteresować go może tylko jakaś niezwykła sensacja. Ten rynek przy pomocy środków masowego przekazu, tworzenia koniunktur, korzystania z nich, musi po prostu wpełznąć brutalnie dzieło na tę giełdę artystyczną. My ze swoim ideałem artysty szlachetnego, który lekko dba o swoją popularność, wadzi się z Bogiem i realizuje własny wizerunek świata, nie mamy tam żadnego szans. Dziś artysta, który jest chory na gruźlicę, chodzi w pelerynie i mieszka na mansardzie, jest w ogóle śmieszny. Dziś artysta jeździ w Rolls-royse i ma parę willi na całym świecie. Dziś jest modny model artysty z powodzeniem, wielkim kontem bankowym. Segal, autor "Love story" po paru latach latał własnym samolotem - to jest dzisiaj model artysty a nie, załóżmy, model Kafki schorowanego, zmęczonego, obarczonego tysiącami kompleksów i neurastenią.

- Wspomniał pan, że zamierza nakręcić "Dziady"...

- Popadłem w związku z tym w taki "rozrok" psychologiczno-ekonomiczny. Zespoły filmowe uzyskały teraz samodzielność pod każdym względem oczywiście pod pewną kontrolą ideologiczną i nie jestem pewien czy ona wyjdzie na dobre tym zespołom. Ponieważ będąc w jakiś sposób finansowo odpowiedzialne za swoją działalność, będą musiały myśleć o gotówce... Kręcenie filmów komercyjnych

czy erotyczno-obyczajowych daje szansę, że te zespoły nie padną po roku. Dlatego takie przedsięwzięcia jak "Dziady" - kosztowne a bez żadnej gwarancji szerezej widowni i bez praktycznie szans przebicia się na świat - są niesłychanie ryzykowne. Mimo więc życzliwości zespołu nie mam żadnej gwarancji, że stanę za kamerą. Gdyby wszystko ułożyło się pomyślnie, to na przełomie lata i jesieni chciałbym zacząć zdjęcia.

- Dlaczego nie chciał pan być jednym z rozmówców Jacka Trznadla, które następnie zostały pomieszczone w książce "Hańba domowa"?

- Odmówiłem ponieważ byłem świeżo po rozmowach ze Stanisławem Nowickim, z których powstała książka "Pół wieku czysóca" i tam zeznałem wszystko co miałem do powiedzenia na temat swojego udziału w socrealizmie. Zresztą wypowiadałem się na ten temat już tysiąc razy i nawet pierwszy w Polsce w "Kalendarzu i klepsydrze", podjąłem ten smutny temat. Jestem człowiekiem niecierpliwym. Mam już dość, znudziło mnie to. Uważam, że już się wypowiadałem. Każdy może sobie przeczytać.

- Był pan właśnie na spotkaniu w Siedlcach i w związku z tym mam do pana dwa pytania. Dlaczego odmówił pan udzielenia wywiadu dla "Tygodnika Siedleckiego" oraz jak pan ocenia przebieg spotkania?

- Mnie w ogóle znudziły wywiady. Udzielam ich w wyjątkowych przypadkach. Ostatnio dla "Odry" ze względu, że mój rodak Wilnianin to redaguje, jest to bardzo przyzwoite pismo a pani Sawicka jest moją znajomą i w dodatku sąsiadką. Po prostu pewne układy i sympatie czasami skłaniają mnie do tego, ale na ogół unikam. Nie chcę stać się literatem prowadzącym działalność literacką a nie piszącym książki. Tym bardziej, że wciąż mnie wszyscy atakują i usiłują namówić do gadania. Jeżeli chodzi o spotkanie w Siedlcach, to było to jedno z sympatyczniejszych spotkań. Dlaczego? Dlatego, że bardzo często takie spotkania są nieudane przez gadulstwo zebranych, którzy korzystają z okazji, żeby sobie pogadać i swoją prywatną logoręą prezentują zebranych, którzy przyszli posłuchać autora. Bardzo często na takich spotkaniach ludzie delikatni, ludzie mądrzy, którzy mają coś do powiedzenia milczą, bo uważają, że wszystko jest wiadome - chcą tylko popatrzeć po prostu na autora. Wtedy takie spotkanie jest polem do popisu dla ludzi nie zawsze rozumnych i taktownych, którzy lubią się popisać sami. Spotkanie w Siedlcach było na szczęście wolne od tych ułomności. Była niezła frekwencja i w ogóle sympatyczna atmosfera.

- Dziękuję za rozmowę.

Trzeba wiedzieć kiedy przestać

ROZMOWA Z JANEM KRZYSZTOFEM KELUSEM

J.K. Kelus - ur. 1942 r. Studiował prawo i socjologię. W 1979 r. obronił pracę doktorską z socjologii. W latach 1968-70 spędził 9 miesięcy w więzieniu w sprawie tzw. "taterników" /przemyt wydawnictw emigracyjnych do Polski

przez granicę z Czechosłowacją/. Autor popularnych ballad i songów. W 1962 roku internowany. Aktualnie prowadzi firmę "Kelus Sikorska. Produkty słodkie i gorzkie. Miód - kit - piosenki".

J.K. Kelus: Zanim zacząłem śpiewać bardzo dużo słuchałem śpiewu innych ludzi, z dwóch różnych stron świata. Strasznie dużo słuchałem wówczas amerykańskiego folk songu, głównie Woody Guthrie'go. Widzę, że wzruszasz ramionami. Nie kojarzy ci się z niczym nazwisko Woody Guthrie? Był to taki bardzo dziwny prymityw. Terminował u niego sam Bob Dylan, który uważał go za swojego mistrza. Guthrie zaczął śpiewać w końcu lat 30-tych. Śpiewał prostym, zwykłym głosem, grał na gitarze nadzwyczaj prymitywnie, a mimo to stał się znaczącą postacią w życiu kulturalnym Ameryki. Był uchodzącą z Oklahomy i dla migrantów stamtąd śpiewał ballady, takie steinbeckowskie "grona gniewu". Po występie w jakiejś śmiesznej kalifornijskiej rozgłośni pewien słuchacz radiowy napisał do niego: "Brawo Woody! wczoraj zupełnie czysto złapałeś G-dur". Guthriemu zawdzięczam przekonanie, że aby opowiedzieć się śpiewaniem nie trzeba mieć tzw. głosu oraz iż niekoniecznie trzeba być wirtuozem w grze na gitarze. Pamiętam, że gdy usłyszałem "Dust bowl ballads" byłem zafascynowany - zrozumiałem więcej niż po lekturze Steinbecka. Drugim źródłem mojej fascynacji byli Rosjanie. W pewnym okresie ludzie zaczęli przywozić z Rosji taśmy, przysyły jakiegoś głosu "stamtąd", głosi żywych ludzi. Ja jeszcze wówczas nie rozróżniałem kto jest kto, który to Wysocki, który Galicz. Siedzieliśmy nad tym całymi dniami i odcyfrowywaliśmy słowa, ponieważ nagrania były fatalnej jakości technicznej. To, co z tych taśm usłyszałem, było dla mnie wstrząsem. Ja o łagrach nauczyłem się z tych taśm, a nie z Sołżenicyna. Dla mnie twórczość Rosjan miała olbrzymie znaczenie. Znowu zrozumiałem, dla mnie twórczość Rosjan miała olbrzymie znaczenie. Piosenki, których słuchałem, były niesamowicie autentyczne. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, że ten głos, który doszedł do mnie z tak odległego świata może kłamać. Czuję w tym przejmującą prawdę. Ten środek przekazu był dla mnie znacznie bardziej wiarygodny niż np. fotografie czy literatura. Potem jeszcze przysłyły wydarzenia w Czechosłowacji i 19-letni chłopak, który to opowiedział śpiewem. Był nim Karel Kryl.

- Szczerze mówiąc trudno mi dopatrzeć się wpływow rosyjskich w twojej twórczości, bardziej już Guthrie'go. Jednakże twoją surowość i oszczędność w dozowaniu środków widziałem raczej jako zabieg artystyczny mający na celu również - obok słów - mówić o rzeczywistości, w której przyszło nam żyć, o monotonii, szarości realnego socjalizmu.

- Ja uważam, że sztuka jest w ogóle jednym wielkim maipowaniem. Jeśli potrafisz dodać odrobinę swojego to i tak jest to bardzo dużo. Sztuka jest ogromnym ciągiem ludzkich zapożyczeń. Ja mogę dokładnie powiedzieć, co w moim śpiewaniu jest zapożyczeniem od kogo, często wręcz na granicy plagiatu. Jeśli chodzi o Rosjan to np. w mojej wczesnej balladzie "Piosenka o morzu" występuje takie proste uderzenie a - moll - jest to typowy rosyjski zaśpiew.

- "Piosenka o morzu" powstała w pudle?

- Tak, na Rakowieckiej. Przed zamknięciem bardzo dużo grałem. Głównie Rosjan. Ponadto zrobiłem trochę melodii do wierszy Wojciechowskiego. Śpiewałem dla masy ludzi, którzy przychodzili do mojego domu, grałem na łodziach żaglowych, w schroniskach... Mimo, że siedziałem tam w końcu niedługo /9 m-cy/ bardzo odczułem brak gitary.

- Później zacząłeś nagrywać własne piosenki.

- Nie było to tak zupełnie później. Dwie moje pierwsze piosenki, które ułożyłem w więzieniu, właśnie "Piosenkę o morzu" i "Balladę w tonacji g-moll", nagrałem zaraz po wyjściu na dość prymitywnym magnetofonie i one i się tak średnio podobały. Potem wymyśliłem "Różan", "O wuju historii i przypadku" i tych piosenek zbierało się coraz więcej. Działo się to wszystko we wczesnych latach gierkowskiej

prosperity, kiedy to zaczynaliśmy pracować zjadać 30 miliardów dolarów, gdy wydawało się, że wszystko jest cudownie. Muszę ci powiedzieć, że dla mnie prywatnie był to straszny okres. Czułem się osamotniony, wyobcowany, inny, jakby zawieszony w masie ludzi, którzy dążą w zupełnie innym kierunku niż ja. Trochę pomagali przyjaźnie. Blisko kolegowałem się z Jackiem Kleyffem, Michałem Tarkowskim, w ogóle z całą tą szajką "Salonu Niezależnych". Jeździłem z nimi na występy jako osoba towarzysząca. Zazwyczaj po spektaklu po prostu śpiewaliśmy dla ludzi prywatnie. Trwało to dość długo. Moich piosenek przybywało, aż w pewnym momencie miałem ich tyle, że przestałem śpiewać utwory innych autorów. Nagrywałem je na kasety domowym sposobem i rozdawałem ludziom, którzy to przegrywali. Potem gdy zaczął działać KOR, Tadeusz Walendowski zaproponował mi koncert w jego dużym domu. Wcześniej tam Jacek Kleyff, Walendowscy zarejestrowali ten koncert - jak to się wówczas mówiło - na "półprofesjonalnym" magnetofonie szpulowym i powiedzieli publiczności, że jeżeli ktoś chce sobie przegrać, to niech po prostu przyjdzie i to zrobi. Dowiedziałem się, że przyszły dwie osoby. Ludzie byli zabiegani, nie mieli czasu. Wówczas przyszło mi do głowy, że ludziom trzeba pomóc. Mojemu koledze Mirkowi Chojeckiemu przyszło do głowy, że można wydawać książki, a ja pomyślałem sobie, iż można także wydawać kasety. Nie było to wówczas takie oczywiste. Stalin dość skutecznie wybił ludziom z głowy takie pomysły. Odwlekiem o miesiąc termin mojego koncertu, aby się należycie przygotować i przy pomocy przyjaciela na bardzo prymitywnym sprzęcie nagrałem kasety ze swoimi piosenkami. Potem wymyśliłem, że kasety należy opakować, aby przypominała normalną. Koszulki zrobiłem metodą fotograficzną, pożyczylem pieniądze i kupilem - a jakże! - sto kaset. Oczywiście bardzo się bałem. Należy pamiętać, że wówczas poręczka tego co wolno a tego co nie stała w zupełnie innym miejscu niż obecnie. Obawiałem się czy czasami nie przesadzam. Siedzieć w domu i śpiewać dla znajomych to jeszcze pół biedy. Jeśli ktoś przyjdzie przegrać sobie moje piosenki, to także coś innego niż zrobić normalny towar na rynek. Przecież to naruszenie monopolu państwa! Obawiałem się, że może się to źle skończyć. Wymyśliłem sobie taką formułkę, która potem w różnych mutacjach przewija się na wszystkich moich kasetach: "Jako niezależny twórca działający poza państwowym monopolem rozrywkowym zastrzegam sobie prawa autorskie do zawartych na niniejszej kasecie tekstów i melodii". Jednocześnie zwracałem się do osób, które kopiały kasetę, aby przekazywały mi tytułem praw autorskich kwotę stu złotych /poza krajem 10 dolarów/. Adwokaci jeszcze bardziej nie wiedzieli co z tym zrobić. Ponadto czuli się odpowiedzialni za mnie - ja mogłem popełniać błędy, ale oni byli przecież fachowcami od prawa. Przede wszystkim więc mnie przestrzegali oraz odsyłali do wszystkich możliwych instytucji oficjalnych w rodzaju ZAIKS-u. Opowiadam o tym nie z megalomanią, lecz aby pokazać jak daleko zaszły sprawy. Dziś moje ówczesne problemy mogą wydawać się śmieszne, ale wówczas było zgoła przeciwnie... Niemniej zaśpiewałem i ku mojemu zdumieniu sprzedawałem wspomniane 100 kaset publiczności na koncercie na pniu. Było to dokładnie w 1977 roku, a więc wówczas, kiedy wyszły pierwsze książki NOWej. Wówczas odkryłem także pewną ważną prawdę handlową, która sprawdza się zarówno w przypadku sztuki jak i miodu. Mianowicie, że konsument w socjalizmie jest tak zdeprawowany, że towar musi być zawsze w pewnym niedoborze. Konsument ma głęboko zakodowane, że rzecz, którą można zwyczajnie kupić jest nic nie warta... Rzecz wartościowa to taka, za którą trzeba stać, nałazić się, kombinować... Dość konsekwentnie się tym posługuję. Wracając do piosenek... Po koncercie zgłosili się do mnie ludzie, którzy tam byli i zaproponowali zrobienie profesjonalnych nagrań. Zainwestowali w to masę bezinteresownej i serdecznej pracy. Ja strasznie się myliłem, odbyło się około 20-tu sesji nagrańowych, ale powstał z tego zupełnie przyzwoity materiał. Przykro, że nie mogę wymienić ich z nazwisk. Oprócz nagrania na krążku otrzymałem także taką "rozwiłtkę", która pozwalała z jednego magnetofonu szpulowego przegrywać na kilka kasetowych. Zacząłem kopiować to w domu przy pomocy żony... To była gehenna. Aby uzyskać jakiś przyzwoity standard - czyli względną słyszalność i zrozumiałość słów - trzeba się było okropnie namęczyć. Wszystko się psuło, rozpadało, zaczęliśmy pracować na 5 magnetofonach, a po całonocnej pracy zostawało 2 lub 3. Nakładów nie ujawniam...

- Przed Izbą Skarbową!

- Właśnie. Ale powiem, że w porównaniu z nakładami, które uzyskują obecnie znane mi firmy fonograficzne były to duże nakłady. To była nowość, ludzie chcieli mieć taką kasotę tak jak pierwsze książki NOWEJ. W pewnym momencie jednak "zapętlilo się". Każdy kto zajmował się kolportażem wie, że w pewnym momencie wyczerpuje się krąg znajomych i znajomych znajomych i jeśli nie wkroczy się na nowe obszary, zaczyna się tworzyć takie małe getto. Aby z tego wybrnąć odbyłem kilka wojaży artystycznych. Powstawały Studenckie Komitety Solidarności w Krakowie, Wrocławiu, w innych miastach. Mnie tam w naturalny sposób zapraszano. Ponadto raz na wariackich papierach wystąpiłem w "Pivnicy pod Baranami", zaś innym razem w jakimś klubie studenckim we Wrocławiu. Wyglądało to w ten sposób, że po prostu przyjeżdżałem, śpiewałem i sprzedawałem kasety. Często ktoś mi w tym pomagał, np. w "Pivnicy pod Baranami"... ks. Boniecki. Jednak w sumie tych koncertów, było bardzo mało.

- Byłeś wszystkim: autorem, kompozytorem, wykonawcą, menagerem, wytwórcą, dystrybutorem... Czy nie męczycie ciągle tego?

- Nawet bardzo. Sytuacja, w której po raz setny występuje się swojej piosence aby sprawdzić czy dobrze się nagrała, jest na dłuższą metę nie do zniesienia. Nie przypadkowo jedni ludzie śpiewają, a drudzy nagrywają ich śpiew. Żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie łączy tych dwóch rzeczy. Mnie od tego magrywania w ogóle znudziło się śpiewanie. Między 1977 a 1980 rokiem nie napisałem nic. Przez ten czas zrobiłem tylko to, że zaistniałem, bo właśnie wtedy szło to stało, a nie w żadnym Sierpniu. Załatanie nie jest przyjacielek twórczości, która bardzo źle znosi towarzystwo przewodów elektrycznych, pożyczania i odnoszenia magnetofonów, chodzenia po sklepach. Zresztą przecież ja mnie tylko tym się zajmowałem, robiłem mnóstwo innych rzeczy. Ponadto istnieje pewna dwuznaczność w propagowaniu i handlowaniu własną twórczością. W tradycyjnym podziale ról, kiedy wiadomo, gdzie się kończy autor a zaczyna wydawca sytuacja jest w miarę klarowna. W moim przypadku było nieco inaczej...

- Odważyłeś się po prostu grać na własny rachunek. Zresztą wówczas ze swoimi tekstami nie miałeś alternatywy...

- Niezupełnie. Alternatywę niby miałem, było nią przejście takiej samej drogi krzyżowej, którą przeszedł Jacek Kleyff. Awantury z cenzurą, z aparatem wykonawczym ZSP, który robił z ciebie piosenkarza albo nie... Dziś nieco inaczej patrzy się na tę instytucję... ale wtedy np. Jacek Kaczmarski zaistniał właśnie w tym układzie. Są różne drogi i Jacek wybrał właśnie taką i ja myślę, że wybrał bardzo dobrze. Pamiętam jak siedział u mnie na tym krześle i trzymał moją pierwszą kasotę w rękę. Zaproponowałem mu, że ludzie którzy mi to "skreśli" mogą zrobić to samo jemu. Nic nie powiedział. Po prostu wybrał śpiewanie na żywo, dla ludzi - bo było przecież oczywiste, że po wydaniu kasety w podziemiu mógłby do końca lat siedemdziesiątych śpiewać w zasadzie na urodzinach u Jacka Kuronia. A tak to zrobił szereg wspaniałych piosenek i śpiewał dla ileś tam razy szerszej widowni. Natomiast Jacka Kleyffa autentycznie zamęczyli. Pamiętam dokładnie jak chciał kiedyś zaśpiewać moją piosenkę "Różan", zaniósł ją do cenzury i cenzor przykleił się do niej do dwóch rzeczy: w 1946 roku ludzie nie mogli być smutni oraz do zwrotu "knapa na Tysiąclecie". Dziś to śmieszny ale on wówczas musiał coś z tym zrobić. Innym razem cenzor przykleił się do zwrotu: "krawatowa awangarda", który występował w pierwotnym tekście jego piosenki "Pokolenie". "Panie Jacku - powiedział - pokolenie ZMP... Pan chce, żebym ja pracę stracił?". Ponieważ Jacek musiał to nazajutrz śpiewać urządzili z cenzorem, że zamiast "krawatowa" będzie "etatowa". Zresztą według mnie "etatowa" jest w sumie lepiej... Wracając stamtąd zawsze bardzo zdenerwowany i ja wiedziałem czym to pachnie. Mnie to nie interesowało kompletnie, wymyśliłem dość wcześniej, że za góry srebra tam nie pójść się użerać. Nie oznacza to, że droga, którą wybrałem, była usłana różami. Przecież do dzisiaj nie potrafimy ludziom chcącym śpiewać poza monopolem państwowym, zapewnić warunków niezbędnych dla artysty. Śpiewanie w małych pomieszczeniach jak prywatne domy czy salki parafialne przynosi dość smutne efekty. Sztuka to jest odwieczne misterium, istnieją pewne społeczne formy jej przeżywania. Dla artysty

carczo ważna jest cała ta otoczka towarzysząca koncertowi, gdy on cały w świetle ma przez moment świadomość, że może wpłynąć na uczucia, poruszyć znajdującą się w ciemnościach publiczność. Podobnie jest z odbiorcą: zobaczyć człowieka na plakacie, iść tam, spokojnie czekać, zastanawiać się czy sensownie wydałem pieniądze, wysłuchać piosenek... Natomiast w mieszkaniu prywatnym tego nie ma. Nie ma oddzielonej przestrzeni, nie wiadomo - przepraszam, czy tu się klaszcze czy nie, czy wolno śpiewać na pełny gaz czy półgębkiem, czy będzie się piło wódkę i w którym momencie... Prawie nigdy nie śpiewa się dobrze w mieszkaniach. Mam głębokie przekonanie, że gdyby pokazano nam arcydzieła malarstwa w starych magazynach na zapleczu stacji kolejowej to nie potrafilibyśmy tego dobrze obejrzeć. Oglądać obraz z wódczas kiedy wisi na białej taflī ściany, pachnie wyglansowaną podłogą, w kącie siedzi babcia, która patrzy czy ja czasem czegoś nie zamierzam ukrąścić... Muzeum - po prostu potrzebne muzeum.

- Po Sierpniu trochę się wycofałeś. Śpiewasz nawet o tym w "Sentymentalnej pannie S...": "Śpiewam ballady i piosenki, a jej potrzebne były pieśni...". Nie wystąpiłeś także na Festiwalu Piosenki Prawdziwej "Zakazane Piosenki" w Gdańsku. Dlaczego?

- Zupełnie się nie wycofałem. Ja wówczas autentycznie potrzebowałem mecenasa. Głównie z tego powodu, że w sklepach nie można było kupić kaset. To było nie do przeskoczenia! Natomiast w Regionie Mazowsze na Mokotowskiej leżały kasety w ogromnych pudłach i ja zacząłem buszować w tych związkowych komórkach, które zajmowały się kulturą. Krótko mówiąc: nic absolutnie nie udało mi się załatwić. Zresztą inaczej: spotykałem po prostu biurokratów "od kultury", którzy brali nagrania, obiecywali wydanie, a następnie nonsensownego chodzenia po trochę innych krętami. Dla mnie było to kilka miesięcy nonsensownego chodzenia po trochę innych urzędach /śmiech/. Natomiast ucieszył mnie fakt, że moje piosenki poszły w Teatrze Powszechnym. Pomysł tego spektaklu wyszedł od Piotra Kitznera. Była to zdaje się jego pierwsza praca po szkole teatralnej. Piosenki były śpiewane przez profesjonalnych aktorów, a sam spektakl był składanką z poezji tzw. drugiego obiegu. Jeśli chodzi o festiwal, to ten pomysł nie podobał mi się od początku. Nie odpowiada mi po prostu formuła zawodów. Idea festiwalu jest podobna do sportu wyczynowego, którego jestem zagorzałym przeciwnikiem. To znaczy jestem przeciwnikiem zabawy, gdzie jeden się cieszy a reszta płacze. Wydaje mi się, że miałem dobrą intuicję ponieważ wielu moich znajomych, którzy tam grali, było głęboko niezadowolonych. W odczuciu bardziej wrażliwych ludzi była to impreza nadzwyczaj tandetna. Większość ludzi tam śpiewających przed Sierpniem nie miała żadnych "zakazanych piosenek". Niektórzy pisali je specjalnie na festiwal /śmiech/. Ja podejrzewałem, że jestem potrzebny organizatorom w charakterze starego Indianina, którego można ubrać w pióropusz, postawić przy wejściu i ma on uwiarygadniać, że jest to muzeum etnograficzne, choć większość eksponatów jest podróbiona.

- Jednak w 1981 roku pozostawałeś jakby w cieniu. Na szerszą skalę zacząłeś działać po 13 grudnia i to w dość radykalny sposób, śpiewając piosenkę w pierwszej audycji Radia "S".

- Oczywiście - pozostawałem w cieniu, bo w okresie karnawału było jakby mniejsze zapotrzebowanie na ten rodzaj "kameralnego" śpiewania. A ja trochę jakby z przekory piosenki, które wtedy wymyśliłem nadal utrzymywałem chyba w takim klimacie. Właśnie wtedy powstała m.in. "Piosenka o moich podróży z Igó Telechunem po kraju", "Ballada o szosie E-7", "Na przystanku PKS-u", piosenka o Hicobie. Zresztą, każda taka relacja jest jakby niepełna - bo w końcu ty przepytujesz mnie w jakimś określonym kontekście, jakby historycznym. Poruszasz się po kalendarium wydarzeń i wypadków tych publicznych. A na to przecież nakłada się także jakieś prywatne kalendarium. U mnie na przykład dość paskudna choroba w 1979 roku; niewielkie porażenie nerwów twarzowych i obsesyjna chęć, żeby sprawdzić czy i na ile jestem sprawny. Pewnie też, a może głównie dlatego, napisałem wtedy, w 1980 i 81 parę piosenek - nie tylko dlatego, że był Sierpień.

Wtedy jesienią były strajki studenckie. Przychodzili do mnie młodzi ludzie

i wyciągali na koncerty. Miałem bardzo mieszane uczucia, bo robiłem tam nie za artystę a za agitatora. Pamiętam, że bardzo miło byłem przyjmowany na uczelni w Siedlcach dokąd zawiązał mnie Zbyszek Kobyliński, który potem siedział w procesie Radia "S" Romaszewskich.

- Czy twoje ostre wejście w stanie wojennym odbyło się na podobnej zasadzie jak emisja pierwszych kaset czy się po prostu ukurwiłeś?

- Wiesz, ukurwił to się chyba każdy. Ja przede wszystkim byłem bardzo zaskoczony. W nocy z 12 na 13 grudnia wróciłem sobie spokojnie osobowym pociągiem z koncertu w Białymstoku... i zaczęliśmy się z żoną ukrywać. Oczywiście, knując w międzyczasie, bo nie ma nic gorszego niż bierne unikanie policji - o tym wie każdy, kto próbował. No i znalazłem taki ulotny wiersz pt. "Ostatnia szczyta na KWK Piast", zrobiłem do niego muzykę i nagrałem to na amatorskim, ale dobrej klasy magnetofonie. Potem zupełnie przypadkowo spotkałem Zbyszka Romaszewskiego, który się również oczywiście ukrywał i w związku z tym, że przygotowywał pierwszą audycję Radia "S", poprosił mnie o jakąś starą piosenkę. "Po co stara? - zapytałem - skoro mam taką z przedwczoraj". Po emisji jak wiadomo ubecy dostali szału. Od przyjaciół, z którymi miałem te swoje ciemne interesy otrzymałem partyjny zakaz opuszczanie miejsca zakwaterowania /śmiech/... po prostu nikt przy zdrowych zmysłach nie chciał ze mną knuć. Wtedy ze złości i nudy - moja kwarantanna trwała chyba 10 dni - zrobiłem książeczkę z piosenkami i chwytami gitarowymi, o której zawsze marzyłem i która potem wyszła nakładem CDN-u. Potem niestety mój kolega, jadąc tramwajem, spotkał pewnego dżentelmena, który wcześniej pracował w regionie Mazowsze przy takich pięknych szybkich kopiarkach kaset. Ten dżentelmen wyraził chęć przekazania tej kopiarki, aby dalej robiła swoją robotę pod warunkiem, że znajdzie się jakaś wiarygodna osoba, która to odbierze. Wtedy mój kolega zaproponował mnie, na co tamten bardzo chętnie się zgodził. Ja wówczas opętany żądzą posiadania tego sprzętu natychmiast tam pojechałem. Po prostu jak głupi baran dałem się na to złapać. Umówiliśmy się, gdzie i kiedy konkretnie, z samochodu do samochodu, zostanie to przełożone. Efekt był taki, że po 48 godzinach od spotkania z tym facetem wyjeżdżając z mieszkania, w którym nocowałem. Ten oś przegrywarki oczywiście był informatorem. Nazwiska nie podaje, nie dlatego, iż bym był taki wielkoduszny lecz po prostu nie pamiętam. Mieszkał tuż przy Sądach, miał małe chore dziecko i wymagające leczenia w Szwecji, co zapewne ułaskawiło policji skłonienie go do współpracy. Od momentu spotkania z nim byłem non stop śledzony. Wynika to z przesłuchań i rewizji, których zrobili ok. 40. Jeśli nawet wchodziłem do "mrówkowca" i oni dokładnie nie wiedzieli do którego mieszkania to robili np. 5 rewizji według klucza, że w tym bloku mieszka jakaś siostrzenica kogoś ze Związku Literatów, jakiś radioamator, czy też ktoś kto niegdyś siedział... Ja zawsze staram się dzielić z ludźmi mającymi podobne interesy tym swoim doświadczeniem, nawet z osobami o sporej praktyce... Jest naprawdę brakiem pokory i zdrowego rozsądku twierdzić, że nie było, lub nie jest się obserwowanym... Jest to wyłącznie kwestia sił i środków jakie policja decyduje się rzucić przeciwko delikwentowi. Nie ma na to silnych. Przeciw mnie użyli wówczas na pewno kilka samochodów i często zmieniające się ekipy. Po aresztowaniu najpierw wsadzili mnie do Mostowa, a potem, ponieważ odmawiałem z nimi jakiegokolwiek konwersacji przewieźli na Białąłękę. Gdy była druga audycja Radia "S", ponownie przewieźli mnie do pałacu Mostowskich i do celi, w której siedziałem przysyłali ludzi z łapanki ulicznej, aby sprawdzić czy się znamy czy nie. Nie przyniosło to żadnych efektów i ponownie wróciłem na Białąłękę. Akcja przeciwko "sprawcom" audycji wyraźnie utknęła; mnie nie bardzo można było dać sankcję, ale warto było izolować mnie bardziej, niż było to możliwe na ogólnej internie w Białąłęce. Wsadzili mnie więc do Komisji Krajowej "S" dzięki czemu siedziałem przez 3 miesiące z naszymi najznakomitszymi wodzami.

- Po wyjściu z internatu nagrałeś kasetę dla podziemnego wydawnictwa CDN oraz dla NOWej /Piosenki J. Kelusa i opowiadania M. Nowakowskiego, NK 003/. Od tego czasu stawałeś się coraz bardziej popularny. Ja słyszałem kopie takiej jakości... i w takich miejscach...

- Może w mniejszych ośrodkach tak, ale na pewno nie w Warszawie, Wrocławiu czy Krakowie. Wynika to choćby z listów i przekazów pieniężnych na podstawie których zresztą można byłoby napisać pracę magisterską... Początkowo, tj. w latach 1977-78 prawie nikt nie podpisuje się własnym nazwiskiem. To znaczy wśród wysyłających jest 40% Kowalskich, jest M. Nijaki, K. Kaźdy, Jacek Staszeliś itd. W roku 1980 prawdziwych nazwisk przybywa, potem znowu przez pierwsze dwa lata stanu wojennego sytuacja wraca do stanu sprzed Sierpnia...

- Wróćmy jednak do sprawy kaset...

- Dla mnie wydanie tej kasety nie było takie proste. Z jednej strony cieszył fakt, że powstały firmy, które postanowiły zająć się techniczną stroną tego typu przedsięwzięć, lecz z drugiej strony nie było jasne jsk zareagują Oni. Można było przecież wyobrazić sobie sytuację, że przecież nie po to wprowadzono stan wojenny aby wracać w kulturze do poprzedniego momentu. Miałem np. obawy czy czerwony nie zechce "wynegocjować" takiej formuły: dobrze, bawcie się w te książeczki i kasety, ale jak się który podpisze to będzie siedział! Marek Nowakowski zapłacił za to więzieniem, ja nie. Jest to trochę kwestia przypadku, trochę hazardu, a trochę specjalnej polityki kulturalno-penitencjarnej jakiegos odpowiedzialnego w tym czasie za ten pion pułkownika.

- Do drugiego wydania kasety "Z nieskończoną wciąż piosenką", które nastąpiło kilka lat później, dołączyłeś piosenki Jakuba Brońca. Bardzo rzadko śpiewałeś cudze piosenki...

- Zawsze łatwiej mi było pisać muzykę do swoich tekstów gdyż działo się to niejako synchronicznie. Najwspanialsza jest taka sytuacja gdy wiersz przeczyta się od razu jak piosenkę. Tak np. wymyśliły mi się piosenki do słów Stanisława Barańczaka, z wyjątkiem wiersza "NN próbuje sobie przypomnieć słowa modlitwy", nad którym siedziałem chyba z miesiąc. Podobnie jak potępieniec męczyłem się nad bardzo prostymi melodyjkami do tekstów Brońca, zostały zresztą źle nagrane ale to już odrębna sprawa. Z Jakubem Brońcem była taka sprawa, że po wydaniu przez CDN tej kasety w 1982 roku zgłosił się do mnie człowiek i przedstawił się jako autor piosenki "Ostatnia szczyta na KWK "Piaś". Przyniósł swoje nowe teksty, bardzo dobre zresztą, i powiedział, że jeśli zdecyduje się je śpiewać to aby jako autora słów podać pseudonim "Jakub Broniec". Zdziwiałem, że ten człowiek jest zupełnym amatorem, w co zresztą nikt nie chciał wierzyć. Warszawka w ogóle uważała, że jest profesjonalistą miary Osieckiej /śmiech/. Bardzo miły człowiek.

- Trzy lata temu przestałeś śpiewać i zająłeś się wyłącznie pszczołami

- Niezupełnie tak. Pszczoły wymyśliła moja żona i to już w końcu lat 70-tych. Ja jeszcze wtedy pracowałem w Akademii Medycznej. Co prawda przyjeżdżałem tam, kiedy to tylko było możliwe, ale nie byłem jeszcze wtedy zatrudniony na full time w naszym rodzinnym przedsiębiorstwie. Stało się tak w 1979 roku. Od trzech lat rzeczywiście nie śpiewam, ale nie ma to żadnego związku przyczynowego z pszczołami. Moje najprostsze wytłumaczenie jest takie, że najlepsze piosenki tworzy się do czterdziestego roku życia. Większość facetów, którzy zajmują się tym gatunkiem piosenki, który uprawiałem i znam się trochę na nim, potwierdzają tę prawidłowość. Ja wiem, że trzeba wiedzieć kiedy przestać. Bez zarzekania się! Nie mogę wykluczyć, że być może któregoś dnia obudzę się rano i patrzę... a tu jest piosenka i natychmiast trzeba ją łapać!

- Dziękuję za rozmowę.

teoria i praktyka surrealizmu socjalistycznego

CEZARY KAŹMIERCZAK

Świeże jaja

Miałem kiedyś w życiu następujące zdarzenie: zostałem oskarżony o rzecz, której nie popełniłem. Postawiono mnie przed Kolegium d/s Wykroczeń /byłem obwiniony o powieszenie transparentu/ a ja z głupoty usiłowałem się bronić, tzn. przedstawiłem świadków, że owszem stałem obok, ale transparentu nie wieszale. Zeznający ubecy byli innego zdania. Zostałem oczywiście skazany a towarzyszy przewodniczący, Lewandowski czy jak mu tam, w uzasadnieniu wyroku stwierdził, że zeznania świadków obrony nie zasługują na wiarę gdyż są "podejrzenie ścisłe", natomiast zeznania policjantów zasługują ponieważ są "ścisłe i wzajemnie się uzupełniają". Wszystko to zostało wypowiedziane bez zająknięcia i cienia zażenowania.

Popadłem w bezsilną wściekłość. Niepotrzebnie... Ale zrozumiałem to dopiero, gdy zapoznałem się z surrealizmem socjalistycznym, kierunkiem propagowanym przez Waldemara "Majora" Frydrycha. Ten Lewandowski stanął na wysokości zadania, zachował się z klasą, natomiast ja potraktowałem ów happening poważnie; zamiast się przyłączyć i razem z Lewandowskim robić jaja, to ja jak pierwszy lepszy idiota zastanawiałem się z adwokatem jak najlepiej obalić fałszywe oskarżenie.

Pierwszy hepenig Major zrobił jeszcze w szkole średniej. Umówił się z klasą, odpowiednio się ubrał i przyszedł do szkoły na wizytację. Gdy wszedł klasa wstała, Major wziął dziennik, usiadł na ostatniej ławce i zaczął go przeglądać. Gdy wychodził ze szkoły dyżurujący nauczyciel ukłonił mu się w pas... Potem jeszcze Major wszedł na trybunę honorową na 1 maja i "odbierał" pochód. Dyrektor szkoły, aby zatuzszować skandal - koledy ze szkoły wiwatowali na jego cześć - oświadczył, że Major został tam "oddelegowany".

Po podjęciu studiów we Wrocławiu zaplątał się w opozycję, a ściślej tworzył przedsierniowy Studencki Komitet Solidarności. Po Sierpniu zaczął wydawać pismo "Pomarańczowa Alternatywa", w którym ogłosił m.in. swój wiekopomny manifest surrealizmu socjalistycznego. Stan wojenny przerwał zabawę. "Tu nawet nie chodzi o to, że martyrologia i powaga sytuacji - mówi Major w wywiadzie dla "Regionu" /nr 5 z 21.1.88/ - uniemożliwiały tę działalność. Po prostu ludzie, którzy byli związani, bądź popierali Ruch Nowej Kultury jesienią 81 dobrowolnie zrezygnowali z własnej autonomii wiążąc się ze strukturami konspiracyjnymi. A stan wojenny można i trzeba było ukazać w krzywym zwierciadle, bo miał on w sobie naprawdę dużo śmieszności".

Potem zaczęło się. Zrazu nieśmiało, w kilka osób przy przejściu podziemnym na Świdnickiej, malowanie na murach krasnoludków czy napisów "SEX", aż do marca 1987 kiedy został zorganizowany rajd na Słężę pod hasłem "Uśmiechnij się, jutro będzie gorzej". Program rajdu przewidywał m.in. "śpiewy chóralne i solowe połączone z kwestą na odśnieżanie gór" oraz "zatrzymanie wszystkich uczestników rajdu na dworcu w Sobótce". "Program został zrealizowany w całości". Dopiero się zaczęło... Gdy było gorąco, "Pomarańczowa Alternatywa" wychodziła na ulicę z hasłami "Precz z upałami". Każdy z uczestników happeningu miał na sobie jedną z liter hasła. Nie wiedzieć czemu co pewien czas litera "U" znikala... Po okresie upałów zaczęło być zimno. Wtedy Major z koleżkami demonstrował pod hasłem "Żądany reaktywowania upałów". Kolejne happeningi miały coraz bardziej polityczny charakter. Ich uczestnicy byli zwiźnani przez policję. Nie traktowali tego jako represji lecz po prostu dalszą część happeningu. Policja nie wiedziała co robić. Podczas happeningu "Sw. Mikołaj nadzieją reformy" "Pomarańczowa Alternatywa" zorganizowała Mikołajową Służbę Więzienną /MSW/, która pomagała milicjantom odprowadzać zatrzymanych do suk. Aresztowani natomiast śpiewali policji "Sto

lat". Jak się wydaje happening z Mikołajami był przełomowy, gdyż wówczas po raz pierwszy na szerszą skalę do działań przyłączyli się gapiowci, którzy w sile ok. tysiąca osób udali się pod komisarjat i skandowali "Uwolnić świętego Mikołaja". Jako ciekawostkę można dorzucić fakt, że oprócz Mikołajów związanych z "Pomarańczową Alternatywą" zwinęto także jednego "prawdziwego" Mikołaja ze "Społem". Jego wyjaśnienie milicja nie chciała nawet słuchać.

Major mówi, że jednym z celów happeningów było oswojenie ludzi z policją, żeby przestali się jej tak panicznie bać. Stąd m.in. wzięta się taktyka atakowania falami, która polega na tym, że happening rozpoczynają "debutanci" /tj. ci, którzy "jeszcze nie wizytowali WUSW"/, po ich zatrzymaniu ruszają, ci którzy już raz mieli tę przyjemność, a kończą weterani.

Policja jest bezsilna. Natomiast pomarańczowi na Komendzie bawią się wyśmienicie - po prostu happening trwa dalej... Zwalniają ich po kilku godzinach do następnego razu...

Inspiracją do happeningów dla Majora bywają często różne dzieła sztuki /np. pomysły happeningu z okazji referendum nasunął mu obraz Rembranta "Straż Nocna"/, okazją różne państwowe święta. Obchodzone więc uroczystości np. Dzień Milicjanta rozdając milicjantom kwiaty, częstując ich cukierkami, wyręczali ich w kierowaniu ruchem drogowym itp. Ułożono również z kwiatów hasło... NO. Hasło przewodnie uroczystości: "Żądamy osmiego godzinnego dnia pracy dla funkcjonariuszy WUSW".

Spróbuj aresztować takich, nie robiąc przy okazji z siebie dumnia. Policjanci jednak to uwielbiają. Zatrzymywali nawet za czytanie gazet na ulicy, kiedy "Pomarańczowa Alternatywa" organizowała "bezczelne czytanie Trybuny Ludu i Żołnierza Wolności w miejscu publicznym".

O happeningach publiczność powiadamiana jest w ulotkach, które zawierają instrukcję co należy robić, jak się ubrać itd. Oto np. fragmenty instrukcji: "Jeżeli chcesz zobaczyć pracę Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych, nic innego jak pojawić się na ul. Świdnickiej o godz. 16,00 1 marca /.../ Tego dnia odbędzie się uroczystość z okazji Międzynarodowego Dnia Tajniaka /.../ Ubierz się stosownie w czarne okulary, kapelusz, płaszcz prochowiec lub skórę bądź pelerynę. Weź sprzęt do podsłuchu, trąbkę, lejek lub mikrofon. Wskazane są mikrofony zamontowane w parasolkach lub lasceczkach. Wielbiciele Scotland Yardu proszeni są o przybycie z tytoniowymi fajkami. Psy są niesamowitym atutem /.../ Zachowuj się swobodnie, legitymuj przechodniów. Poruszaj też klapą płaszcza na której będzie widniał służbowy znaczek. Jeżeli zostaniesz zaproszony do wozu - wchodzi! jest to twoje naturalne miejsce".

"Pomarańczowa Alternatywa" nie zapomina także o milicji. Z okazji "drugiego rozdania papieru toaletowego" dla Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych wydano następującą instrukcję:

"O 16,00 - przystępujemy do legitymowania

O 16,03 - zapraszamy do nysek

O 16,05 - zatrzymujemy osoby z ogonem /chodzi o ogony z papieru toaletowego - przyp. C.K./ i wysłuchujemy śpiewu "Sto lat"

O 16,10 - wychytujemy weteranów i przystępujemy do III etapu happeningu."

Gdy powstał PPS Major natychmiast założył /reaktywowal?/ Polską Partię Pobotniczą. Wrocław pokrył się napisami "PPS reakcja, PPR atrakcja" czy też "PPR walczy". Niewzwykle śmiesznie wyglądały te zamalowane przez policję napisy. PPR przystąpił oczywiście do "zwalczania" PPS-u. Major w wywiadzie dla KOS-a oświadczył, że PPS nie rozumie zasad materializmu dialektycznego oraz, że PPR wykorzysta socjalistów jako mięso armatnie i w odpowiednim czasie zagarnie władzę tylko dla siebie. Oświadczył także, iż PPR realizuje "wariant leninowski". PPR zaczął wydawać własny organ "Proletariat" i jak mi mówili działacze PPS-u zaczyna się to powoli przekształcać w normalną... partię polityczną!

Oto polemika zamieszczona w "Proletariacie" w dziale "Ideologia":

"PPS - walczy!!! PPS - rusza!!! PPS - świruje!!!

PPR - tańczy... PPR - wzrusza... PPR - małuje...

PPS - buduje!!! PPS - wspiera!!! PPS - profanacja!!!

PPR - baluje... PPR - popiera... PPR - medytacja...

PPS - wybiera!!! PPS - ambicja!!! PPS - propaganda!!!

PPR - rozbiera... PPR - banicja... PPR - awangarda..."

W końcu policja nie wytrzymała. Było to prawdopodobnie związane z rozszerzaniem

się happeningów na cały kraj oraz w związku ze wzmożoną aktywnością "Pomarańczowej Alternatywy".

16 lutego "Pomarańczowa Alternatywa" zorganizowała na Swidnickiej /czy też jak się teraz mówi we Wrocławiu na "Deptaku Majora"/ karnawał rio-botniczy pod hasłem "II etap reformy - karnawał, III etap - post". Bal zgromadził rekordową liczbę uczestników-ok. 5 tysięcy. "Postarajmy się, aby nasze miasto - czytamy w ulotce - przyćmiło Las Vegas. Ubierz się balowo. Tym razem milicja nas nie ruszy. Uczynimy małe hokus-pokus i albo zniknie, albo sama przystąpi do karnawału - będzie robić jaja, tańczyć i wykupiać się razem z nani". Niestety, mimo okrzyków "hokus-pokus", milicja nie zniknęła, ale jednak coś owe "hokus-pokus" pomogło, skoro kapitan MO nawoływał przez megafon: "Funkcjonariusze MO proszeni są o aktywne wsparcie działań podejmowanych przez pracowników SB". Reportaże ze zdjęciami z happeningu zamieściły wrocławskie gazety z śmiesznymi /choć w zamysle autorów ośmieszającymi/ atakami na organizatorów. Tytuły: "Trupie maski", "Pomarańczowa Alternatywa, czyli o tym jak Major strugał wariata" /"Gazeta Robotnicza"/. Ataki na Majora ukazały się także w "Żołnierzu Wolności" i innych pismach wrocławskich. Wymieńmy więc nazwiska tych policyjnych dziennikarzy, którym wydano rozkaz przygotowania gruntu "pod aresztowanie Majora": ptk Antoni Kosiński /"Krasnoludki na pomarańczowo" - "Żołnierz Wolności"/, Tomasz Szymański /"Gazeta Robotnicza", jw./, Marian Kozłowski /"Gazeta Robotnicza", "Czy istnieje taka alternatywa?"/, inni podpisali się pseudonimami.

Po karnawale rio-botniczym odbył się jeszcze wspomniany już Międzynarodowy Dzień Tajniaka a następnie 8 marca, Major został aresztowany i otrzymał karę dwóch miesięcy pozbawienia wolności za to, że "rozdając podpaski higieniczne naruszył porządek publiczny". Happening z okazji dnia kobiet również należał do udanych. Miesiono m.in. olbrzymiej wielkości podpaskę higieniczną /ok. 3 metry długości/ na której widniało hasło: "Pershingom - nie, Podpaskom - tak", a Major rzeczywiście rozdawał kobietom podpaski. Po aresztowaniu cały Wrocław pokrył się napisami "Uwolnić Majora", w jego obronie wystąpiło ok. 40 wybitnych intelektualistów, oświadczenie wydał m.in. RKS Dolny Śląsk i Krajowa Komisja Wykonawcza "S", w jego obronie akcje podjęła także wrocławska... PPS, której członkowie zresztą od początku są aktywnymi uczestnikami happeningów. Pomarańczowa Alternatywa pisała w specjalnym oświadczeniu: "... Towarzysz Budda uniósł niegdyś w górę kwiat lotosu. Tak się zaczął Zen. Towarzysz Lenin uniósł w górę swą słynną czapkę. Tak się zaczęła rewolucja - Zen bolszewików. Towarzysz Major uniósł w górę swe sznurowadła. Było to 8 marca w depozycie aresztu przy ulicy Łąkowej. Jego uczniowie, podobnie jak uczniowie towarzysza Buddy, doznali oświecenia. Tak rozpoczął się polski Zen. /.../ Towarzysze! o godzinie W pojawimy się pod zegarem Historii na Deptaku Majora. Weźmy sznurowadła, paski, krawaty, zegarki - wszystko to, co zwykle zostawia się w depozycie. Trzymajmy to w uniesionych dłoniach /.../. Wybrani uczniowie spotkają Mistrza już wkrótce /.../. Godzina W wybiję niebawem". Happening ten pod hasłem "Uwolnić majora" odbył się 21 marca i wzięło w nim udział ok. 3 tys. osób.

Po trzech tygodniach odbyła się rozprawa rewizyjna i Major został niewinny i zwolniony. "Pomarańczowa Alternatywa" oczywiście wykorzystwała proces jako okazję do happeningu. Część publiczności przybyła z szubienicą, domagano się m.in. "ostatecznego rozwiązania kwestii Majora" transparent głosił: "Żądamy najwyższego wymiaru kary" itd. Major: "Cała galeria składała się z ludzi ubranych na pomarańczowo oraz tych, którzy byli pozbawieni tego zabarwienia czyli pracowników WUSW. Prawdziwy pokaz dali jednak świadkowie. Pomarańczowa dziewczyna /narzeczona Majora - przyp. red. TM/, ciągnąca za sobą plastikowego lwa na kółkach, po chwili dwóch dżentelmenów podających się za moich narzeczonych. Wszystko się gwałtało: narzeczona z narzeczonymi. W efekcie sąd zrobił przerwę - najpierw jedną, a potem kolejne. W dalszej części tonacja rozprawy zmieniła się z orange na blue - zaczęli zeznawać funkcjonariusze. To był już pełny surrealizm. /.../ Sprawa ta w dużym stopniu przekracza moje kwalifikacje, jeśli chodzi o jej ocenę: dzieło sztuki czy sąd? A może po prostu sąd jest dziełem sztuki". Odpowiedź na pytanie kim jest Major jest prosta i trudna zarazem. Wiadomo, że ukończył historię i historię sztuki na Uniwersytecie Wrocławskim. Wiadomo, że lubi eleganckie demy, jest - jak napisał o nim "Tygodnik Mazowsze" - "wlecznie

nieogolonym abnegatem", wiadomo, że nie ma stałego miejsca zamieszkania i chodzi w ciuchach pożyczonych od znajomych... Chwyta się różnych prac dorywczych, ostatnio np. remontował jakieś studzienki. Choć twierdzi, że czas się ustatakować, zamierza wynająć jakąś stancję. Otrzymał nagrodę wrocławskiej Oświaty Niezależnej /100 tys. zł/ oraz nagrodę kulturalną "S" za rok 1987 "za aranżację happeningów". Na pewno jest twórcą i głównym pomysłodawcą happeningów "Pomarańczowej Alternatywy". Wniosków ogólnych wyciągać się nie podejmuję.

Jak już wspomniałem happeningi rozszerzają się na całą Polskę. Zaraca surrealistu socjalistycznego Majora szerzy się w olbrzymim tempie. Niedawno w Poznaniu kilkunastu mężczyzn przebranych za kobiety demonstrowało pod transparentem "Kobiety polskie popierają politykę rządu". Gdy policja przystąpiła do zatrzymywania zaczęły piszczeć w niebogłosy: "biją kobiety". 7 kwietnia w kolejnym poznańskim happeningu Czerwonych Kapturków uczestniczyło już 500 osób. /Hasła: "Babciu, dlaczego masz taką długą pałę?", "Wypluj babcie", "Przec z czerwonymi... kapturkami"/. W Krakowie z okazji pierwszego dnia wiosny urządzono imprezę "Oszczędzaj prąd, utop telewizor" i młodzi krakowiaczy udali się z odbiornikiem nad Wisłę, gdzie dokonali swego dzieła. Pierwszy dzień wiosny obchodzone także w Sępolicie, gdzie bawiono się na molo. W lany poniedziałek na warszawskiej Starówce odbyła się wodna wojna między wodnikami /zieloni/ a Smurfami /niebiescy/. Niesiono m.in. transparenty: "Papa Smurf nam wodę mąci", "Szauuj zielef", "Dobranocka kłamię". Ostatnio happening został zorganizowany także w Katowicach i w miasteczku akademickim w Lublinie.

Jak sądzę, popularność imprez tego typu bierze się ze znudzenia solidarnościową retoryką i poważnym traktowaniem władz, które zupełnie na to nie zasługują oraz stąd, że młodzi ludzie po prostu lubią się bawić. Jak bowiem można poważnie traktować rząd, którego niemal co drugi członek ma profesorski tytuł, a który od tylu lat nie potrafi np. rozwiązać sprawy skupu butelek?

Cezary Kaźmierczak

WALDEMAR FRYDRYCH

Manifest surrealizmu socjalistycznego

Pod słowcem. Nawet zasuszony owad ucieszy się. Kilka szcudrych uwag. Czytelniku. Czy zniesienie analfabetyzmu jest jednoznaczne. A co będzie z bajkami, szczególnie malowanymi. Lis, tygrys, borsuk, niedźwiedź. Działacz rewolucji, muchomory, złota rybka. Wiadomo, że więcej surrealizmu ma poezja obrazów Salvatore Dali niż wielkie poematy Marksa. Nawet powieści Lenina nie dorównują malarstwu. Jak rozwiązać ów dylemat. Oto ziejące nudą pytanie - każdy realista /sorealista/. Surrealista nie zadaje pytań. Wiadomo, życie dla przygód. Wnikliwość niekonieczna. A jednak. Warto poznać, czy rak racjonalizmu zżarł Twój mózg. Dla zatraconych jest szansa. Każdy ma swobodę. Czytelniku, świat stoi przed Tobą otworem. Np. błyskotliwa kariera maszyny do szycia mundurków dla przedszkolaków.

Każdy wykształcony rozum sięgnie po dostępne środki. Manifest napisany jest dla wszystkich rozumów świata. Zabijajcie rozumy. Analfabeci widzą lepiej malarstwo i obrazkowe pismo. Innego powrotu ku naturze nie ma. Czyż nie jest ukoronowaniem szczęścia być mechanizmem wielkiej maszyny kosmicznej. Polecam. Każda inna celowa droga surowo wzbroniona. W ostatecznym rachunku sięgaj po każdy dostępny Ci środek. Nie uciekaj przed intrygami, jeżeli tamte pozwalają Ci żyć. Jeden szerszy w Twoich oczach nie powinien hamować Twego lotu.

Wiadomo dobrze, że wobrażenia to nieograniczony świat. Jego obraz może być

wszystkim ale pod warunkiem, że nie będzie się odnosił słuźalczo do świata zwanego praktycznym. Karierą dla realisty jest zabójstwo uskrzydłonej wyobraźni. Takiego ptaka można ugotować na obiad. Ruch dąda również broni przed realizmem. Naszym wrogiem często staje się nadzieja. Również niektóre marzenia. Oczywiście inaczej jest z marzeniami snu.

Widać nie ma żadnej siły w życiu, która może stanowić tamę dla nieobliczalnych światów wyobraźni. Ona przenika wszystko nie używając żadnej realnej siły, wyobraźnia w nas żyje dopóki jest wolna. Nie sądzicie, że jest inaczej. Zazwyczaj nasze sądy są przyznaniem się do błędu popełnionego w bardzo wczesnej młodości. Każdy sądzia jest twórcą błędu. Ponieważ zbrodnia jest z natury niewymierna. Już kilkunastoletni człowiek często coś przegrał w życiu. Będzie mieć kłopoty. Pierwszą przegraną jest wyobraźnia. Kto już raz ją stracił, z odzyskaniem będzie mieć kłopoty. Czy wasze wyobrażenia są kojarzone mylnie? Czy zamierzamy się oszukiwać? Wasze wyobrażenia, nudne ryby w kapeluszach pełnych problemów. Wasz świat, wędzarnia. Bardzo dobrze, męczcie się. Kupujcie, sprzedajcie.

A nas nie zatrzyma nawet brama szpitala psychiatrycznego. Również szpitale okazują się doskonałym polem dla surrealistów. Wiadomo, psychiatrzy zręczni surrealiści. Nie oni jedni. Nasze uczucia bezinteresowne - mosty z tektury nad Gangesem. Surrealista nie musi być aż psychiatrą, żeby nie czuć się samotnym. Waprawdę, realista czuje się samotny. Surrealista nigdy. Świat na dłuższy okres nie może obyć się bez surrealizmu. Ale dlaczego część młodzieży została utopiana w eterze nućnej beznamiętności. Kto to robi? Ów ponury teatr, tzw. MYSL. Winni są. Kto? Przede wszystkim egzystencjaliści. A kto zaszczerpił w pokoleniu dewotyzm intelektualny? Winę ponoszą też filozofowie. Co robią filozofowie ze światem? Nie kto inny nawołuje bowiem do pogardliwego traktowania polityków. Politycy są wielcy. Filozofowie skończeni. Politycy zawsze byli surrealistami. Kochajmy polityków. Filozofowie przegrani. Kochajmy polityków.

Filozofów niebawem się pozbedziemy. Na szczęście nawet w najgorszych niekorzystnych dla surrealizmu chwilach w każdym mieście znajdował on schronienie w niektórych toaletach dla publiczności. Wskazana, polecam takie wędrówki ducha. Tam wznosił się Ikar. Trudno było czystemu racjonalizmowi opanować toalety. Surrealizm w toaletach utrzymywał się dzięki politykom. Gdzieś bowiem zachodzi tak ścisły związek ugię z doznaniem estetycznym. Filozofowie chcieli i tam osiągnąć, ale ich niecne nadzieje speszzy. Politycy zawsze byli wielkimi surrealistami. Oni czekają na ciepło. Kochajmy polityków. Filozofowie przegrani.

Obecnie najwyższy czas aby ujawniono przed Trybunałem Surrealizmu niecne czyny filozofów. Obok nich proponuję wnieść Wielką Trybunę dla wygłaszania wielkich zasług polityków. Wszyscy śmiejemy się szczerze. Wojna materializmu i idealizmu. Z punktu widzenia żywej inteligencji jest to rozrywka prymitywna. Funkcjonariusze filozofii, judasze krytyki, specjaliści od ograniczania wyobraźni i spontaniczności, nie liczcie na nią.

Coś dla filozofów o racjonalizm. Racjonalizm nie można inaczej wytłumaczyć, jak lęku, który demobilizuje wyobraźnię. Racjonalizm rodzi się tam, gdzie determinuje lęk istnienia lęku. Prawdziwy racjonalista jest rycerzem. Jego ograniczone ramy poruszania mają go chronić z pozorów przed upadkiem na radość.

Kto z filozofów, pytam się poważnie, odważyłby się powiedzieć o istnieniu z "myślę więc jestem" na cieszę więc jestem. Nie brńcie nigdy filozofów. Taka obrona jest surowo zabroniona. Niech nikt nie waży się polemizować z ostatnimi zdaniami. NIKT. Nie wolno nikomu. Nikt.

Nie czytajcie Dostojewskiego. Świat bardziej jest reprezentatywny z wycinków gazet, jest to praca dla każdego początkującego surrealisty. Gazety mogą w nas rozbudzić macierzyństwo istnienia w świecie. Szczególnie korzystne dla rozwoju sztuki są czasy socjalizmu. Ważne że z dnia na dzień przeciętny człowiek dowiaduje się więcej, czuje lepiej, rzeczywistość urasta. A jego ranga istnienia polega na ciągłych przeobrażeniach surrealistycznych. Najlepiej widać w historii. Były wielkie manifesty. Obecnie korzystność sytuacji jest niezaprzeczalnie widoczna. Życie społeczne wyprzedziło swym rozmachem najśmielsze marzenia surrealistów miedzywojennych.

Nie bójmy się być szczerzy do końca. Jedyne rozwiązanie na przyszłość i dzisiaj to surrealizm. Świat wtedy nie będzie mówił o kryzysie. Nie wycofujemy się, jeżeli zaszedłmy tak daleko. Przecież cały świat jest dziełem. Już pojedynczy milicjant

na ulicy to dzieło sztuki. Bawmy się, los nie jest krzyżem. Jaki sens cierpieć, skoro można się cieszyć. Los życia jest fantem loteryjnym. A religia, miłość i Dostojewski? Na pierwsze dwa pytania udzielię odpowiedzi w jednym zdaniu, na trzecie udzielię odpowiedzi niezwykle wykrętnej.

1. Religia to opium czyli marzenie ludu.
2. Miłość, jeżeli jest spontaniczna, nie przeraża się żadną barierą. Może być np. częścią statutu organizacji. Miłość, filozofie są sobie sprzeczne. Ponadto wg surrealizmu /1929/ miłość to idea jedyna, którą choćby na chwilę pogodzić można z ideą życia. W socjaliźmie można jeszcze mówić o miłości kolektywnej.
3. Zamiast Dostojewskiego - Bułhakow, Babel, Brontón, Aragon, Vien i inni. A Darwin. Niestety mówił w odwrotnym kierunku. Mówię jeszcze raz: nie zwracajcie uwagi na filozofów. Darwin był biologiem i surrealistą.

Wasze pytania stają się natarczywe. Niech będzie Biblia, ale tylko na moment. Nie myślę o ranieniu uczuć religijnych. Ale czyż ewangelia w radzieckiej Moskwie nie uniosła wybitnej literatury? Do dnia dzisiejszego zastanawiam się, kto komu - czy socjalizm Bułhakowowi, czy pisarz socjalizmowi. Prawda jest pośrodku. Weźmy przykład z Eklezjastesa: "Oku nie nasyci się widzeniem, s ucho nie nasyci się słyszeniem". Lepiej to powie celnik radziecki, patrzący na naszą torebkę pederastkę. Przygraniczna stacja Medyka zna takie wzloty sztuki.

Na zakończenie przypominamy. Nasz apel aby świat położył się we śnie a sen w świecie. Niech każdy z was wie, że nikomu nie pozwolimy spokojnie się oszukiwać.

Przygotowaliśmy dla Waszych uporządkowanych wiadomości niezwykle perfidne sztuczki. Nie liczcie na nie. Tutaj nie ma mowy o litości.

Waldemar Maria Frydrych

WALDEMAR FRYDRYCH

Referendum

Dialektyka polskiej ulicy, ciągle ścieranie się nadrealizmu z podrealizmem, nabiera w końcu jesieni pikantnych rumieńców.

Aby uatrakcyjnić zawiłą sytuację gospodarczą rząd PRL, awangardę światowego nadrealizmu, proponuje ludzkości maleńkie hokus pokus, imprezę pt. "Referendum". Czyli - godziny wielkiej szczerości.

Ankieta objęto wszystkich. Heppening, szaleństwo, wielka propozycja nie do odrzucenia, ma dotyczyć wszystkich. Ha, Ha, hi hi surrealizm czy dadaizm. Obrazki z imprezy przypominają sławne dzieło Rembrandta pt. "Straż nocna" - przewrót w sztuce. Inny obraz wielkiego Holendra pt. "Krajobraz przed burzą" tylko pozornie jest bliski, nie oddaje klimatu na Swidnickiej. Co może być analogią dla tej harmonii, tego deszczu, ekspresji zimna i słabo oświetlonych sklepów. Sytuacja na Swidnickiej jest rewolucją przygaszonego światłocienia. Są też inne szczegóły symboliczne, np. elementy ikonograficzne, które zawierają porozwieszane wokół plakaty. Na plakatach zarysowują się wyraźnie dwie główki w czarnych okularach, poniżej napis: "dwa razy TAK". Dwa pytania płynące z Referendum, a ile odpowiedzi. Nim przejdę do opisu tego pełnego ekspresji wydarzenia, poinformuję czytelnika czym są te czarne okulary, kimże jest ten wyróżniony dżentelmen. Czarne oczko, Cykator, zwycięski wódz, w 1982 roku pokonał lud, zdobywca Paławagu, Dolmelu i innych ważnych zakładów produkcyjnych. Rembrandtowski obraz na Swidnickiej budują wydarzenia społeczne, obraz olejny wielkiego mistrza, którego reprodukcje naszczypają wytworne katalogi, również został zaaranżowany przez sytuację społeczną, ale inspiracją najpoważniejszą było poszukiwanie w nocy nowych wartości. Właśnie Swidnickie było swoistym katalogiem sztuki surrealistycznej. Przyjdź. Znakiem

wyróżniającym może być ... pojedynczy cukierek w ręce, papier toaletowy lub inny isotowy szczegół - tak proponowała ułotka. Czarującą dygramę może być ta informacja. Papier toaletowy nie jest uprawdzie oddzielną, ale jego obecność stanowi niezwykły smaczek - za pięć kilo makulatury dostanie się talon na kupno papieru, istnego rarytasu. Ale święto papieru mijało, dzisiaj mamy Referendum i Rembrandta. Ważną rolę w obrazach pełni kolorystyka. Na Świdnickiej dominującymi barwami są niebieska, czerwona i szara. W środku ulicy między delikatnymi drzewkami ustawiono niebieskie wozy milicyjne. Między samochodami niebiescy milicjanci przypominający niebieskich chłopów prowansalskich Van Gogha. Nareszcie historia sztuki w wielkim wydeniu wrzaca na ul. Świdnicką. Kolorystyka w odbiorze pejzażu z perspektywą powietrzną, dostrzegł, że barwy zimne i ciepłe zestawione ze sobą na jednym obrazie budują głębię przestrzeni. Czerwone postrzegane są jako coś bliższego, niebieskie jako coś dalszego. Milicja zapewnia głębię w odbiorze sztuki. Wyławia się biały wózek otoczony milicjantami i tajnikami. Stojący przy barze Barbara tłum przyłącza się, rozlega się dźwięk trąbki. Wszystko czołwa. W pobliżu pojawia się liczna grupa. Żabie okulary, antenki, sprzęt elektromagnetyczny i wodny. Niosą materac i transparent z napisem "Kosmici za referendum". Ale ci egzotyczni sojusznicy rządu zostają jako pierwsi zatrzymani przez troskliwą matkę milicję.

Komici aresztowani, a tłum z wózkami nadal prowadzi manewry. W pobliżu galerii kolejna trąbka. Coraz więcej milicji i uczestników heppeningu spotyka się pod salonom sztuki. Wiszące obrazy milkną na widok tak wielkiej sztuki. Tu, w tym miejscu, w tej chwili, buduje się kompozycja "Nocnej strażnicy", wielkiego czuwania, albo może trafniej, wzniesłego przeczuwania.

Okna wystawowe przystońnięte jasną długą tkaniną. Tonacja światła na twarzach wywołuje miękkość rysów. Bladość jesieni nadaje cech delikatnych, nie kontrastuje z powagą sytuacji. Następną trąbka wywołuje entuzjazm, oklaski i śmiechy. W tym miejscu sytuacja malarska i muzyczna zbiegają się w liniach papilarnych dźwięku, które poruszają się wzdłuż krawędzi wystawy, opadają co chwila na wózek. Nie deszcz lub noc stanowi analogię wielkich dzieł, ale ustawienie postaci. Noc tylko inspirowa, wprowadza głębię. Kim jest ta osoba do której mówią funkcjonariusze, niech pani już skończy ten koncert. Pod względem kompozycyjnym istota ta stoi bez zarzutu obok wózka. Następnie wyłaniający się spod cienia milicjanci tworzą ustawienie frontalne, zamykają głębię przestrzeni. Spełniając dla sztuki funkcje kompozycyjne, nie zapominają o własnej woli. Ich oczy są lekko rozbiegane. Ustawienie figur jakby wyszło idealnie z ramek Rembrandtowskiego dzieła i stanęło w centrum akcji ulicznej. Rozlega się zewsząd jazgot gwizdzków. Na tym heppeningu nie ma werbla, jego plastyczną funkcję podtrzymuje wózek. A teraz w kulminacyjnym momencie zrobmy analizę szczegółową postaci. Interesujące są twarze. Samotna kobieta z trąbką - przy bliższym poznaniu pod kunsztownym makijażem gdzieś tam wyglądają plamki po goleniu. Ostre zmarszczki, włosy, może peruka, owłosione części rąk, wystające spod wytwornego płaszcza. Postać stojąca z wózkami, mocne zdecydowane rysy twarzy, warg, w kącikach ust delikatny uśmiech. Jest to postać znana przewodniczącym związków zawodowych. W trakcie heppeningu związki zawodowe to równie poważny problem, jak w czasach Rembrandta stowarzyszenia wolnych obywateli w Niderlandach. I tu kończy się Rembrandt, zaczyna bardziej awangardowy styl malarski. Już dama z drąbką jest niesiona, ktoś krzyczy: "To Major!". Milicjanci wstępują: "Stara i głupia". Osoba niesiona: "Tylko nie stara!", funkcjonariusz dodaje: "Kurwa, jednak stawia opór". Wpada na pomysł: "O, lałunia nie chce zmoczyć sobie dupcy" i traci w kałużę. Obok gwizdki, biega sportowcy. Wielka akcja, chwytania i wciągania do wozu. "To nie kobieta, to pedał" - mówi pośpiesznie milicjant. W głębi jednej z nysiek siedzą inne bardziej modernistyczne postacie, damy w czerwonych krawatach przed chwilą dzierżące jakiś transparent. Obok młodzieniec z długimi jasnymi włosami, twarz identyczna jak "aniola rewolucji z opisu rewolucji październikowej". Obraz w nysce jest mocny. A więc rude włosy, zielone oczy, wydane usta mieszają się z ciemnymi lokami, te z bladą poświatą anielską. Jedyną dominantą są tu czerwone krawaty. Referendum rozwija skrzydła w domu handlowym Merkury, ktoś wystawia dużą urnę, leca ułotki, plakaciki przypominające sławne kartki na mięso, bilety wizytowe rządu PRL. Zamiast napisów mięso, rodzaje gatunków, czarne okulary - znany motyw ikonograficzny i napisy:

kijek, marchewka. Na szczęście mięsa nie kupuje się na talony za makulaturę. Zwiok pomordowanych zwierząt ciągle nie wystarcza na głowę mieszkańca. A niepotrzebnych gazet coraz więcej. Akcja w Merkurym nie satysfakcjonuje już nikogo, na ulicy jest przecież wrzenie, świergot gwizdków, rechotanie megafonów, trąbki i okrzyki, wielka dynamika. Jeden z uczestników wyskakuje, "ruszajmy!" - okrzyk. Bieg osoby, której tors stanowi urna. Okrzyki tłumu "Referendum". Milicjanci w biegu poprawiają mikrofony. Kopią, trzask drzwi i koniec. Jeszcze chwila, i również próba referendum pod pregliszem kończy się dla ponętnej brunetki zainteresowaniem milicji. Pod Feniksem szarpanina z działaczami szkolnymi - edukacja społeczna ma szansę powodzenia, na wszystkich frontach nieustanne potyczki. Kilku ekshibicjonistów politycznych oddaje dokumenty. Dziwne typy, rozpinali i zapinali piąszcze, pod spodem mieli plakaciki z napisami "Dwa razy Tak". Gdzieś z boku nyski afery. Milicjanci przez pomyłkę zatrzymują tajniaków i usiłują ich aresztować. Piękne czasy, tu jesteśmy zaniepokojeni, a tam nagradzamy ciężką pracę milicji oklaskami. Sceny z Breughla i Rembrandta ustępują miejsce teatrowi otwartemu. Logika zbyticzna. Oddajmy się wielkiej sprawie, jaką jest przekraczanie systemu społecznego w heppeningu.

Padają ponowne propozycje przez megafon: "Proszę się poruszać, robić zakupy, jest mokro i zimno, proszę się poruszać, robić zakupy, jest mokro i zimno, proszę się poruszać!".

"oralność" tłumu maleje, jak mówi wybitny poeta ludzkiej psychiki Jung. Tłum wariuje i wznosi okrzyki: "Szesnaście godzin pracy". Od czasu do czasu podczas zbliżania się funkcjonariuszy padają hasła: "Dwa razy tak". Funkcjonariusze otaczają przystanek tramwajowy. Milicja obywatelska, wielka sprawa, duży heppening. Wpychają do stojących na przystankach wozów bawiący się tłum. Nie jest to ograniczenie praw obywatelskich. Po prostu każdy tam jedzie, gdzie wskaże lub wepcha milicja. Momentami stróże prawa są zmęczeni. Robią chwilę odpoczynku, obserwują oddalające się na szynach odgłosy, krzyki, gwizdki i wyrazy: "Solidarność" oraz "Referendum". W końcu o 17,30 ostatnie osoby na przystanku znajdują miejsce w tramwajach. Pozostaje już tylko deszcz. Na komendzie panuje ożywiony ruch. Jedna z osób, mężczyzna przebrany za kobietę, korzystając z zaętu opuszcza gmach Prezydium Milicji, upuszcza dokumenty. Trochę śmiechu, włączono telewizor. Rutynowe pytania. Na ogół wszyscy czują się dobrze, tylko po jedną osobę przyjeżdża karetka. Wielką sprawą jest pacyfikacja, generał czarne oczko przekroczył granicę większą niż Cezar. Rzymskie legiony przechodząc Rubikon atakowały wroga. Generał zaatakuj przyjaćciół, straci szansę, powinien oddać się pod opiekę okulisty.

Dwa dni później w lokalach wyborczych poniesie klęskę. Ale tego dnia wesołkowie czynią pierwsze przygotowanie do Św. Mikołaja. A więc nareszcie ktoś się nawróci.

Waldemar Maria Frydrych

WALDEMAR FRYDRYCH

Wigilia rewolucji

Tyś roku cały świat czcił 70 rocznicę Rewolucji Październikowej. Wielkie święto obchodzone na wszystkich kontynentach. Wiadomo, leninizm to wiecznie żywa pochodnia idei i praktyki. Leninizm zaczyna się w Mauzoleum, kończy w sercach ludzi. Ostoja leninizmu są szczególnie długie kolejki po mięso. Leninizm to ciągle określanie na polepszenie.

W Łodzi władze partii i miasta nie zadbały, by obchody miały żywy charakter, lecz postarały się o to masy ludowe. Już kilka dni przed tym doniosłym wydarzeniem pojawiła się ulotka:



ПРАВДА

nas wyzwoli

TOWARZYSZE!!!

Dzień wybuchu Wielkiej Proletariackiej Rewolucji Październikowej

jest dniem Wielkiego Wydarzenia. Obecnie Święto Rewolucji nie ma swojej wigilii.

Towarzysze, czas przełamać bierność mas ludowych! Zaczniemy obchodzić Wigilię Rewolucji Październikowej. Zbierzmy się już 6 listopada w piątek o godzinie 16,00, na ul. Swidnickiej pod "zegarem historii".

Towarzyszu, ubierz się odświętnie, na czerwono. Załóż czerwone buty, czerwoną czapkę, szalik. Jeżeli nie dysponujesz nawet czerwoną opaską lub innymi elementami garderoby, pożycz od sąsiadki czerwoną torebkę. W ostateczności z braku czerwonej flagi, pomaluj na czerwono końce palców. Jeżeli nie masz nic czerwonego, możesz kupić bąblek z keczupem. My czerwoni /czerwone twarze, włosy, spodnie i usta/ zgrupujemy się tego dnia pod zegarem ok. godziny 16,00.

SPOTKAJMY SIĘ TOWARZYSZE NA WIECU KU CZCI REWOLUCJI!!!
IDEA I PRAKTYKA LENINA I TROCKIEGO WIECZNIE ŻYWA!!!

RADA KOMISARZY LUDOWYCH

Przyrowadź swego psa - o godz. 16,15 pod zegarem odbędzie się wystawa psów rasowych i nierasowych pod hasłem "Psy na rzecz rewolucji". Czerwone kokardy przy smyczy mile widziane.

Hau! Hau!

Zakończeniu Święta odbędzie się w Barze Barbara, gdzie uczestnicy wiecu spożyją z jednej miski wigilijny barszcz czerwony oraz inne stosowne potrawy.

Tak, towarzysze! Wielkie święto musi mieć swoją wigilię. Najpierw materializm historyczny, potem dialektyka. Wielki entuzjazm, a za nim nieograniczona refleksja.

Tradycja wigilijna wymagała jasełek, procesji oraz pasterki. To wszystko zostało przygotowane z dozą wycucia. Najpierw miał się pojawić duch materializmu historycznego: pancernik "Potiomkin", potem krążownik "Aurora", wreszcie inscenizacja ataku na Pałac Zimowy. Na końcu czerwona gwiazda przyniesiona przez kolędników. Wielką zwycięską defiladę otwierać miały oddziały Czerwonej Kawalerii. Pałacem Zimowym w tym wypadku był Bar "Barbara". W pobliżu była też poczta - ważny punkt strategiczny.

Materiały propagandowe, wielkie plakaty, naga baletnica z sierpem i młotem, niezwykła uroda towarzysza Lenina w aureoli czerwonych gwiazdek, przyciągnęły rzesze na ulicę Swidnicką.

Materializm historyczny ujawnił się już o 16,00, kiedy to pojawił się pancernik "Potiomkin". Chłuba floty czarnomorskiej w krótkim czasie otoczona została tradycyjną niebieską poświatą. Okręt przechyla się na burtę, tajniacy zrywają karton, szamotanina, załoga siada, trzyma się błotnika stojącego obok samochodu. Krótka, męska walka i już marynarze, ściągnięci z dziobu, zostają przeniesieni do "nyski", tam zakuci w kajdanki otrzymują w twarz. A gdzie krążownik "Aurora"? Czy też zaatakowany?

Flota bałtycka zgrupowała się w Domu Mody "Merkury". Najpierw pojawiła się tam znana z urody dama. Jest w ciąży, wielki brzuszek. Komedja, czy też nieuważa podczas kolejnego romansu? Trudno wyczuć. Tymczasem, na drugim piętrze jeden z towarzyszy zajmuje damską kabinę i przebiera się. Jest czerwony. Piękniś. Nie może wyjść, wszędzie kręcą się tajniacy. Brak jednego działła, które miało być przywiezione w dziecinny wózek. W końcu dama podejrzanej kondyty chudnie

- towarzysze dowódca wyciąga płótno i załoga przebiera się. Towarzysz komisarz polityczny krążownika wyciąga fiaskę czerwonej farby, oblewa sobie i załóżce twarz. Wszyscy są czerwoni. Krążownik "Aurora" to wielki dramat dowódcy i komisarza politycznego. Dowódca pił piwo "Wieszcząskie", zdradził rewolucję. Komisarz polityczny wszedł na mostek kapitański. Podczas rewolucji często komisarze polityczni przejmują ster.

Przy wyjściu z "Merkurowego" okręt ociera się o sterzącą niczym falochron "nyską". Od strony rynku akwen jest pusty zaś po prawej stronie morze głoź - wielka latarnia morska - zegar odmierzający czas rewolucji obiegany przez nieprzebrane masy ludowe. Komisarz polityczny skierował liniowiec w stronę zegara, w miejsce gdzie stała pewna dama. Czyżby uległ odchyleniom, czyżby zawiadnął nim seks i korupcja? Niemożliwe, przecież komisarze polityczni są czysti jak łaza.

Milicjanci nie rozpatrywali tak szczegółowych niuansów w manewrach okrętu, uderzyli od czoła. Dziełem okrętu był jeden z towarzyszy w masce towarzysza Lenina. Wielka bitwa. Co robić? Towarzysz dowódca chce zachować uczciwość proletariacką, ale od ciosu miesza mu się w głowie. Czuje się zmęczony umysłowo i siada w błocie. Resztki piwa wyparowały. Na hepeningu dobrze odbierać wszystko na trzeźwo. Komisarza politycznego niosą do "nyski". Walka trwa. Lud krzyczy: "Rewolucja". Do walki wkracza obrona cywilna, uzbrojeni w gwizdki obywatele. Wiączają się również łączniczki floty bałtyckiej oraz matka chrzestna krążownika. Wiele osób siada obok płótna.

Z odsieczą idą karabinierzy z piechoty morskiej, marynarze, towarzysze z garnizonu Kronsztad. Właśnie forsują wielki dom handlowy. Ruszają do przodu. Strzelani na od strony rynku, kanonada gwizdków, dziesięcioosobowy oddział biegnie tyralierą przez ulicę Swidnicką. Milicjanci nie dają się zaskoczyć. Przystają reagować na okrzyki "Rewolucja", nie zatrzymują już osób ubranych na czerwono, tworzą blykawicznie zapórę w pobliżu poczty. Kronsztad jednak naciera w kierunku broniącego się krążownika. Poczta nadal w rękach Rządu Tymczasowego, podobnie jak sławny Bar "Barbara" /Pałac Zimowy/, pilnie strzeżony przez tajniaków. Bar jest zamknięty, wywieszono kartkę z napisem "Awaria". Wokół "Aurory" - Muzy Rewolucji - koncentruje się uwaga tłumu. Milicja otacza jej resztki, wchodzi na pokład, przygotowuje się do obrony. Pobliska kałuża nagle wypełnia się sylwetką człowieka. Dowódca marynarzy z Kronsztadu leży w błocie. Milicjanci zanurzają buty w wodzie, uniesiony z błota dowódca zostaje zaniesiony do "nyski". Siedzą tam już zakuci w kajdany bohaterowie z "Potiomkina". Wszyscy są czerwoni. Niektórzy od czerwonej farбки, inni od uderzeń w policzki. A więc naturalna czerwień na ulicy Swidnickiej.

Na moment obie ścierające się siły przerwały działania. Oto z przejścia podziemnego wyłania się Murzyn. Cud. Ubrany w czerwony beret spaceruje między "nyskami". Ulica zamiera. Afrykańczyk idzie w stronę rynku. Wszyscy obserwują przez chwilę osobliwość. Wreszcie Murzyn znika i bitwa ponownie rozgorzała.

Aby uniemożliwić dalsze ataki Wojewódzki Urząd ustawia wozy w poprzek ulicy. Jakiś pan krzyczy, że nie będzie zdejmował z dziecka czerwonego kombinezonika. Liczba zatrzymanych gwałtownie rośnie. Do "nysek" odprowadzono nie tylko osoby z gwizdkami, lecz także kilkunastu przechodniów ubranych na czerwono. Czerwone szale, czapki, kurtki, swetry, pończochy są już w wozach.

Do przystanku zbliża się autobus. Wewnątrz pojazdu coraz żywiej. To pasażerowie czerwonoogwardziści. Tymczasem na Swidnickiej coraz większe zgromadzenie. Surrealizm Socjalistyczny w pełnej okazałości. Okrzyki: "RE-WO-LU-CJA". Z autobusu wybiega Proletariat. Na koszułkach napisy: "Będę więcej pracować", "Jutro będzie lepiej". Są to Proletariusze, uzbrojeni w karabiny towarzysze z "Polaru" i innych fabryk. Mijają zamknięty bar "Barbara", wokół syją się ulotki. W kanonadzie gwizdków groźnie błyszczą długie bagnety proletariackich karabinów.

"Żądamy rehabilitacji Lwa Trockiego - twórcy Armii Czerwonej" głosi jeden z transparentów. Właściciel koszułki głoszącej chęć zwiększenia wydajności pracy rozwija ofiarnie kolejny napis: "Żądany ośmiodziesiętny dzień pracy dla Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych". Milicjanci są zdezorientowani. Kogo najpierw aresztować? Spacerującego psa z czerwoną kokardą, transparenty czy biegnących z gwizdkami czerwonych towarzyszy. Widać już następne hasło. Tym razem jest to żądanie powrotu towarzysza Jelcyna, I Sekretarza Komitetu Moskiewskiego

Materializm historyczny Trockiego z dialektyką Jelicyna oraz modna na świecie "pieriestrojka" realizują się na ulicy Świdnickiej. Wszyscy aresztowani, jeszcze tylko jeden z proletariuszy, założyciel związków zawodowych w "Polarze", biega z karabinem i gwizdkiem w pobliżu sklepu obuwniczego "Kot w butach". Unosi wysoko nogi jak bocian.

U portalu jednej z nysiek rozgorzała walka, tłum kobiet odbija rewolucjonistę. Większość nysiek rumiemi się od czerwonej garderoby. Pełna krasa! Nie brak też bordowych i różowych elementów. Rewolucja rozwinęła przysłówkowe skrzydła.

O 16,30 w pobliżu hotelu "Monopol" pojawili się kołędnicy. Wyskoczyli z tramwaju z wielkim transparentem: "Barszcz czerwony". Rewolucja kulinarna uświęcona została niesioną na kiju czerwoną gwiazdą. Kilka chwil i kołędnicy są już we właściwym miejscu, pod właściwą opieką. Jeszcze tylko gwiazda powędrowała samotnie przejściem podziemnym, aby wejść po drugiej stronie niczym jutrzienka swobody. A więc to jeszcze nie koniec. Za chwilę nastąpi kolejny atak.

Relacje dowódcy czerwonej konnicy są niezwykle interesujące. Świadczą o tym, że każda rewolucja wynika z siły improwizacji, z happeningu. "Udaliśmy się do miejsca, w którym mieliśmy pobrać sprzęt. Sześć czapek, sześć karabinów, jeden pistolet, lanca z czerwonym proporcem, koniki z kartonu i drewna oraz gwizdki. Siłę uderzeniową wzmocnił rewolucyjny zapach..." Tak, kawaleria była wielkim problemem rewolucji. W jednostce tej na krótko przed bitwą odbył się wiec. "Jesteśmy kawalerią czy piechotą?" - pytał jeden z towarzyszy, którego podejrzewano, iż jest białogwardyjskim wilkiem ubranym w czerwoną skórę. Wiec zakończył się uchwałą aby wprowadzić na nowo kalendarz juliański. Rewolucja Październikowa w listopadzie to skandal. Wyruszyli pobłogosławieni przez czerwonoskrzydłego Anioła Rewolucji. Dwieście metrów pokonali szybkim kłusem by w końcu wjechać na Świdnicka w paradnym, defiladowym szyku. Bum. Piff!! Atak milicji, która zanęcała wąski przesmyk i już po chwili resztki kawalerii zataczają krąg na placu Wolności. W krzawkach ponowny wiec. Dowódca chce atakować od strony Rynku, proponuje marsz falangą. Komisarz polityczny przedstawia inną propozycję. Głosowanie.

Tymczasem na Świdnickiej czuwa Anioł Rewolucji. W pobliżu kościoła św. Doroty jest punkt sprzedaży bagietek. Tam też stoi ubrany w czerwoną tłum. Milicja podejmuje kolejną akcję, funkcjonariusze chcą wstrzymać sprzedaż. Tłum żąda bagietek. Anioł Rewolucji prosi tylko o keczup. Ekspedientka usprawiedliwia się, że nie ma na co połać, gdyż zabroniono wypiekania bagietek. Anioł wyciąga dłoń, prosi o keczup na rękę. Tajniacy w końcu przerywają miłą rozmowę. Czerwona samolotka upada w błoto.

Miedobitki kawalerzystów docierają do Świdnickiej. Dochodzi 17,00. Wreszcie otwierają bar "Barbara", barszcz jednak wycofano ze sprzedaży. Kawalerzyści uśmiechają się spod zielonych budionówek. Piją sok truskawkowy. Nie zdeją dopić do końca...

O 17,00 otwarto bar, zamknięto bagietki. Rewolucja zwyciężyła we Wrocławiu 17.ego listopada. Po dwu godzinach wypuszcza się 150 osób. Wielki Październik został oświetlony gwiazdami i księżycem. Brawo.

Waldemar Maria Frydrych

WALDEMAR FRYDRYCH

Melon w majonezie

Madrość i sztuka wojenna były czczone przez starożytnych Greków w osobie Atery. W historii geniuszu tej sztuki Muzami były: Helena Trojańska, Joanna d'Arc i inne wielkie inspiracje. Nawet bogowie i herosi uczestniczyli w zmaganiach oręża.

Dzisiejsze czasy są specyficzne. Obecne bitwy przypominają bóle brzucha, wielokrotną biegunkę, detonacje i wycia syren to pianie kogutów.

Zanimki czasy lecących strażań, nawet Wojsko Polskie pozbawione jest sukcesów. Aby usatysfakcjonować siły zbrojne przetrzebione przez wdmowy z parasolkami, aby podnieść na duchu wiarusów, Lwów i Lisów Pustyni, zorganizowano na ulicy Świdnickiej we Wrocławiu przemarsz i manewry. W tym celu powołano Ultraakademię, wielką komisję wojskową, która powołała sztab, a ten z kolei wystąpił do mieszkańców z rozkazem.

ROZKAZ UROCZYSTY NR 00

"My, Jego Magnificencja Komendant-Rektor Ultraakademii, zawiadamiamy, że 12 października odbędą się manewry jesienne pod kryptonimem "Melon w majonezie". Miejscem zgrupowania wojsk będzie Twierdza Wrocław z jego dyskretnymi zakamarkami. Manewry te zbiegną się z rocznicą Ludowego Wojska Polskiego, stąd przyjęta zostanie uroczysta defilada na ulicy Świdnickiej, hasło defilady: "Układ Warszawski Awangarda Pokoju". O manewrach zawiadamiamy Układ Warszawski, NATO, a także pozostałych attache wojskowych. Również nie pominięto markietanek. Flotylla zwycięża. Wstęp wolny. Hurra. Czołem.

Sztab Operacyjny"

Nikt się nie spodziewał, aby tak wielka sprawa miała mieć finał w postaci polowania na grubą zwierzynę. Łupem miał być czołg, który wyłonił się od strony Rynku. Czołg. Jego wygląd oszołamał, zrzucił z nóg. Na lewej części pancerza strażaki kierunkowe. Na samej górze w lewo napis "Moskwa", z tyłu "Nowy Jork", niżej kolejna strażaka i napis "Świdnicka". Bardzo ekcentrycznie wyglądał ten potomek tygrysów, z przodu numer 102, napisy: "Love Hans Klos", "Hitler kaput", "Melon w majonezie" i "Układ Warszawski Awangarda Pokoju". W pobliżu gniazda karabinów maszynowych tajemniczy wyraz "Mir".

Grenadierzy pancerni przygotowali się do boju. Czołg posuwał się ulicą. Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych przegrupowuje swoje siły. Czyżby milicja urządziła pułapkę, wykopywała wielką dziurę i jest gotowa do przeprowadzenia polowania na mamuty. Czołg wpada, a milicjanci przybiegają z dragami i kamieniami.

Na ulicy Świdnickiej pojawia się nowa siła militarna. Wrocław jest siedzibą uczelni wojskowej, czołgiem interesują się elewowie, a studenci ze szkoły oficerskiej chcą go zniszczyć, krzyczą, że tego typu maskarada obraża Ludowe Wojsko. Grenadierzy pancerni odpierają atak, nie dają rozerać tektury, przyszli oficerowie otrzymują kilka ciosów w nos. Młodzież otaczająca "Melon w majonezie" uzbrojona jest w karabiny, pistolety i szable, wymachują nimi nad czapkami Ludowego Wojska.

Walka ta paraliżuje milicję, która odciąga elewów, tłumaczy, że rozpędzanie demonstracji to nie ich sprawa. Czołg zbliżył się do przejścia, nareszcie grenadierzy rozwinęli tekturowe skrzydła.

Milicja zwleka, rusza na rozpoznanie jedną nyską, tajniacy czują się niepewnie w tym wzbierającym tłumie.

Milicja boi się powtórzeń w stylu bitwy pod Stalingradem, obawia się okrażenia, ciągle maca sytuację, rozstawia tajniaków, usiłuje uderzyć w Sztab Operacyjny. Ale dowództwo przygotowuje komandosów. W końcu funkcjonariusze przystępują do pierwszych aresztowań. Na horyzoncie rynku pojawiają się białe postacie. Przednia straż z karabinami. W tyle, w strugach padającego deszczu, biegnie czarny płaszcz ze srebrnymi guzikami. Ruch jakiejś czarnej parasolki z napisem "Al Patah", grupa C-1. Gongi, uderzenia pokryw od garnków mieszają się ze świstem gwizdków. Są to oddziały muhadżedinów, siły szybkiego reagowania.

Milicja traci orientację, obserwuje taniec wojenny wokół czołgu, gość w czarnym płaszczu ze srebrnymi guzikami ma epolety wojskowe, po chwili koniec rytualnego tańca, epolety migają w tłumie. Kilka osób krzyczy "ruszajmy". Manewry. Tłum rusza i znika schodząc schodami. Milicja ma pomieszane szyki. Przed chwilą tajniacy ustawili się na właściwym miejscu, przygotowali się do wychwytywania znanych osób, a tu manewr. Czołg znika im z horyzontu, stacza się po schodach, po czym wspina się z drugiej strony przejścia.

Awangardą tej Armii są grenadierzy i komandosi. Podczas tej bitwy nie wznosi się kurz, opadają krople deszczu, nie ma tętentu, tylko dźwięki poruszających się tramwaj i trzask karabinków z plastiku.

Co dalej? - pytanie wodza. Z Placu Teatralnego wyłania się wielka buda. Kiedy popolite ruszenie idąc w ślad za czołgiem śpiewało pieśnię wojskowe, przeciwnik też ustawił się w tyłariere. Zomowcy ruszyli zgodnie z kanonami sztuki wojennej. "Zwycięstwo jest jak kobieta, oddaje się temu, kto je potrafi wziąć" - mawiał starsuszek gen. Nawarro.

Dwie tyłariery zbliżają się, jak dwa grzebienie zaczynają plątać się w gestwinie akcji. Zomowcy są odpowiednikami karabinierów, milicja ma z boku rękawa numer, zomowcy mają boki rękawów, ale bez numerów, są pod tym względem niezależni - zbliżają się do absolutu. Mimo wszystko mają pewne trudności z wyciągnięciem czołgu. Rwą tekturę i dają komuś kopa. Tym skanduje "Gestapo". Ci jednak nie rezygnują, ciągną kogo się da. Tych co się nie dają, też wloką. Ludzie odbijają niektórych jeńców - do akcji wkracza obrona cywilna. Ale i ją ZOMO pacyfikuje. Jeszcze trwa kolejna próba zwierania szyków, ale już kończy się zabawa. Jeńców przewożą na Plac Wolności. Tu oficer ma rozrywkę. Kogoś usiłuje zdegradować, ściga epolety z czarnego płaszcza, innej osobie puka dowodem osobistym po głowie. Puka, domaga się a kuku! A KUKU!!

Zomowcy śmieją się, oficer jest dowcipny. "Jaki pan, taki kras" - głosi polskie przysłowie. Jeńcy są wolni, Plac Wolności opanowany przez deszcz. Na Świdnickiej w kałuży miękną resztki czołgu, zwycięstwo oddaje się wilgoci, a oficerowie kochają święte markietanki.

VIVAT ATENA! Układ Warszawski to awangarda pokoju. Niech żyje melon, niech rozkwitają manewry. Vivat.

Waldemar Maria Frydrych

poezja

ZBIGNIEW HERBERT

Wiersze

D Ę B Y

W lesie na wydnie trzy dorodne dęby
u których szukam rady i pomocy
bo chóry milczą odeszli prorocy
nie ma na ziemi nikogo bardziej
godnego szacunku dlatego do was
kieruję - dęby - ciemne pytania
na wyrok losu czekam jak niegdyś w Dodonie

Lecz muszę wyznać że mnie niepokoi
wasz rytuał poczęcia - o rozumne -
u schyłku wiosny na początku lata
w cieniu konarów roi się
od waszych dzieci i niemowląt
przytułki listków sierocińce kiełków
blade bardzo blade
słabsze od trawy
na oceanie piasku
walczą samotnie samotnie
dlaczego nie bronicie waszych dzieci
na które pierwszy mróz położy miecz zagłady

Co znaczy - dęby - szalona kruczata
rzeź niewiniątek ponura selekcja
ten nietzscheański duch na cichej wydnie
zdolnej utulić słowicze żale Keats'a

tutaj gdzie wszystko zda się skłania
do pocałunków wyznań pojednania

Jsk mam rozumieć waszą mroczną parabolę
barok różowych aniołków śmiech-białych piszczelei
trybunał o zaranku egzekucja nocą
życie na oślep zmieszane ze śmiercią
mniejjsza o barok którego nie znoszą
lecz kto rządzi
czy bóg wodnistooki z twarzą buchaltera
demiurg nikczemnych tablic statystycznych
który gra w kości zawsze wychodzi na swoje
czy konieczność jest tylko odmianą przypadku
a sens tęsknotą słabych ułudą zawiedzionych

Tyle pytań - o dęby -
tyle liści a pod każdym liściem
rozpacz

BAJKA O GWOŹDZIU

Z braku gwoździa upadło królestwo
- poucza mądrość nianiek - lecz w naszym królestwie
od dawna nie ma gwoździ nie ma i nie będzie
ani tych małych zdalnych by przybić obrazek
do ściany ani dużych którymi zamyka się trumnę

a mimo to lub właśnie może dzięki temu
królestwo trwa i nawet budzi podziw innych
jak może żyć bez gwoździa papieru i sznurka
cegły tleny wolności i czego tam jeszcze
widocznie można skoro trwa i trwa

ludzie mieszkają u nas w domach nie w pieczarach
dymią fabryki w stepie przez tundrę pociąg jedzie
i beczy statek na zimnym oceanie
jest wojsko i policja pieczęć hymn i sztandar
na pozór wszystko jak na całym świecie
tylko na pozór bo nasze królestwo
nie jest tworem przyrody ani tworem ludzkim
niby trwałe wzniesione na kościach mamutów
w istocie słabe jakby zatrzymane
między czynem a myślą bytem a niebytem

upada liść i kamień to co jest realne
lecz widma żyją długo uparcie na przekór
wschodom zachodom słońca obrotom ciał niebieskich
na pohanbioną ziemię padają żyzy rzeczy

PRZEMIANY LIWIUSZA

Jak rozumieLi Liwiusza mój dziadek mój pradziadek
bo na pewno czytali go w klasycznym gimnazjum
o mało stosownej porze
gdy w oknie staje kasztan - żarliwe kandelabry kwiatów -
a wszystkie myśli dziadka i pradziadka biegły zdyszane do Mizi
która śpiewa w ogródku pokazuje dekolt oraz boskie nogi do samych kolan
albo Gabi z wiedeńskiej opery w lokach jak cherubin

Gabi z zadartym noskiem i Mozartem w gardle
czy w końcu do pocziwej Józii ucieczki strapiionych
bez urody talentu i większych wymagań
a więc czytali Liwiusza - poro kwiatostanów -
w zapachu kredy nudy nafty którą zbywano podłogę
pod portretem cesarza
bo był wówczas cesarz
a imperium jak wszystkie imperia
zdawało się wieczne

Czytając dzieje Miasta ulegali złudzeniu
że są Rzymianami lub potomkami Rzymian
ci synowie podbitych sami ujarzmieni
zapewne miał w tym udział łacinnik
w randze radcy dworu
kolekcja cnót antycznych pod wytartym tużurkiem
więc za Liwiuszem wpajał w uczniów pogardę dla motłochu
bunt ludu - res tam foede - budził w nich odrazę
natomiast wszystkie podboje wydawały się słuszne
znaczyły po prostu zwycięstwo tego co lepsze silniejsze
dlatego bolała ich klęska nad jeziorem Trazyweńskim
dumą napawały przewagi Scypiona
śmierć Hannibala przyjęli z niekłamaną ulgą
łatwo zbyt łatwo dali się prowadzić
przez szafice zdań ubocznych
zawiłe konstrukcje którymi rządzi imiesiów
wezbrane rzeki wymowy
pułapki składni
- do bitwy
o nie swoją sprawę

Dopiero mój ojciec i ja za nim
czytaliśmy Liwiusza przeciw Liwiuszowi
pilnie badając to co jest pod freskiem
dlatego nie budził w nas echa teatralny gest Scewoli
krzyk centurionów tryumfalne pochody
a skionni byliśmy wzruszać się klęską
Samnitów Gallów czy Etrusków
liczyliśmy mnogie łajona ludów startych przez Rzymian na proch
pochosanych bez chwały które dla Liwiusza
nie godne były nawet zmarszczki stylu
owych Hirpinów Apulów Lukanów Uzentyficyków
a także mieszkańców Tarentu Matapontu Lokri

Mój ojciec wiedział dobrze i ja także wiem
że któregoś dnia na dalekich krańcach
bez znaków niebieskich
w Panonii Sarajewie czy też Trebizondzie
w mieście nad zimnym morzem
lub w dolinie Panszir
wybuchnie lokalny pożar

i runie imperium

Zbigniew HERBERT

/Przedruk: Kultura, Paryż, styczeń-luty 1987/

IWONA POKORA

Wiersze

* * *

Zgubiliśmy się w trawie jak porzucone zabawki.
Nad nami kołyszą się łądygi, liście
nabierają barw późnej jesieni. Odwiedzają nas
wróble, wrony, czasami sroka
popatrzy na nas przekręcając łebek.
Speziliśmy z koloru, dwa niepotrzebne przedmioty,
których przeznaczenie drwi z ich wymyślnych kształtów.
Nie staniemy się niczym łupem. Zarasta nas trawa
daleko od ścieżki - tędy nikt nie chodzi.
W niedzielne poranki słyszymy głosy dzieci,
nawoływania dorosłych, ujadanie małych psów
skaczących za piłką.
W każde niedzielne przedpołudnie coraz mniej wiary,
że ktoś nas odnajdzie.
Pochłonięci przez trawę zapominamy, czym byliśmy.
Nie wiemy czym się staniemy, kiedy nadciągnie deszcz.

22,23.III.1988

PROBA ODEJSCIA

Żegnamy się jakbyśmy się mieli rozejść tylko na chwilę,
na uściśnięcie ręki kilku obcym ludziom w naszym życiu.
Jesteśmy pełni obcych ludzi w naszym życiu.
Zbyt często to powtarzaliśmy, zbyt stało się prawdziwe.
Żegnamy się na chwilę. To tylko
kilka kroków wzdłuż życia, kilka wszerez.

Na peryferiach, w którymś z pustych domów
zostawię ci list. Napiszę w nim, że kiedyś
byliśmy tu razem. Otwieraliśmy okiennice,
zapalaliśmy światło. Że kiedyś byliśmy razem.
I napiszę, że czytając
już w to nie uwierzysz.
A ja- że nie pamiętam, gdzie położyłam kopertę.

Napiszę, że tak, tak, tak. To dobrze.
Bo o czym będziemy rozmawiać, kiedy się spotkamy.
Za chwilę pewnie odjeżdżałby twój ostatni pociąg.
W nadchodzącym brzasku przedmioty drgnęłyby lekko
jakby chciały stąd uciec, zostawić nas samych.
Czy udałoby się nam na nowo
oswoić w tej pustce?

Wiem, że nie będziesz go szukał,
a jednak piszę ten list.

Awinion, 1348

Musimy stąd wyjechać. Nad nami pęknięty dzwon.
Jego serce ukryte w którymś z nas nie bije.
To wszystko w nas już było. Wiara, że pod tym drzewem,
narysowanym jednym pociągnięciem ołówka
zaczynają się wszystkie kosmogonie.

/Nazywała się Wietrzna Góra wietrzna góra weszli na nią
i spojrzeli po sobie Było ich dwóch Święty Augustyn
z kartek przyniesionej książki stanął między nimi
Nie tu patrzcie powiedział Pod nimi
otwierały się pyszczki ryb w ciemnych łupinach rzeki
Ptaki nieruchomiały w locie Las gęstniał w kolejną noc
Nie tu patrzcie powiedział Patrzcie w siebie/

Wyjedźmy. To nie będzie tak naprawdę nic poważnego.
Przecież żadne z nas nie potrafi uciekać.
I nie umiemy wymyślić ani jednego wspólnego słowa.
W lekkiej plamie przypadkowego miasta
przejdziemy kolejny most i już będziemy sami.

/Kiedy został sam z pogrzebanymi przez siebie braćmi
kiedy został sam Reszta uciekła lub umarła
Zamknął za sobą drzwi celi Oto jestem
powiedział do Boga Ja Gerard zostałem sam Oto jestem Panie
I nie podziękował mu modlitwą/

1987 - 1988

IMIĘ CHRABĄSZCZA

Kiedyś wszystko się zatrzyma
na jednej z małych planet ktoś zapomni wieczorem
zapalić latarnię stężeją skrzydła płaszczy na wietrze
narysowana na piasku ryba nie popłynie

być może potem
to wszystko będzie dziać się dalej
będą rodzić się nowe drzewa miasta galaktyki
dmuchające będą gubić suche krople przestrzeni

to wszystko może dziać się potem
potem którego nie ma -
to jest tylko imię chrabąszcza
który przewrócony na grzbiet
nieporadnie grzebie się w suchym piasku
przebiera coraz wolniej nogami

jego imię

MAGA

Chyba wiem w co grasz /Pociąg
dojeżdża do Warszawy/ Stojąc naprzeciwko okna
uczestniczę w rytuale wtajemniczenia
Tylko na chwilę wyszłam
z księgarni przy ulicy Północnej czy Południowej
a już powieść zamieniła się w wiersz
który krzepnie szybko więzi broniące się ręce
i nie potrafię myśleć o tobie inaczej tylko
słowami cudzych wierszy

przyślę ci pozdrowienia
- wszystko jest takie małe że prawie nic nie ma
kilka rozgniecionych tłustych liter na kartce

TAUTOLOGIA

Ta postać na fotografii niosąca dziecko to ja.
Zdjęcie jest nieostre, ktoś trzymający aparat
poruszył ręką. Chwieją się drzewa, liście
na pierwszym planie prowadzą cały obraz.
Takie wyraźne, jakby o nie tu szło.
Bo niedługo już nikt nas nie rozpozna.
Tych liści pozwijanych w trąbki nawet ja
już nie pamiętam. Na pewno były żółte?
I my, wpatrzone w obiektyw
zwijamy się w jakąś obcą twarz, jedną,
wspólną twarz dla nas obu,
twarz liścia, który spadł bo powstał
z gałęzi, z drzewa, z życia
rozdzielonego na tym zdjęciu
niesprawiedliwie. Za dużo tu drzew.
Za mała moja sylwetka. Zbyt rozmazane
kontury. I dziecko - ta dziewczynka
zgubiła się wśród liści.

Nota o autorce:

Iwona POKORA ur. 1962. W roku 1987 wydała tomik
pt. "Dla ciebie otwarte drzwi", za który otrzymała
nagrodę im. Kazimierza Iłzakowiczówny za najlepszy
debiut poetycki roku. Ostatnio otrzymała pierwsze
nagrody w ogólnopolskich konkursach poetyckich
"O dzban czarnoleskiego miodu" w Radomiu i
"O herb grodu" w Chrzanowie. Studiuje na wydziale
pedagogicznym WSR-P. Mieszka w Siedlcach.

Małgosi Białej

Plakaty zapowiadające spotkanie wisiały na każdej tablicy ogłoszeniowej i na każdym słupie. Całe nasze miasto było nimi oklejone. Nie można było uciec przed wielkimi zielonymi plachtami zepowiadającymi wieczór autoraki Zofii Rybińskiej: poetki - żołnierza AK. Wszyscy wokół powtarzali: "temat odblokowany - odblokowany temat", "można mówić, można iść, trzeba iść".

Przybyliśmy z Hrabią na spotkanie punktualnie. Prezes, znając nasze zamiłowanie do poezji, zajął nam miejsca na samym końcu. Sala była wypełniona po brzegi. Przybyli niemal wyłącznie młodzi i starzy. Prawie w ogóle nie było Greduchci Boła, gdzież oni się podziali? Gdzie oni są? Dlaczego nie przyszli?

- Chodź Czarlis - rzekł Hrabia - uciekajmy z tego miejsca. Popatrz - tylko dyskretnie! - popatrz w prawo. Spójrz na te gęby. Uciekajmy: NSZ, jak Boga kocham, NSZ. Jezusi skąd ja znam te mordy? Gdzie ja je widziałem? Czarlis, uciekajmy półk czas...

Spojrzałem przerażony w prawo. Rzeczywiście fizjonomie wskazywanych przez Hrabiego osobników nie wyglądały najlepiej. Do diabła czy wszyscy ludzie o takich poglądach muszą wyglądać jak nieporozumienia genetyczne? Czy wszyscy muszą mieć takie mordy? Było jednak za późno aby uciekać, bowiem właśnie w tym momencie pani Rybińska zaczęła się przedstawiać. Słyszałem to już sto razy: wiersze pisze od urodzenia, otrzymała liczne nagrody i wyróżnienia, ten napisał o niej to a ten tamto... Zacząłem mówić "Ojczy nasz".

Po co ja tutaj przyszedłem? Ież już razy zaklinałem się, przysięgałem, że trzeba mnie najpierw będzie związać i pod przymusem przyprowadzić... A tymczasem ja sam, dobrowolnie, z grupy, braku wyobraźni czy z Bóg wie czego... przyszedłem.

Rybińska jakąjąc się zaczęła czytać:

Szumiące brzozy

Nad samotną mogiłą szumią brzozy,
cicho śpi bezimienny żołnierz,
gdzieś w oddali beczą kozy,
a chłop orze nie myśląc o wojnie...

Mamusiu! "Brzoza - mogiła - koza". Nie! Zacząłem mówić "Zdrowaś Mario".

Lecz Bóg mój nie chciał mnie wysłuchać. Płynące z oddali, skrzekliwe słowa ryły moją duszę jak dziki ściółkę leśną. Nie proszone, wypraszane atakowały jak rozwścieczony rój os. Popatrzyłem na Hrabiego - siedział błędy i tępo patrzył na włosy panienki, która zajmowała miejsce przed nami i zaczynała powoli zasypiać. Spojrzałem na NSZ. O nie, oni nie byli przygnębieni. Patrzyli dumnie przed siebie, patrzyli jak w święty obraz, "silni - zwarci - gotowi", tylko jak poetka wykrzykując przeczynała jakąś cienkimi nićmi sztytu aluzję pod wiadomym adresem, spoglądali na siebie i z uznaniem kiwali głowami. Po sali przechodził szmer zadowolenia.

Bronić się! Bronić! Czarlis, bo zwariujesz do reszty! Trzeba o czymś myśleć... Tylko o czym? Może o...

- Boła mnie już nogi, Czarlis - powiedziała Meryl Streep. - Chodź, tutaj niedaleko jest kafejka, usiądźmy i odpocznijmy.

Zgodziłem się. Meryl przytuliła się jeazcze bardziej i ruszyliśmy w kierunku rue Bouvard. Po kilku minutach marzcu siedzieliśmy na tarasie café, której patronowała firma "Daab". Meryl jak zwykle zażyła sobie sok pomarańczowy i lody, ja natomiast sandwicza i dwa piwa. Gdy kelner zrealizował nasze zamówienie, zapytałem:

- Meryl, widzę, że jakaś nieswoja jesteś. Powiedz, co ci łączy na wątrobie?
- No cóż - rzekła rumieniąc się - kiedyś i tak musiałabym ci o tym powiedzieć.
Bałam się, nie wiedziałam jak zareagujesz... Otóż Pacula zaproponował mi rolę
w filmie, bardzo dobrym, ale są tam... momenty... Nie wiem co mam zrobić...

- Ależ stara - roześmiałem się - bierz ją, nie ma sprawy!

- Zgadzasz się? Naprawdę?! - Meryl, rzuciła mi się na szyję i gorąco...

Rzeko mojego dzieciństwa,
Muchawko połyskliwa,
nad twoim brzegiem,
uszkły oset się kiwa...

Nie, Meryl, nie... "Muchawka - nad brzegiem oset - i w dodatku się kiwa".
Hrabia spojrział na mnie zrozpaczony, natomiast siedzący z mojej lewej strony
Stasio zaczął płakać i powtarzać cicho: "Bładaczka - nie zachwyca! - Galkiewicz
- nie zachwyca - jak zachwyca kiedy nie zachwyca - Galkiewicz - duszy nie przewie-
rca".

Ruszyliśmy z Avenue de la Bourdonnais, gdzie zaparkowany był nasz samochód,
w kierunku hotelu. Prowadziła Meryl śmiejąc się ze mnie, że nie umiem jeździć
samochodem.

- Nie rozumiem - mówiła rozbawiona - dlaczego ty nie chcesz nauczyć się
jeździć? Przecież to takie przyjemne! Daje ci wolność! Ale skoro taki uparty
już jesteś to wiesz co? Na gwiazdkę kupię ci helikopter! Będziesz sobie latał!

Ucieszyłem się z obiecane go prezentu, choć nie było dla mnie zupełnie zaskocze-
niem, że Meryl zamierza mi kupić coś droższego. Gdy mknęliśmy rue de Babylone
w kierunku Saint Germain de Prés, Meryl wyznała, że zamówiła dla nas dzisiaj
kapiel w szampanie.

Gdy tylko przybyliśmy do hotelu, Meryl wzięła prysznic i jak kłoda drewna,
zmęczona długim spacerem, rzuciła się na ogromne łożo. Położyłem się obok niej
i zacząłem delikatnie gładzić jej włosy. "Gdybyś tak kotku - szeptałem jej
czule - pobiegała w Polsce kilka godzin za masłem to takie spacery by cię nie
rozkładaly". Masowałem jej plecy. Meryl odwróciła się, położyła na znak i
uśmiechnęła. Pocałowałem ją w policzek, rozwiązałem pasek od szlafroka i...

Zachód słońca nad Krzymoszami
Wraca do nas dziecięcymi snami.
Biekitem nieba, zapachem łąk Podlasia,
głośnym wołaniem pastucha Adasia...

Ratunku! ratunku! - krzyczała moja dusza. Przechyliłem się i zapytałem Prezesa
ile to jeszcze potrwa. "Dwie lub trzy godziny" - odparł ze stoickim spokojem. Mat-
ko święta co w Ostrej Bramie świecisz! Przecież dopiero upłynęła nieszczęsna godzina!
Nie wytrzymam, nie zniosę...

- Hrabia - szepnąłem mu do ucha - uciekajmy stąd. Uciekajmy bo to się łąle
skończy... Jeżeli mi nawet Meryl nie pomaga, to ja już nie wiem...

- Nie da rady - wyszeptał - popatrz tylko na tego w drzewiak, tego w oficerkach
... Nie wypuści. Nie wiadomo czy on czegoś tam pod marynarką nie trzyma...
Lepiej nie ryzykować.

Cóż tu robić? Cóż tu robić? - pytałem kilkakrotnie sam siebie, gdy tymczasem
każde słowo poetki odbierało mi szczyptę woli. Trzeba o czymś myśleć, żeby
nie dopuścić do siebie tych ceposłów. Piwo...

Och! Gdybym teraz mógł być w MOT-cie. Siadamy z Hrabią przy stoliku, zamawiamy
po trzy "Pilsnery" i po golonce z kapustą. Kelnerka z uśmiechem przynosi nam
wszystko o co prosiliśmy. Obrus lśni i pachnie... Prawą ręką chwytam butelkę
i nalewam... Piana rośnie wprost proporcjonalnie do ilości piwa w szklance,
strumień nalewanego piynu tworzy lej niemal dotykający dna. Przyglądam się
jak wolno opada piana a piwo nabiera klarowności. Biorę szklankę do ust, moczę
w pianie wąsy i piję... Lecz nie dadzą mi wypić spokojnie. Nie dadzą, abym
w całym przewodzie pokarmowym i w żołądku poczuł błogi chłód, nie dadzą...

Wymarsz o Świecie.
Szczęk broni, szepł modlitwy,
rżenie koni,
poszedł oddział pod żabokliki
był maj, śpiewały słowiki...

Dość! Koniec! Bez względu na konsekwencje, uciekam stąd! Chwyciłem Hrabiego
za rękę i gwałtownie poderwałem się. Jeszcze nie zdążyłem stanąć na równe nogi,

gdy Prezes chwycił mnie za ucho, sprowadził do poprzedniej pozycji i stał boleśnie go kusańca. Hrabia, zobaczywszy co się ze mną dzieje, również bez zezwolenia usiadł ponownie.

Ileż trwały jeszcze te "konie - bronie - Podlasie - Basie - chwały - granaty" tego żaden człowiek wyobrazić sobie nie potrafi, jeżeli tego nie przeżył. Trwało to może rok, może dwa, może wieczność... Cierpiakem za miliony. Dusza moja wiała się na wolność, lecz ciało pozostawało bezwładne. Może dlatego, że całkowicie straciłem już siły, a może dlatego, iż za mną stał Prezes z powrozem w ręku... w każdym razie nie dałem rady się ruszyć.

Nie słyszałem jak pani Rybińska powiedziała: "dziękuję", ludzkości przywrócił mi dopiero huragan braw, który do dzisiaj dźwięczy mi w uszach. Wyzwolenie! Wolność! Nareszcie! Lecz zaślepiiony swoim entuzjazmem zupełnie zapomniałem, że przecież po każdym tego typu wieczorze następują pytania. Po chwili ciszy, uśmiechów zażenowania wśród młodych i satysfakcji wśród starych, wstał jeden z nielicznych średnich. "NSZ - ~~spokój~~ do mnie Hrabia - NSZ, popatrz na tę gębę!".

- Ja chciałem przede wszystkim - mówił, płynnie gestykulując - Pani podziękować. Bardzo podziękować. Ja już dawno czegoś takiego nie przeżyłem, takich wzruszeń, bardzo dawno... W tych pani wierszach, ja wiem?... Jak słyszę te pani wiersze to mnie aż coś tu, tu - zaczął nerwowo szarpać sweter na piersiach - to aż mnie coś tu, no ja nie wiem, ale mnie tu, tu... bierze! Pani wiersze to coś tak jak tego... no... Mickiewicza! - Zamilkł na chwilę, po czym unosząc zaciśniętą pięść w górę, krzyknął: "Więcej takich wieczorów!!!", rozajeździł się dookoła i usiadł.

Poetka podziękowała za słowa uznania, a następnie oświadczyła, że cała jej twórczość poświęcona jest Podlasiu, najpiękniejszemu miejscu jakie ona zna. Och! te strzechy, och! te gościńce, te łany, te pola... Jej słowa były niczym detonator. Ze wszystkich kątów sali zaczęły się krzyki zlewające się w jedno słowo: Podlasie. Po-dla-sie. P.O.D.L.A.S.I.E.

"Najpiękniejsze w Polsce! - Nie, nasze Podlasie jest najpiękniejsze w Europie! - Co też pan opowiada, proszę pana! nasze Podlasie jest najpiękniejsze na świecie! - Kocham Podlasie! - krzyknął ktoś rozzwierająco. - Ja też, jak... własną matką! - Podlasie zawsze wierne! - A co pan myślał!".

Spojrzałem na Hrabiego - był już kompletnie wyczerpany, z trudem łapał oddech. Mnie tymczasem zaczął powoli wracać dobry humor, zacząłem uważnie słuchać wszystkich wypowiedzi, uśmiechać się do panienki, która właśnie się przebudziła, myśleć o opowiadaniu, które właśnie piszę...

Powoli licytacja "podlaskością" przeszła na licytację pstrizotyzmu. Wszyscy mówcy gwałtownie zapałali chęcią oddania życia za Ojczyznę. "Gdyby do mnie przyszli i powiedzieli: Ojczyzna albo życie, to bez zastanowienia odpowiedziałbym: życie, tfu... Ojczyzna! - krzyczał jeden jegomość, który obok nas siedział. "Ja też! ja też! ja też!" - odezwały się zewsząd głosy.

Gdy po tej orgii zaczęły padać pytania na tematy w żaden sposób nie związane z poezją, pani Rybińska uznała za stosowne naprowadzić dyskusję na właściwy tor. Przerwała pewnej pani, która właśnie opowiadała publiczności o doznanych przez siebie krzywdach i powiedziała:

- To, co tutaj państwo usłyszeli, stanowi jedynie niewielką cząstkę mojej twórczości. Bardzo skromną.

Hrabia chwycił się za głowę i zaczął odmawiać "Aniele stróżu mój".
- Ja piszę bardzo dużo - mówiła - gdyż chodzi mi o p a m i ę ć . P a m i ę ć . Ocalić dla przyszłych pokoleń. Historia, pamięć, pamięć, historia... Znow zaczęły się krzyki, znow zaczęła się orgia - tym razem pamięci... Człowiek w oficerkach, który stał w drzwiach, zrobił trzy kroki do przodu /wyślałem, że zacznie strzelać na wiat! /e następnie wojskowym tonem oświadczył: "Zbieramy. Całe archiwum jest! Dokumentujemy! Wszystko przekażemy historii i naszej kochanej młodzieży!".

W tym momencie wstałem i zapytałem czy broń również przekażą. Gość w oficerkach poblądł, rozrzucił ręce jak Chrystus i zaczął krzyczeć: "Nie mamy broni, nie mamy! Amnestia. Stena zdałem. Zdałem, jak Boga kocham, zdałem!".

Pomimo chwilowego zamieszania nie zmieniono tematu, nadal nim była p a m i ę ć .
- Tu na Podlasiu - odezwał się jakiś osobnik z drugiego końca sali - jest tyle pamiętek, zabytków - niszczone, nikt się nie opiekuje... Ja jestem znanym

nieco, nasi dziadzi zachycają się nie tylko w Polsce, ale i w świecie...
Ja mogę ewentualnie przeznaczyć część środków, może... Hrabia...
No jak zapewne państwo wiedzą ja jestem artystą i p a m i ę ć trzeba ocalić,
bo p a m i ę ć...

Zainteresowany wypowiedzią artysty nawet nie zauważył, jak odleciał się
Hrabia, który właśnie w tym momencie podszedł do młocy i pięścią, z całej siły,
uderzył go w twarz, a gdy ten spadł z krzesła zaczął go bezlitośnie kopać.

Gość w oficerkach sprawnym okiem ocenił sytuację. Krzyknął: "Panie!" i usieknął.
Powstało potworne zamieszanie. Zawszą było szychać okrzyki "Hoo, ratunku,
ube!". Pray drzwiach powstał niesamowity tłok. Tylko niewielka część publiczności
pozostała na miejscach. Usłyszałam brzęk wybijanej szyby: to właśnie ci, na
których Hrabia zwrócił mi na początku uwagę forsowali okno. Hrabia zahaczył
właśnie rozprawę z Artystą i ruszył szybkim krokiem w ich kierunku. Nie wiem
jakim cudem, ale gdy zauważyli, że zmierza w ich kierunku przecięli się przez
okno we trzech równocześnie.

Cezary Kaźmierczak

CEZARY KAŹMIERCZAK

Dzieci Bopa

Zbliżało się południe, kiedy komendant Powiatowego Sztabu Wojskowego, pułkownik
Jan Stopa, po raz dziesiąty dzisiaj nakazał swojej sekretarce, aby pilnie odszuka-
ła dyrektora PGR-u, Józefa Mikulskiego "w sprawie wagi państwowej".

Pułkownik nudził się potwornie. Poszedłby zapewne do domu już dawno, lecz
koniecznie musiał porozumieć się z Mikulskim, a tego nigdzie nie można było
znaleźć. Komendant zastępy w porzycji znudzonego nocnego stróża, z bardzo intelli-
gentnym wyrazem twarzy, bębnił palcami po stole i rozmyślał o interesie, który
miał ubić z Mikulskim. "Czy mu aby stanie? - myślał. - A jeśli nie będzie mu
się chciało? Co wtedy? Trzeba będzie ściągnąć jakiegoś z województwa a to już
kosztuje..." Aby odpędzić nudę, komendant postanowił odtworzyć z taśmy magnetofo-
nowej genialny program kabaretowy Tadeusza Drozdy - "Seksezy-2". Słuchał tego
arcydzieła już wielokrotnie i za każdym razem bawił się wyśmienicie. Zabawa
przerwał telefon.

- Mam nadzieję, Józiu - mówił - że nie zawiedzie nas ten twój, tego... wiesz...

- Nie martw się, stary, możesz być spokojny. On przecież to lubi.

Pułkownik rozpromienił się.

- Hmm... Kto nie lubi... Cha, cha, cha...

- Cha, cha, cha...

- to tak jak mówiliśmy - powiedział komendant - 15 tysięcy?

Dyrektor potwierdził i umówił się na godzinę siedemnastą. Komendant w doskona-
łej formie szybko zebrał swoje rzeczy, powiadomił, że udaje się do domu, zastrze-
gając, że niepokoić go można wyłącznie w dwóch przypadkach: "gdyby dzwonił
z województwa" lub gdyby wybuchła wojna. Przemknął cicho korytarzem, wsiadł
do swojego "poloneza" i ruszył w kierunku wschodniego przedmieścia, gdzie w
okazalej willi - "w stylu zachodnim", jak lubił mówić - mieszkał z małżonką
oraz z dwudziestoletnim synem Tomaszem, o którym miał jak najgorsze zdanie.
Głównym powodem był fakt, iż syn nie chciał iść w jego ślady i zostać oficerem
LWP. Na dodatek jeszcze kiedyś zdybał go na potajemnej randce z córką sąsiada
z lewej strony, nęcenasza, który według mniemania komendanta był agentem CIA,
dłubił w sądzie "solidarnościowców", a ponadto słuchał Wolnej Łowczy.

- Z prawej strony, za niskim tygototem, mieszkał z liczną rodziną prezes Spółdzielni Mieszkaniowej. Komendant jedynie z nią spośród sąsiadów był w nieco lepszych stosunkach. Zbliżały ich bardzo wysokie stanowiska oraz wspólne zainteresowania, np. hodowla psów. Jednakże awanturny prezes, owczarek alpejski, nie posiadał rodowodu, więc komendant, wytrawny znawca, pogardzał nim z całej duszy i niejednokrotnie pozwalał sobie na kąśliwe uwagi pod adresem psa, jak i jego właściciela. Ponadto komendant preferował owczarki szkockie - collie, psy innych ras traktując jak hundie. Sąsiedzi świadczyli sobie różne przysługi. Prezes np. przydzielił mieszkanie córce komendanta, który nie pozostał dłużny i przeniósł do rezerwy syna prezesa. W przydzielonym mieszkaniu trwały ostatnie zabiegi kosmetyczne i laża dzień córka komendanta miała się tam wprowadzić z mężem. Posesje obu towarzyszy znajdowały się tuż pod miastem, za nimi, na niewielkiej górze rozciągał się las, w którym można było zbierać grzyby, jagody, orzechy laskowe i inne dary natury. Biegały tam również zające, a komendant lubił sobie czasem dla relaksu postrzelać do dzikiego zwierza.

Pułkownik wjechał na posesję, ustawił samochód do garażu i gwiżdżąc pod nosem swój ulubiony przebrój "Daj mi tę noc" udał się w kierunku drzwi wejściowych. Wówczas przed jego oczami stanął obraz tak straszny, tak głupi i niedorzeczny, że komendant początkowo sądził, iż jest to przywidzenie. Jednak po kilku sekundach ocknął się, dyplomatka wypedia mu z rąk, a on sam nerwowo wyrwyjąc się do przodu i bezkarnie wymachując rękami wydawał z siebie okrzyki w rodzaju:

- Fudały! Bu! Woni! Puty!

Na wzgórzu za domem, pod samym lasem jego collie-Beta zwyczajnie była kopulowana przez psa prezesa, Bopa.

Paralił komendanta trwał krótko; jak każdy wybitny wojskowy, natychmiast zrozumiał, że okrzykami nie uda mu się przerwać ohydnych megaliansu. Jak tornado wpadł do domu, odrzucił syna, z okrzykami: "zabiję", "bez rodowodu", "collie", w podskokach /młocść?/ biegły w kierunku lasu. Komendant oddał w górę strzał rozpaczy i wiotając streszliwe obelgi ruszył w ich stronę. Wkrótce jednak, widząc beznadziejność dalszej pogoni, powrócił do domu. Był w stanie szoku. Chwyił syna za poły dżinsowej kurtki i zaczął nim szarpać.

- Ty... gówniarzu... ty... - syczał z nienawiścią - nie upiłnowałeś. Specjalnie wypuściłeś...

- Nie moja wina - odpowiedział spokojnie syn - przecież sam kazałeś nie zamykać okna w łazience. Tamtędy poszła...

Pułkownik został na moment zbity z pantalyku, lecz po chwili powrócił do natarcia.

- Taak... A ty spokojnie się przyglądałeś jak to bydlę ją jebało!!!

Patrzyli sobie prosto w oczy. Ich twarze oddalone były od siebie o kilka centymetrów. Spokojny ton Tomasz wywoływał w komendancie jeszcze większą furję.

- Nie wdziakam. Zresztą, o co tyle krzyku?

Pułkownik uznał, że się przesłyszał, wybałuszył oczy, lecz patrzył na swą łatorość jakby domagał się sprostowania. Po chwili milczenia Tomasz wzruszając ramionami z zupełnym spokojem dodał:

- I to owczarek i tanto. Poza tym ona sama chciała...

Nie zdążył dokończyć ponieważ potężny prawy sierpowy powalił go na podłogę. Pułkownik podniósł go jeszcze dwukrotnie i silnie uderzył. Tomasz zalał się krwią. Komendant, mimo że wypił w swoim życiu wagon wódki i był już w podeszłym wieku, miał potężny cios. Matka wzięła Tomasz do łazienki i ocuciwszy go obmywała z krwi. Pułkownik zaś mიაł się jak złowiona ryba i wykrzykiwał najrozmaitsze groźby. Synowi zapowiedział, że go wydziedziczy, psy zastrzeli, natomiast prezes miał załatwić tak, że jego wnukowie będą bali się wymawiać jego imię. Po raz pierwszy od trzech lat wypowiedział /i to trzy razy/ słowo: Boże. Na początek uznał za stosowne rozprawić się z prezesem. Poszedł do niego, lecz nikogo nie zastał w domu. Wrócił ze słodkim uśmiechem zemsty, która po drodze przyszła mu do głowy. Natychmiast wezwał do siebie i stwierdził, że należy bezzwłocznie powołać do wojska syna prezesa. Owszem, prosił go kiedyś o tę przysługę /prosił!/, lecz on po prostu dłużej nie może... Sumienie obywatelskie i honor oficera nie pozwalają mu na kierowanie się osobistymi sympatiami w Służbie. Następnie kazał, aby kierownik przysłał jutro ekipę remontowo-budowlaną, żeby wybudować

złota i srebra ma pomiędzy posesjami jego i prezesa, gdyż uważa się za osoby na stronie chuligana.

Syn doszedł do siebie powoli i uciekł z domu. Natomiast stan pułkownika z minuty na minutę się pogarszał. Z rozpaczy zaczął pić i to szklankami. Wypił już prawie trzy czwarte litra wódki.

- Taaa... Ja wiem co to jest - mówił, kompletnie już pijany, do drżącej kawy. - To spisek! Ten gówniarz chce mnie wykończyć, żeby to przejąć! Na pewno specjalnie wypuścił Betę i jeszcze nasłał na nią tego...

Tu twarz komendanta zeszpecił nieprawdopodobny grymas wstrętu.

-... tego... - nie potrafił znaleźć słownego określenia, które w pełni oddałoby jego uczucia do Bopa, wszystkie wydawały mu się zbyt mało dosadne.

- I jeszcze ten "Mecenasik". "Mecenasik"... Jemu też na rękę. Patriotę chcą wykończyć. Ale im się nie uda. Nie uda...

Wypił i chwycił za rękę żonę.

- Słyszysz! Nie uda! Bandy mnie nie wykończyły, to i oni nie wykończą! Następnie zadzwonił do komendanta MO, aby ten "natychmiast aresztował tego znanego łobuza i złodzieja oraz jego psa za to, że zgwałcił Betę". Domagał się także bezwzględnego schwymania i osadzenia w areszcie "Mecenasika", który to wszystko obmyślił i tym kierował. Dodał też, że "Mecenasik" już od dawna zamierza go zamordować za to, że jest za władzę ludową. Na koniec oświadczył, że sztab spisku mieści się w Monachium, w Wolnej Europie.

Abaj go uspokoił szef milicji stwierdził, że operacją muszą kierować najwyższe czynniki i nie wolno działać pochopnie. Pułkownik zgodził się z tą sugestią, stwierdził jednak, iż należy działać szybko "ponieważ ptaszki mogą wyfrunąć".

Następnie zaczął szukać Bety, którą zamierzał zastrzelić, gdyż się "skurwiła" i to w dodatku z psem-chamem. Potem do tej listy dorzucił jeszcze prezesa z rodzinką, a za chwilę "Mecenasika" z córeczką.

Jak zeznał dyrektor, który punktualnie przybył z reproduktorem, jemu z kolei powiedział, że pies sąsiada-bydlaka, pies-łobuz, podstępnie podszedł Betę i ją zgwałcił. Zaczął szukać strzelby, aby wykonać wydane wyroki i... padł nieprzytomny.

Prezes tego dnia usnął dopiero o czwartej nad ranem. Jeszcze tego samego dnia żołnierz przyniósł synowi prezesa kartę powołania. Za trzy dni miał zgłosić się w Kołobrzegu. Niczego nieświadomy prezes próbował skontaktować się z komendantem, gdyż najwinnie sądził, że jest to nieporozumienie, które można wyjaśnić jednym telefonem. Lecz żona komendanta, aby nie dopuścić do spotkania obu towarzyszy, czym prędzej poinformowała go o istocie sprawy. Prezes znał dobrze temperament pułkownika i miał na tyle rozsądku, że zaniechał swoich starań.

Rano obaj wyruszyli do pracy o niezwykle wczesnej /jak na prezesa i komendantów/ porze. Komendanta strasznie bolała głowa, ale musiał porozumieć się z "Kołobrzegiem" w sprawie odpowiedniego przyjęcia syna prezesa. Ponadto, jako człowiek niezwykle inteligentny i praktyczny, chciał rozpatrzyć możliwość przeprowadzenia Becie "skrobanki".

Po południu komendant otrzymał telefon, usiadł ciężko w swoim gabinecie i poprosił sekretarkę o szklankę wódki. Dzwoniła córka, która doniosła, iż otrzymała pismo, w którym powiadomiono ją, że "z powodu trudnej sytuacji na odcinku materiałów budowlanych i pracowniczych oraz zużycia substancji mieszkaniowej Zarząd Spółdzielni cofa obywatelce przydział na mieszkanie...". Komendant spęszwiał, wykrzyknął: "morderca!", wypił wódkę, a następnie nakazał sporządzić listę członków rodziny prezesa w wieku poborowym oraz rezerwistów. Potem zadzwonił do "województwa" i umówił się z kolegą ze szkolnej ławy "rano, w jego gabinecie".

Do domu powrócił w radosnym nastroju, pocieszał zapiąkaną córkę, że ten "cham przyniesie jej przydział w zębach" i wygłaszał inne tym podobne uwagi.

Wieczorem do komendanta z propozycjami ugody zadzwonił prezes. Komendantowi przez chwilę przemknęła myśl, czy nie przyjąć warunków sąsiada, lecz gdy pomyślał, że znów uda się do kierownika poboru... ponownie zajęł pozycję skaży. Powiedział tylko, że prezes może się czuć byłym prezesem oraz że "synalek w Kołobrzegu tak dostanie w dupę, że zapomni jak się nazywa".

Teraz z kolei prezes telefonował do województwa.

Obaj dżentelmeni kładli się spać niezwykle pewni siebie i spokojni. Zaśmiewali się w duchu z siebie nawzajem i próbowali wyobrazić sobie minę przeciwnika

w chwili porażki. Nie wiadomo czemu to przypisać, ale spokój zniknął równocześnie z wygaszeniem światła w sypialniach.

"Czy Gienek ma wystarczające plecy - myślał komendant - żeby zatawisł tę gadzinę? Myślę, że nic do mnie nie ma, pomoże, pomoże na pewno... Kumpłowi z piaskownicy by nie pomógł! A jak Gienek czymś podpadł? Nie, niemożliwe, przecież ostatnio to go nawet w telewizji pokazali! Gazeta o nim pisała! Ciekawe co ta menda będzie robić... O cholera, przecież nie będzie się przygłądał! Kogo on zna? kogo on zna? z kim jest w dobrych układach?... Z pierwszym chyba nie... Nie, na ostatniej konferencji pierwszy się z nim tak secho przywitał, tak jakby ze zwykłym frezerem. Oooo... zatawimy go z Gienkiem na maść!"

Identyczne myśli dręczyły prezesa. Próbował je odpędzić, zaczął nawet poszczy- pywać swoją małżonkę, lecz ta stanowczo oświadczyła, że dopóki jej kuzynowi nie zatawi mieszkania, to nie na nawet mowy "o tych sprawach". Prezes przewracał się z boku na bok i myślał: "Żeby tylko nic ten pedaśec nie zwęszył... Chyba nic przeciw mnie nie ma? Chociaż dziś Taczański coś tam weszły w Spółdzielni, to jego człowiek... Ale kontrolę może mieć, może - stwierdził ze smutkiem po czym dodał z animuszem: - ale nie zdąży, nie zdąży, idiota jeden! Pewnie poskarżył się temu całemu Giefkowi... cha, cha, cha... ale nie wie, dureń jeden, że w ubiegłym miesiącu z Marianem sam minister rozmawiał!". Obaj dżentelmeni uosili do wniosku, że czym prędzej muszą dotrzeć do województwa. Ani jeden, ani drugi przez całą noc nie zmrudyli oka. Udy tylko na dworze się rozjaśniało obaj postanowili swoje myśli wprowadzić w czyn. Po wyjściu z domu zauszczyli się od razu. Popatrzyli na siebie groźnie, po czym niemal biegiem uśali. Nic w kierunku garaży. Nieco szybszy okazał się komendant, który był bardziej sprawny w jeździe samochodem, ale za to jego "polonez" był starszy i w gorszym stanie technicznym niż wóz prezesa. Wytrwały strateg w lot zrozumiał, że jego "polonez" jest nie dość szybki. Trzeba było jak najszybciej wydostać się na szosę wylotową z miasta. Piar powiódł się znakomicie. Komendant był rozgorączkowany tym bardziej, że po przejechaniu kilku kilometrów z horyzontu zniknął wóz prezesa. Prezes tymczasem przeżywał ciężkie chwile. Jego "polonez" najwyraźniej szwankował. "To to byłoby coś z nim zrobić - myślał - jestem zubożony". Niestety, tego dnia szczęście nie sprzyjało także komendantowi. Kolej więcej w połowie drogi z powiatu do województwa złapał tzw. "gumę", co przy otrzymanej szybkości omal nie spowodowało lądowania w rowie i tylko dzięki niezwykłym umiejętnościom komendantowi udało się wyjść z tego obronna reka. Komendant błyskawicznie przystąpił do wymiany koła, modiąc się - słowem honoru - żeby przypadkiem nie nadjechał prezes. Gdy byli przyjaciele ujrzeni się porwana, w ich sercach zadomowiły się skrajnie sprzeczne uczucia. Rzecz jasna prezes był uradowany, a komendant zrozpaczony. "Eóg cię pokarał, kanajko - powiedział prezes - gumę lądka złapałeś!" Gdy wóz prezesa znajdował się w odległości od komendanta podjął dramatyczną decyzję i postanowił drogi do województwa brać przez wieną pierś. Wskoczył na środek jezdni i przyjął pozycję szarżera z pistoletem. "Jeździesz, jeździesz" - myślał prezes, lecz każda sekunda tolerancji mu się kończyła, a gdy ją całkowicie stracił zaczął rozpaczliwie hamować. Komendant zabrał czy i stał w miejscu.

Po chwili poczuł bolesne uderzenie i jak później wznawał, nic dalej nie ujęto, co przesyła jest całkowicie zgodne z prawdą. Dziwnemu zniegłowi okoliczności udało się przypisać fakt, że od tego momentu pamięć stracił także prezes, który znalazł się w rowie po drugiej stronie jezdni.

Aktualnie obaj dżentelmeni znajdują się w szpitalu z dość ciekawymi obrazami. Komendant, gdy tylko odzyskał przytomność natychmiast zażądał aparatu telefonicznego i oczywiście zadzwonił do Gienka. Bardzo podobnie postąpił prezes z tym, że on skontaktował się z Marianem.

Cezary Kaźmierczak

Nota o autorze:

ur. 1964. Publikował artykuły publicystyczne i powieści - także pod pseudonimami - w prasie niezależnej i emigracyjnej. W 1987 roku wydał powieść pt. "Z notatnika psychopaty".

MARIAN ZDZIECHOWSKI

Legiony a sprawa polska

OD REDAKCJI

Stanisław Stomma napisał o nim: "Patrząc na niego, nie myślało się: "profesor". Mnie narzucało się zawsze skojarzenie z Don Kichotem. Ten trop skojarzeniowy potwierdzają niemal wszyscy, którzy go znali. Nieodmiennie towarzyszy on również czytelnikom jego pism. Jest w nich jakaś żarliwa rycerskość, pasja krzyżowca, jest pesymizm i rozpacz, jest bunt i iskra szaleństwa. Jest też, dziś widać to szczególnie wyraźnie, poczucie osamotnienia. Cóż, był prorokiem katastrofy, był prorokiem we własnym kraju. Czesław Miłosz, po latach uiszczając się z długu, jaki zaciągnął wobec niego "dzieci" i to "straszne dzieci", te studiujące w latach trzydziestych na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie, zanotował: "Przemawiał jak Cassandra, a każde smutne proroctwo jest "żałośliwie-maniakalne". Od głosu Kassandry odwraca się ze wstrętem dobrze odżywiony i lubiący uciechy świata obywatel. Toteż Zdziechowski był wołającym na puszczy i próżno w swoich mowach rektorskich usiłował naprawić dusze młodzieży".

Marian Zdziechowski /1861-1938/ jest pisarzem przedwcześnie zapomnianym. Wystarczyło zaledwie 40 lat wymuszonego milczenia, aby mówienie o nim, i nie tylko o nim - jego los dzieli dziś dziesiątki znaczących polskich pisarzy i filozofów, zaczynać trzeba było od faktów podstawowych. Był profesorem uniwersytetów w Krakowie i Wilnie, wykładał literaturę francuską, angielską i rosyjską. Po przewrocie majowym 1926 roku jego nazwisko, obok nazwiska prof. Ignacego Mościckiego, zgłosił Józef Piłsudski jako kandydaturę na stanowisko prezydenta. Był literaturoznawcą, historykiem idei, znakomitym znawcą myśli rosyjskiej, filozofem i moralistą. Jego twórczość zwykło się opatrywać szeregiem etykiet - katastrofizm, pesymizm, religijność. Każda z nich, choć każda na swój sposób trafnie dobrana, w znikomym tylko stopniu zdolna jest przybliżyć nam intelektualny i duchowy portret Zdziechowskiego. /Wszystkich zainteresowanych odsyłam więc do "Znaku" /nr 322-323/1981/, w którym obok dwóch tekstów Zdziechowskiego - "Ojciec nasz" /z tomu "Wizja Krasin'skiego" i ... wyżej nadzieje nasze złożyć /fragmenty przedmowy do "Pesymizm, romantyzm a podstawa chrześcijaństwa", zamieszczono blok tekstów o tym wielkim człowieku i humaniście./

Przedrukowywany przez nas szkic legiony a sprawa polska napisany został w maju roku 1917 /to ważna informacja, niezbędna już tu, we wstępie/. Kto zna książkę Zdzisłowskiego¹⁾ o bliźniaku Końca²⁾ Wilno 1906/ ³⁾o skrajnościach⁴⁾ /Krańców 1928/ czy choćby tylko inne prace zebrane w tomie "Europa, Rosja, Azja" pomału procesów germańskich i drapieżnych natchnień, dla tego legionarę wybranego przez nas szkicu będnie lekkoją uspokojenia. Dóś, najwłaśniejsze miało przyjsć potem. Czynnym politykiem Zdzisłowski nigdy nie był, wysił polityczna zajmowała go zawsze, lecz zawsze przyświecał mu jeden tylko cel - dydaktyczny; zapoznawanie innych ze współczesnymi zagadnieniami politycznymi uznał za swoją misję. Słankował przy tym, ostrzegał, groził nawet, lecz nie dlatego, że widział się tu czy tam, takim czy innym, dającym czy okragającym, białym czy zielonym, ale dlatego, że tak nakazywała mu moralność. Znał wagę słowa "interes", ale egoistycznego, gdy nie wspierała go miłość, sprawiedliwość czy solidarność, nie akceptował nigdy. Stąd jego tragedia, jego późniejsze osamotnienie - przyszło mu być w czasach, gdy moralność czy sumienie argumentami być przestały, w robieniu dobrych interesów - najwyraźniej przekładzaly.

"Legiony a sprawa polska" to szkic-wyznanie. Uchwycenie, logiki pewnego procesu dziejowego to nie jedyny pływający z tej ułaskiżyżytytek. Fascynująca, dzięki szczerości i głębi, jest podjęta przez Zdzisłowskiego próba ułożenia swich wojennych obserwacji i odczuć, doświadczeń i przemyśleń. Stąd i ocena czynu legionowego, jako pochodna tego sumowania, jest tu nie jakimś jednorazowym aktem, lecz długotrwałym procesem. Zdzisłowskiemu chodziło nie o piękna deklamację powszechnego przeświadczenia, lecz o pokazanie drogi własnego doń dochodzenia - od wyjściowego sporu pomiędzy rozsądkiem i instynktem, aż do zamykającej afirmacji.

Albo pesymizm, albo marzycielstwo - tak określić można usposobienie i nastroj starszych pokoleń w chwili wybuchu wojny 1914 roku. Pesymizm na dole wśród tych, co w wir walk narodowych i partyjnych utraceni, z tłumem zmierzających, miedzi, jak Dzieduszycki, możność z bliska poznać stan polityczny świata - marzycielstwo na górze, w schroniskach myśli znękanaj tężniejszością, stroniącej od życia realnego, wsłuchanej w "echa pra-wieku".

Idea czynu dojrzewała w młodym pokoleniu.

Po upadku powstania 1863-go roku, w najtragiczniejszej dla nas chwili, gdy naród nasz stawał się pod zaborem rosyjskim pastwą polityki, za cel sobie wyznaczającej eksterminację żywiołu polskiego, rząd austriacki rozpoczął przebudowę państwa na nowych podstawach konstytucyjnych i autonomicznych, zmuszony do tego klęskami pod Solferino /1859/ i Sadową /1866/. Cokolwiek bądź da się zarzucić cesarzowi Franciszkowi Józefowi, to jednak przyznać mu trzeba, że czując się, jako monarcha i jako Habsburg, nieskończenie wyniesiony ponad ogół ludzi, czuł się pomimo to człowiekiem, czyli uświadamiał sobie, że majestat władzy nie tylko nie zwalnia go z obowiązku zachowania się z życzeniami podwładnych, ale, przeciwnie, niezbędnym warunkiem utrzymania powagi majestatu jest wiara narodu w uczciwość i honor monarchy, w jego słowo. I w przeciwieństwie do biurokracji rosyjskiej i ideologów "samodzierżawia", którzy, jak Rozanow, dotarli aż do poglądu, że słowo carskie

innej jest kategorii, niż słowo wszystkich innych śmiertelnych, że swobodnie jest i twórcze, jak wszechmocne Słowo Boże, że nie nakłada żadnych więzów i, wzniezione ponad wszelką odpowiedzialność, może być dotrzymywane i może być cofnięte, Franciszek Józef miał wysokie pojęcie o świętości słowa monarchego. Konstytucyjnym zobowiązaniem swoim wobec ludów monarchii pozostał wiernym, w stosunku do Polaków zaś szczególnie życzliwym, pozyskał ich serca. Z życzliwości jego korzystając, wybitni politycy, których Galicja wówczas wydała, umieli zapewnić narodowi polskiemu znaczenie poważne oraz wpływ na sprawę państwa.

Dzięki tym powołaniom politycznym Galicji, która w porównaniu z bezmadzijszym położeniem obu innych zaborów szczególnie cennymi się wydawały, nasunęła się sama przez się myśl, że przy szczęśliwym układzie okoliczności Galicja mogłaby się stać czymś w rodzaju polskiego Piemontu i skupić koło siebie, a pod berłem Habsburgów, inne ziemie polskie, zwłaszcza spod zaboru rosyjskiego. Myśl ta szczególnie gorliwych znajdowała wyznawców wśród licznie przebywających w Krakowie i Lwowie byłych uczestników powstania.

Z jednym z nich, Józefem Popowskim, łączył mnie stosunek zażyłej przyjaźni. Po powrocie z katongi, wstąpił on do wojska austriackiego, oddał się studiom nad strategią, napisał kilka broszur treści strategiczno-politycznej, którymi zwrócił na siebie uwagę powszechną i, uproszony wówczas przez szerokie koła przyjaźni, wziął dymisję z wojska i wnet obrany został posłem do Rady Państwa. Myśli o przyszłej wojnie z państwem carów pochłaniała go całkowicie, żył nadzieją rozbicia Rosji i nie wątpił, że nastąpi potem wskrzeszenie Polski, bo wierzył w potęgę Austro-Węgier, z których zamierami i dążeniami rachować się będzie musiała, związane z nimi przymierzem, Cesarstwo Niemieckie. Chodziło o pozyskanie neutralności Francji i o pomoc Anglii. Jedno i drugie poruszał Popowski w pracach swoich. O antagonizmie angielsko-rosyjskim i o niebezpieczeństwie, które ze strony Rosji groziło Indiom, napisał w 1889 roku rozprawę obszerną, tłumaczoną na języki angielski i niemiecki. Otóż w tym czasie pod koniec wiosny 1891 roku, wpadłszy raz do mnie w radosnym podnieceniu, zwiastował, że za kilka tygodni armie austro-niemieckie wkroczą w granice państwa rosyjskiego i z zapętem rozpocząć począł plan kampanii. Informacje miał dobre; wszak był posłem i członkiem komisji wojskowej w parlamencie.

Mylił się jednak. Do wojny nie doszło, Austro-Węgry zaś poczęły coraz szybciej spadać do roli państwa wasalnego, przyjmującego wskazania i rozkazy z Berlina. Przyczyny tego stopniowego upadku powinni by nam wyjaśnić ci, którzy w latach owych czynny brali udział w polityce. Po wojnie japońskiej, w okresie zawichrzeń rewolucyjnych w Rosji, możliwość bliskiej wojny stała się znowu widoczniejszą, tylko już w nikim szczęśliwym nadziei nie budziła. Z troską patrzył w przyszłość wyliczek Dzieduszycki, ostatni przed wojną w wielkim stylu kierownik polityki polskiej w Wiedniu. Umysł rozległy i silny łączył on z gorącym sercem polskim, obejmującym sprawę narodu w jej całej rozciągłości. Stąd płynęła głęboka w nim świadomość, że na trybunie parlamentarnej przedstawiał on nie jeden z okręgów wyborczych Galicji, lecz Polskę całą z jej wielką przeszłością i wielkimi aspiracjami - i w chwili stosownej umiał z odpowiednim słowem i odpowiednim akcentem wyrazić to i wstrząsnąć słuchaczy. Ostatni raz odwiedziłem go w 1909 roku, kilka tygodni przed jego nagłą śmiercią. Wojnę widział w niedalekiej przyszłości i niepokoiło go, że między Austrią i Niemcami nie istnieją żadna co do sprawy naszej umowa, że widocznie sprawę tę we wzajemnych obu ówch układach omijano, jako drażliwą. W Wiedniu zaś - mówił - objawiały się w zakresie kwestii polskiej dwa poglądy: jedni, przede wszystkim biurokraci starego typu, myśleli o rozszerzeniu potęgi austriackiej w stronę Rusi, poczytując Ruś za żywioł politycznie mało wyrobiony, z którym, dzięki temu, każdy rząd da sobie łatwo radę; inni, przeciwnie, obawiając się pierwiastków anarchiczno-rewolucyjnych w ruchu rusko-ukraińskim, pragnęli rozciągnąć berło Habsburgów nad Polską, w przypuszczeniu, że właśnie w katolickiej Polsce dynastia znajdzie silne dla siebie oparcie. Ku temu się skłaniał arcyksiążę następca tronu, a popierała go w tym, jak się domyślał Dzieduszycki, magnateria węgierska, interes państwowy węgierski na widoku mając.

Ale wkrótce wziął górę pierwszy prąd, ku niemu się przechylił następca tronu - i oddał wojskowi, biurokraci i politycy poczęli wzajemnie się sugestionować w tym duchu. Pamiętam hałaśliwy artykuły w "Danzers Armeo Zeitung" o pochodzie

na Kijów i południowe gubernie, gdzie 30 milionów Ukraińców przywita wojska austriackie, jako wybawicieli swoich! Ani przypuszczali ci panowie, że nie przywita ich nikt; wierzyli ślepo, bo wierzyć chcieli, wszystkimu, co im agitatorzy ukraińscy wmawiali. Im zaś bardziej wznęgały się w rządzie tendencje ukraińskie, tym oczywista gorzej było za sprawą polską.

Nie zamaria jednak idea walki orężnej z Rosją, ale przeniosła się do stronnictw radykalnych i w osobie Józefa Piłsudskiego znalazła człowieka, który ją wcielił w czyn.

Nie mogę mówić ani o nim, ani o współpracownikach jego, bo ich nie znałem. Należał do Polskiej Partii Socjalistycznej, do socjalizmu zaś, szczególnie do młodzieży kierunku tego, zrażało mnie jej oświecane fanatyczne sekciarstwo, paczące w niej najpiękniejszą cechę młodości, ową poezję, którą wyśławiał Mickiewicz, "wzlatującą nad poziom" i "okiem słońca" ogarniającą świat. Odpychały mnie również metody polemiczne socjalistów i w końcu dziwna obojętność na losy i ucisk polskości pod zaborami pruskimi. Naprowadzało to na myśl, że ich patriotyzm nie tyle był miłością ojczyzny, żywym uczuciem związku z całą jej przeszłością, ile nienawiścią do caratu, osobistą u każdego z nich żądzą zemsty nad sługami jego, gdyż każdy, kto kiedykolwiek propagandą socjalizmu w Rosji się zajmował, miał swoje wiane z władzami porachunki do załatwienia... Praca Piłsudskiego jednak wydała obfity plon nie tylko w obozie jego, ale i poza nim. Gdy w roku 1910 obchodzono w Krakowie święto Grunwaldu, uroczystość ta była wspaniałą manifestacją potęgi uczucia patriotycznego, lecz manifestacją pokojową; charakter miała, mówiąc językiem wojskowym, obronny, nie zaś zaczepny, i rządowi niemieckiemu nie dawała powodu do niepokoju. Minęły trzy lata - i jakżeż inny wygląd przybrała stuletnia rocznica śmierci ks. Józefa, o ileż silniejsze wrażenie wywarł jej obchód, pomimo nierównie skromniejszych rozmiarów. Miał on charakter wybitnie wojskowy.

Uczestniczyły wszystkie organizacje wojskowe i gimnastyczne - strzelcy, sokoli, skauti - w liczbie 4-5 tysięcy. Patrząc zaś na nich, doznaliśmy wszyscy tego samego uczucia, że jesteśmy na rewii przed bitwą i widzimy przed sobą gotowych do wymarszu żołnierzy, bojowników za ojczyznę i wolność. Potem, w auli Jagiellońskiej jeden ze słuchaczy uniwersytetu, kaleka, który o własnych siłach nie umiał wejść na katedrę, wygłosił natchnioną porywającą mowę i dreszcz po nas przebiegł - mówię o słuchaczach starszych, o sobie i o kolegach moich - gdy w końcu, w zwrocie do zmarłego wodza i bohatera: "O Wodzu naczelny" - składał mu w imieniu obecnych przyrzeczenie, że młodzież nie sprzeniewierzy się jego sztandarowi i, gdy bliska godzina wybije, pójdzie krew swoją przelać w imię idei, za którą on poległ. Czuliśmy, że nie było to frazesem, jednym z tych popisów retorycznych, które z nużąco jednostajnością powtarzają się na wszystkich obchodach patriotycznych - ale że szło z głębi duszy i odbijało nastrój panujący na sali. Mieliśmy przed sobą zjawisko, które trafił ś.p. Rudolf Starzewski nazwał renesansem patriotycznym; zmarłych powstawały w oczach naszych, głosem wielkim do czynu wzywając, tradycje Kościuszki i ks. Józefa, 1831 i 1863 roku.

Radowało to i zarazem niepokoiło. Wypadki bałkańskie zapowiadały bliźkość wojny, a wojna ta - rozmawialiśmy my, ludzie rozsądni - jeśli na nią patrzeć ze stanowiska wyłącznie polskiego, będzie wojną o zniszczenie Polski, o posiadanie wyłącznego prawa do jej ostatecznego uśmiercenia. Wszak w razie zwycięstwa Niemiec groziła nam bezwzględna germanizacja całego zagarniętego obszaru ziem polskich, zwycięstwo zaś Rosji pociągało za sobą taką samą ich rusyfikację, więc po co młodzieży naszej gotować się do walki, po co nieść życie w ofierze, skoro ona będzie tylko walką o zmianę jednych kaidan na drugie? Czyż pozwalała na to już nie interes, ale honor polski? Jesteśmy w położeniu najtraźniejszym, zmuszającym nas albo widzami być w walce, w której rozgrzywać się będą losy narodu, albo bezwolnymi narzędziami obcych sił i wrogich sił.

Ale przeciw beczynnej, hańbiącej neutralności, za którą się oświadczał zimny rozsądek, powstawał instynkt patriotyczny. I w chwili wybachu instynkt ten zwyciężył. W Krakowie, we Lwowie nagły entuzjazm ogarnął, jak nam opowiadają, ludzi dotąd dalekich od wszelkiej akcji, krytycznie usposobionych i wątpliwych. Nawet na dalekiej Litwie Odezwa Zjednoczonych Stronnictw Galicji, wzywająca do ofiar na legiony, poruszyła niejedno serce, widziałem iży w oczach ludzi, mocno

stojących na gruncie litewsko-białoruskiej "tutejszości"; odezwa budziła w nich i wydobywała na wierzch uczucia, o istnieniu których nie wiedzieli.

Słowem, dla wielu stawało się rzeczą jasną, że dusza narodu wcieliła się w legiony. Duszą zaś narodu nazywam te aspiracje, które w stanie nieświadomym czy półświadomym spoczywają na dnie każdej duszy i w chwilach stanowych stają się dźwignią jej najszlachetniejszych poruszeń, wybuchają w natchnieniach wieszczów i myślicieli, w ofiarach bohaterów, w czynach tych, których naród za wodzów swoich uznaje.

W III cz. Dziadów Konrad w szale rozpaczy stawiał pytanie, czy Bóg, którego nas uczą czcić, jako Dobro Najwyższe, nie jest najwyższym złem, i groził Stwórcy swojemu, że go przeklinie słowem Car. W groźbie tej wyrażał on najgłębszy w narodzie od czasu upadku ojczyzny instynkt, który zła w jedno, jako synonimy, pojęcia cała i zło. Instynkt ten stał się treścią duszy narodu, w walce z carem i ideą caryzmu poczuła ona swoje powołanie dziejowe - i uczucie to popchnęło młodzież polską w szeregi legionów.

2.

W celu przeciwdziałania wpływowi niepodległościowym i austrofilstwem zabarwionych prądów i niewątpliwie też pod naciskiem Anglii i Francji, które pragnęły nadać wojnie charakter walki o sprawiedliwość, rząd rosyjski wydał głosną, przez w.k.s. Mikołaja podpisaną odezwę do Polaków, zwastującą im w poetycznych wyrazach i obrazach spełnienie "świętego marzenia ojców i dziadów". Był jednak w odezwie rozdźwięk, rażący zgrzytem, który w niejednym zniweczył mógł wrażenie, jakie ona wywołać zamierzała. Zgrzytem dźwięczały słowa: "wolność wiary, wolność języka, samorząd", jako bliższe określenie darów, które zwycięska Rosja niosła przyszłej, zjednoczonej Polsce. Więc to tylko miało być owym "świętym marzeniem"? Więc za "samouprawienie" w miastach i gminach szli ojcowie nasi na śmierć i na Sybir? Skąd pochodził ten zgrzyt? Czy z naiwnego egoizmu bogacza, który rzucił grosz ubogiemu z przeświadczeniem, że spełnił wielki akt miłosierdzia, zasługującego na nieskończoną wdzięczność - czy z obudy, maskującej rusyfikacyjne zamiary słowami, które działają na wyobraźnię i uczucie? Prawdopodobnie jedno zlewało się z drugim.

Bawiąc w owym właśnie czasie, tj. w sierpniu, w Petersburgu, trafiłem wraz ze ś.p. pośłem Święcickim na zebranie polityczne u p. Brianczaninowa, poświęcone sprawie odezwy. Zaproszony do głosu, powiedziałem, że choć proklamacja, w której "marzeniem świętym" nazwano to, co dotąd poczytywane było za zbrodnię i karane więzieniem, katogą, śmiercią, poruszyła każde polskie serce, jest w niej jednak sprzeczność wewnętrzna, z której skwapliwie skorzystają wszystkie niechętne nam żywioły i stronnictwa. Opierając się na zapowiedziach wolności wiary i języka oraz "samouprawienia", będą mogły z łatwością zredukować do zera obiecane spełnienie naszych najgorętszych pragnień. Przemówienie to streszczono w organie Brianczaninowa "Nowoje Zwienio", naturalnie, najważniejszy w nim ustęp świeci łysiną. W przeciwieństwie do formy stosunkowo delikatnej, którą ze względów politycznych, sceptycyzmowi swemu nadać musiałem, przedstawiciel radykalizmu rosyjskiego, a wybitny publicysta Wodowozow, nie potrzebując się rachować ze słowami, nazwał rzecz jej imieniem: "Obecny rząd rosyjski - dowodził on - nigdy nic dla Polski nie zrobi, o ile do tego siłą zmuszonym nie będzie. Odezwa jest świadomym oszustwem politycznym, obliczonym na łatwowierność Polaków i na nieznaną im stosunków rosyjsko-polskich w Francji i Anglii.

Pomimo to w odezwę wierzone. Wierzyli nawet narodowi demokraci. Mówię "nawet", bo wyznawcami będąc egoizmu narodowego, który zasad moralnych w polityce uwzględniać nie lubi, mogli oni prędzej, niż kto inny, podejrzewać odezwę o ukryte makiaweliczne tendencje. A jednak nie byli w stanie przypuścić, ażeby słowa, powołujące się na Krzyż Chrystusowy, "symbol cierpień i zmartwychwstań narodów", miały być wygórszone tylko w celu tym łatwiejszego oszukania naiwnych. Przynosi to zaszczyt ich uczciwości politycznej. Jeden z leaderów stronnictwa ze szczerym zapałem wyznawał w rozmowie ze mną, że chciałby się znaleźć na Wawelu w chwili, gdy Mikołaj II będzie na głowę swoją wkładał koronę królów polskich. Mówił to pod wrażeniem elektryzującej pogłoski o audiencji członka Rady Państwa, hr. Wielopolskiego u cara, który w sposób niezwykle serdeczny i uroczysty zapewnił go, że jest współautorem odezwy i przeżegnawszy się, obiecał, że Polska

liczyć na niego może. Nawet Rosjanie nie wątpili, że po słowach nastąpią czyny. Świadczyły o tym kursujące po mieście gawędy. Przypominam, jak w czasie jednej z wizyt moich u p. Brianczaninowa wpadł reporter jego pisma z wiadomością ze sztabu, że lada dzień ma być powołany do rady cesarskiej jeden z Polaków. Jako przedstawiciel narodu polskiego, w charakterze ministra bez teki. Tymczasem nadszedł komunikat o rozbiciu armii austriackiej i o zajęciu Lwowa. Wzruszenie było potężne. W porównaniu z tym tak niespodziewanie szybkim tryumfem, klęskę armii Samsonowa uważano za epizod bez szczególnego znaczenia. Potęga Austrii zdawala się zlaną - uniesiono stąd, że koniec wojny jest bliski, gdyż Niemcy, mimo powodzeń we Francji, nie zdążają stawić długiego oporu sprzymierzonym armiom: francuskiej, angielskiej i belgijskiej. Wszak rachowali, że będą mieli do czynienia tylko z Francją. Wobec tego drażniący Rosję fakt istnienia legionów polskich w Austrii przybierał pozory niebezpieczeństwa dla sprawy polskiej, ułatwiał Rosji wycofanie się z obietnic złożonych w odezwie. I jakby uprzedzając życzenia biurokracji i stronnictw nacjonalistycznych, w.k.s. Mikołaj wydał rozporządzenie, nakazujące uważać legionistów nie za wojsko regularne, lecz za ruchawkę, czyli wziętych do niewoli rozstrzeliwać. Z tego powodu uchwalono w grupie Polaków, przebywających w Petersburgu, przeważnie posłów, ogłosić w pismach rosyjskich deklarację, bezwzględnie ruchu legionowy potępiającą.

Postanowiłem wtedy wystąpić przed Rosją w obronie tego, co ją najbardziej drażniło, wytłumaczyć jej charakter legionów i mesze w tej sprawie stanowisko. Ale któreż pismo rosyjskie umieściłoby w owej chwili podobny artykuł? P. Brianczaninow na przekór swoim namietnie antyaustriackim uprzedzonom otworzył mi uprzejmie szpalty swego tygodnika. Żądanie miałem trudne. Musiałem mieć na uwadze tak cenzurę wojenną, jak i drażliwość patriotyczną Rosjan, przede wszystkim zaś samego redaktora, poza tym należało wynaleźć język zrozumiały dla publiczności, skłonnej do patrzania na legiony ze stanowiska zdrady Rosji, zdrady idei słowiańskiej, zdrady idei humanitarnej i Bóg wie czego jeszcze. Więc stanąłem w moim liście otwartym do p. Brianczaninowa na gruncie odezwy i, umyślnie zapominając o jej sprzeczności wewnętrznej, podniosłem w niej pierwiastek romantyczny, jako jedno z tych wielkich natchnień, które w chwilach stanowczych nawiedzają narody, i w świetle natchnienia tego porównałem obecne położenie Polski z jej stanem przed stu laty. Wówczas nadzieje swoje pokładał naród polski w osobie Napoleona, dziś Polacy, zwłaszcza w Galicji, zwiążali przyszłość narodu ze sprawą Austrii, ponieważ tylko w Austrii znalazło życie polskie po roku 63 możliwość rozwoju. Przed stu laty honor żołnierski i honor polski nakazywał ks. Józefowi nie opuszczać cesarza Francuzów, gdy go wszyscy inni opuszczali, dziś, gdy zachwiała się potęga monarchy Austrii, a przyjaciele Polaków, także honor każe legionistom wytrwać na posterunku - i, jak car Aleksander w roku 1814, tak dziś Rosja powinna uszanować honor żołnierza-Polaka.

Może kogo razi ten sposób obrony nie uwzględniającej wszystkich momentów sprawy, ale innego nie widziałem, a w chwili gdy Rosja tryumfowała i tylko od jej woli, jak mylnie wielu z nas mniemało, zależnym było rozstrzygnięcie kwestii przyszłości naszej, uważałem za swój obowiązek publicystyczny przemówić w obronie sprawy, poczytywanej za przegraną i wniecić wśród jednostek szlachetniejszych w społeczeństwie rosyjskim iskrę sympatii dla patriotyzmu polskiego i dla legionów, które jego wyrazem były.

Tymczasem rzeczywistość przekonywała coraz wymowniej, że miał słuszność ten, kto pierwszy odezwę nazwał oszustwem. Królestwo po staremu rusyfikowano, kulturę zaś polską w Galicji zawzięcie niszczone. Oficjalnie nazywało się to "oswabdzaniem" - i ze strachem myśleliśmy, że po Lwowie może wkrótce nastąpić "oswobodzenie" Krakowa. Pojętna biurokracja od razu właściwy cel odezwy zrozumiała. Pewien wysoki urzędnik w Warszawie serdecznie się śmiał z głupoty Polaków, nie umiejących się domyśleć, że jest tylko jeden człowiek, który może coś dla Polski zrobić - cesarz Wilhelm. Gubernator lubelski Sterligów w rozmowie z obywatelem Polakiem lapidarnie określił treść i znaczenie odezwy słowami: "To wszystko i nic: moim zdaniem nic", czyli - miało to znaczyć - odezwę można szeroko interpretować w duchu dla Polski przychylnym, ale w rzeczywistości nie daje ona nic, do niczego się nie zobowiązuje.

I potwierdzono to u góry. Prezes ministrów Goremykin zabronił używania w prasie wyrazu "autonomia" w zastosowaniu do Polski, minister zaś Meklakow wydał cirkul-

larz, wyjaśniający gubernatorom, że odezwa dotyczy tylko Polaków poddanych Austrii i Prus, czyli, innymi słowy, w Królestwie nie zmieni się nic, Kraków zaś i Poznań po wcieleniu do Rosji korzystać będą z dobrodziejstw polityki uszczęśliwiającej "Prywiślański Kraj". I nie znalazł się nikt w otoczeniu nieszczęśliwego cara, kto by jemu wytłumaczył, że cyrkularz taki, wystawiający przed całym narodem polskim monarchę "Wszzechrosji", jako pospolitego łgarza, był zbrodnią laesae majestatis w najzupełniejszym tego słowa znaczeniu, za którą należało zbrodniarza umieścić tam, gdzie go potem rewolucja umieściła, tj. w więzieniu.

Ale obudzoną w szerokich warstwach społeczeństwa wiarę nie tak łatwo było zachwiać. Jedni niemądrze liczyli na pomoc Francji i Anglii, które na przyszłym kongresie miały się z nami ująć, inni żuczili się, że w.k.s. Mikołaj jest człowiekiem honoru i nie dopuści, żeby rząd rosyjski nie spełnił tego, co on podpisem swoim i słowem żołnierskim zagwarantował. Jako objaw tej wiary w Rosję i koalicję, powstała myśl tworzenia ochotniczych drużyn polskich przy armii rosyjskiej. Ponieważ jednak wykonania jej podjęli się ludzie nieznanymi i nie budzący zaufania, więc zapewne upadłaby wkrótce dla braku poparcia, gdyby nie wzięło jej w ręce swoje stronnictwo N. D. pod wpływem człowieka wybitnego i niezaprzeczalnie dobrej wiary, Zygmunta Balickiego. Ale przy najlepszych chęciach i gorącym patriotyzmie człowiek ten był typowym doktrynerem. Poznałem go w Genewie w końcu 1883 roku. Imponował nam wiedzą i zdolnościami, na zebraniach naszych studenckich zabierał głos często, mówił długo i wymownie, nigdy jednak nie umiałem dobrze uchwycić związku między teorią, którą rozwijał, a sprawą praktyczną, która była przedmiotem roztrząsania. To samo stwierdziłem 20 lat później, gdyśmy się spotykali w Krakowie na posiedzeniach i dyskusjach "Związku Literackiego".

Doszedłszy z biegiem lat do przekonania, że jedynym rzeczywistym, bo niebezpiecznym wrogiem Polski jest germanizm, począł Balicki stąd po doktrynersku wyciągać wszystkie konsekwencje, aż droga ta doprowadziła go do idei legionów polskich w Rosji. Ale wolno było trzymać się rosyjskiej czy koalicyjnej orientacji i za nieszczęście uważać istnienie legionów w Austrii, lecz, skoro one istniały, nie wolno było przeciwko nim nowych formować legionów, tym samym stwarzać nową wojnę domową i nową grozą powiększać tragedię Polski. Czyż nie wystarczało to, że zabijaliśmy się wzajemnie z musu?... I o co miały walczyć legiony? O rusyfikację Polski, o wcielenie przyszłej gubernii krakowskiej do "Prywiślańskiego Kraju"? Wszak po cyrkularzach Goremykina i Makłakowa musiało to być rzeczą jasną dla ludzi politycznie myślących. Zbrodnią więc w niepoczytalnym doktrynerskim zaślepieniu popełnioną był ów pomysł, zbrodnią przeciw młodzieży polskiej. Zbałamucona szła w szeregi - i dopiero tam, zbyt późno, niejeden się spostrzegł, że wpadł w pułapkę, z której wyjścia nie było. Opowiadano o samobójstwach, o dezercjach i o wieszaniu złapanych dezertersów; "dusiłiśmy się w tej atmosferze" - pisze jeden z legionistów, wyznając, iż rozumieli, że oszukali ich rząd.

Wojśka rosyjskie zajmowały w ciągu kilku miesięcy Tarnów, odległy od Krakowa o 80 kilometrów. I jeśli kiedy, to wówczas, gdy starych stolic królów groziło zajęcie i wraz z nim rządy dzikiej biurokracji, nawet najbardziej uprzedzeni do legionów powinni byli uznać, że miały one swoją rację bytu, choćby w tym jednym tylko, że walczyły w obronie ostatniego zakątka ziemi polskiej, gdzie wolno było po polsku czuć i myśleć.

Wzwany w lutym 1915 roku do Moskwy przez rosyjskie Towarzystwo religijno-filozoficzne dla wygłoszenia odczytu o uczuciu religijnym w Polsce, powiedziałem otwarcie i wyraźnie wobec przepełnionej sali, że tej młodzieży polskiej, którą znam najlepiej i która najbliżej mi jest duchem, bo ideę patriotyczną skojarzyła z ideą odrodzenia duchowego i religijnego, sumienie polskie niezawodnie w chwili obecnej nakazało piersią własną bronić jedynie, po upadku Lwowa, swobodnego ogniska kultury polskiej. Oczywiście w druku słowa te zostały odpowiednio złączone.

W maju tegoż roku byłem w Warszawie. Odczułem głębokie a powszechne zniechęcenie i przygnębienie. Znamienne słysezałem wyznanie z ust jednego z bardzo poważnych przedstawicieli stronnictwa realistów: "Na początku wojny - mówił - szczególnie po odezwie 9/10 Warszawy z zapalem stanęło po stronie Rosji, i tylko 1/10 niechętnie na zapal ten patrzyła; dziś jest odwrotnie: 9/10 wyczekuje Niemców, reszta

się chwieje". Z tonu zaś, jakim to oświadczał, rozumiałem, że sam siebie do owych 9/10 zaliczał. Nie dziw więc, że w takiej atmosferze z goryczą i oburzeniem mówiono o twórcach Legionów, a raczej drużyn, z żalem - o nieszczęśliwych ofiarach tej polityki; Legionistów nazywano "przywilańskimi kozakami". W tragicznej historii narodu w czasie wielkiej wojny, ten szczegół jest chyba najtragiczniejszą.

3.

Akt z dnia 5 Listopada dowiódł, że idea Piłsudskiego, choć ją potępiał ów trzeźwy rozsądek, co nigdy i w niczym ryzykować nie chce, miała źródło swoje w trafnym instynkcie patriotycznym. Zdawało się to fikcją, która tylko w rozgorączkowanym mózgu powstać mogła, że w straszliwym położeniu, w jakim naród nasz w czasie wojny się znalazł, jedyną poważną reprezentację jego miała być nieliczna jakaś ochotnicza i pod sztandarem nieistniejącego państwa polskiego walcząca armia, nie zaś ci zawodowi politycy, co z trybun parlamentarych lub w salach audiencyjnych zapewniali o lojalności swojej rządu, od których są zależni - jednak bieg zdarzeń fikcję tę przeistoczył w rzeczywistość. Po dwóch latach krwawych trudów i daremnych wyczekiwań zniechęcenie ogarniało Legionistów i ich wodzów. Piłsudski wnosził podanie o dymisję, za przykładem jego szli inni, legiony miały się rozwiązać - i pod groźbą tego moralnego dla państw centralnych ciosu, zrobili one krok stanowczy i niepodległość Polski została ogłoszona.

Gdyby jednak w ciągu dwuletnich walk swoich legiony innego, poza społeczeństwem polskim, oparcia, jak w sztabie austriackim, nie znalazły, kto wie, czy usiłowania ich doznałyby jakiegokolwiek powodzenia. Ale, dając wyraz ożywnemu udziałowi narodu polskiego w walce z caratem, zbliżyły one do sprawy naszej potęgę, która w monarchii Habsburgów stanowiła czynnik energiczny, świadomy celów swoich, wpływoy i w jednym przypadku decydujący. Mam na myśli naród madziarski.

Położenie polityczne Madziarów korzystnym nie jest, to samo co u nas; są wyspą otoczoną narodami obcymi, a dostępu do morza nie posiadają. Nie mogą równocześnie na dwa fronty walczyć, musieli wyjaśnić sobie, kto dla nich jest wrogiem groźniejszym: pangermanizm czy panslawizm. Mając bezpośrednio pod sobą, w obrębie swego państwa kilka milionów Słowaków, Serbów i Rusinów oraz autonomiczną Krocację, a z obawy przed wysuwającą pańskowiańską hasła i zaborczą potęgą carów, która ich zgniotła w roku 1849, zawarli przymierze z germanizmem. Wskutek tego oni, tak pełni wygórowanego poczucia godności i dumy narodowej, zeszedli do niepoehlebnej dla siebie roli pionierów kultury niemieckiej na bałkańskim wschodzie, łatwo zaś było przewidzieć, że ta ich moralna, jako narodu małego, zależność od Niemiec, mogła przy stosownych okolicznościach przejść w zależność faktyczną.

Wobec tego, patrząc w dalszą przyszłość rozum polityczny, doradzał inną kombinację, opartą na przyjacielskim stosunku z narodami, które historia też między obydwa kolosalne państwa rzuciła, jako wspólny łup z jednej strony dla wszechpotęgi niemieckiej, owiadniętej szaleństwem panowania nad światem, z drugiej - dla nie mniej dzikiego, a nie o wiele mniej groźnego caratu. W położeniu tym był przede wszystkim naród polski, potem inne narody słowiańskie, które oczywiście nie z tęsknoty za rusyfikacją akcentowały rusofilstwo swoje, lecz jako postrach dla germanizmu i madziarizmu - wreszcie Rumunia.

W wycieczkach moich z Krakowa na południe słowiańskie, zawadzając nieraz o Budapeszt, starałem się poznawać wodzów politycznych narodu madziarskiego i w rozmowach z nimi myśl powyższą poruszałem. Oddźwięku nie budziła ani w rządowym, ani nawet w opozycyjnych stronnictwach. Stosunek Madziarów do germanizmu był odwrotny, niż u nas, czyli wielką niechęć do Austrii, natomiast nie tylko sympatia, ale uwielbienie dla Prus. Byli pod hipnozą Bismarcka i pruskich metod germanizacyjnych, które pilnie naśladować usiłowali. W warstwach niższych i średnich żywą jeszcze była tradycja braterstwa broni z Polakami w roku 1849, lecz u góry, wśród tych, co polityką kierowali, sprawa nasza obchodziła ich tyle, co sprawa południowoamerykańskich republik. "Bądźcie cierpliwi - pocieszał mnie znany publicysta i członek Izby Panów - nas jest teraz dwanaście milionów, gdy dorosniemy do trzydziestu milionów, wówczas Polska będzie wojną". A miało się to stać prędko; mówił serio, wierzył świącie w cuda, których dokonać miała kopiowana z wzorów pruskich polityka madziarizacyjna.

Myśl jednak moja, choć przedwczesna, utopijną nie była. Logika historii

toczyła jej drogę. I już w latach ostatnich skrajna opozycja parlamentarna, idąc do jak najdalej posuniętego niezależnienia od Austrii, dostrzegła pierwszą, że germanizm jest także niebezpieczeństwem. Jeden z głównych mówców w stroniactwie tym, hr. Teodor Bathiany, gwałtownie politykę rządu krytykując, zaczął ją także w zakresie kwestii narodowościowej. rok przed wojną miałem z nim dłuższą rozmowę. Stosunek jego do narodowości niemadziarskich żywo mi przypominał stosunek liberałów rosyjskich do kwestii polskiej. Błędy, nawet grzechy przeciw Słowianom uznawał, potrzebę naprawy również, ale odkiadał to na później, wobec spraw nierównie pilniejszych, pomiędzy którymi najpilniejszą było zwalenie rządów hr. Tiszy. "Bierzeć do serca - mówił - skargi waszych pobratymców słowiańskich i słusznie: lecz czemuż nie żałujecie też nas, rodowitych Madziarów? Jesteśmy nie mniej, niż oni, przez klikę rządzącą prześladowani, poniżani; więc tę klikę przede wszystkim rozpędzić musimy, a Słowianie wasi odetchną wówczas swobodniej: konstytucja węgierska jest liberalna, naród zaś nasz nie ma upodobania w uciskananiu innych narodów". Zdawało mi się, że słyszę Maklakowa czy Milukowa.

Dopiero wojna otworzyła oczy na niebezpieczeństwo niemieckie całemu, jak sądzimy, narodowi madziarskiemu. Armia austro-węgierska doskonale wyćwiczona, karna i uzbrojona, z oficerami, którzy się rwali do wojny, ufając geniuszowi swego szefa sztabu generała Conrada, została rozbita od razu i na obu frontach: rosyjskim i serbskim - i długo musieli Austriacy czekać na pomoc niemiecką, dzięki której mogli zmusić Rosjan do odwrotu z Galicji i po raz drugi zagarnąć Serbię. Lecz pomoc ta czyniła Austrię jeszcze ściślej zależną od Niemiec, przestaczając ją w państwo niemal wasalne. Ciosu takiego nie mogli znieść dumni Madziarowie, musieli pomyśleć o wzmocnieniu stanowiska swego oraz państwa, którego część stanowili. I tym tłumaczmy nagły ich zwrot do ignorowanej przedtem Polski. W legionach mieli świadectwo żywotności i energii patriotyzmu polskiego; poczuli w Polsce sprzymierzeńca, z pomocą którego mogliby w przyszłości przeciwstawić nacisk germanizmu. I zapragnęli Polski albo zupełnie niepodległej, albo, lepiej jeszcze, związanej za jej własną zgodą z Węgrami i Austrią pod berkiem Habsburgów. Sprawdzał się domysł Wojciecha Dzieduszyckiego.

4.

Pierwszy z Węgrów, o ile wiemy, począł myśleć o przywróceniu niepodległego państwa polskiego piórem i słowem szerzyć hr. Julisz Andrassy. Przedstawił ją we "Frankfurter Zeitung" na początku wojny. I w epoce, gdy jedni mówili o podziale ziem polskich między Niemcami i Austrią, inni o condominium, inni wreszcie - o zwrocie ich Rosji, on nadał kwestii polskiej znaczenie pierwszorzędne: "Gdybyśmy się nie odważyli - pisał - zbliżyć do tego narodu, który nie jest bezwzględny nieprzyjacielem naszym i gdybyśmy go dla siebie nie pozyskali, byłoby wprost zbrodnią poświęcać życie tylu tysięcy ludzi". Ale sprawę naszą traktował realistycznie, bez sentymentu dla niej i dla nas. "Oddać Polskę Rosji - rozumował - to ją zrazić na wieki do siebie i pchnąć w objęcia idei panslawistycznej; stworzenie Polski niepodległej ze wszystkich trzech zaborów jest niemożliwe, bo nie pozwolą na to Prusy, dla których prowincje polskie stanowią warunek i podstawę ich potęgi; Polska niepodległa, lecz złożona tylko z ziem odebranych Rosji, wywołałaby irredentę polską w Galicji i Poznaniu i z natury rzeczy grawitowałaby ku Rosji; pozostaje przyłączenie Polski do jednego z mocarstw centralnych z zapewnieniem jej samodzielnego państwowego bytu, który "da jej siłę cporu przeciw wabikom rosyjskim lub ewentualnym napaściom". Ze tym mocarstwem ma być Austrią, wypływało to ze słów autora, choć nie chciał tego wyraźnie powiedzieć. Sprawę polską poruszał następnie i kilkakrotnie w sejmie węgierskim. W jednej z mów swoich wygłosił obawę, że "jeśli Polaków nie zadowolimy i naród polski, wzmocniwszy się na stanowisku słowiańskiej solidarności z Rosją, zwróci się przeciwko nam, to zginęliśmy, wymazani będziemy z mapy Europy".

Hr. Andrassy w poglądzie swoim na kwestię polską był politykiem zimnym i razem jednostronnym, bo nie uwzględniał jej związku z kwestią słowiańską w państwie węgierskim. W tymże duchu napisał swój list otwarty do "Wiadomości Polskich" w Wiedniu profesor prawa państwowego w Budapeszcie Karol Kinyti. Ale ton listu był ciepły. Oświadczywszy, że byłoby pożądanym takie rozwiązanie, które by odpowiadało życzeniu całego narodu polskiego, dodawał, że z radością, w razie zgody ze strony polskiej, patrzyłby na koronę polską, zdobiącą tę samą głowę, na której błyszczy korona św. Stefana - z radością witałby przeobrażenie

monarchii w Austro-Węgiersko-Polską z równorzędną samodzielnnością wszystkich trzech państw, bo — "trudniłem ten wspaniały nasz wielkocesarstwowo-królewski". Poglądy zaś hr. Andrássy'ego i prof. Kinty'ego były zgodne z programem Kłosa Polskiego w Wiedniu. Świadczy o tym exposé prezesa Billinskiego z dnia 3 i 4 października 1916 roku. W tym samym kierunku szedł minister spraw zagranicznych, cesarz Mędlar, baron Burian i w urzędowym wyświadczeniu wyświadczył, jak się wyrażał Billinski, swoje postanowienie polityczne.

Niestety w programie tym nie było mowy o Poznaniu: Koło Polskie milczało w poczuciu bolesnej bezsilności wobec potęgi pruskiej.

Hr. Tisza w odpowiedziach swoich na interpelacje posłów, choć powściągliwy z urzędu, dobitnie jednak podkreślał musiał sympatie węgierskie dla Polski, bo musiał się liczyć z opinią powszechną. Uczucie braterstwa z Polską było obudzone, poruszyły się zroście warstwy narodu i, sprawę polską uznawszy za swoją własną, żądali przez reprezentacje komitetów czyli powiatów przywrócenia niepodległej Polski i domagały się poparcia tego przez sejm i przez rząd. "Sprawa narodu polskiego — mówił z tego powodu hr. Tisza — jest rzeczą, która w każdym wolności miłującym człowieku budzi najgłębsze sympatie, a podobną zaś miłą w narodzie węgierskim". W każdym czynniku węgierskiego życia publicznego znajduje ona "kongenialną atmosferę" i w poczuciu tego rząd otacza ją "pełną rozważaniem opieką, poczynając za obowiązkiem zrobić dla niej wszystko, co jest w granicach możliwości". Ale mówiąc to, już wiedział, że, strachu przychylnie przyjęty w Berlinie, plan węgierski był odrzucany, jako niezgodny z życzeniami społeczeństwa niemieckiego — więc stosownie do tego w półurzędowym "Budapesti Hirlop" dowodził, że "Polska stanowi za duży obszar z obcą ludnością, ażeby państwa centralne czuły chęć do przyłączenia go do siebie, natomiast szczęśliwie zorganizowane Królestwo Polskie i tron byłyby wpływowym czynnikiem w obliczeniu przyszłych stosunków i sił w Europie".

Nie potrzebowali kierować się podług wiatru z Berlina opozycjoniści i wyrazić "ręczywistej woli narodu p. Ugron i hr. Teodor Batthiany". Obaj na wrześniowych posiedzeniach sejmu 1916 roku, w mowach gorących "w formie ostrej i jednostronnej krytyki", jak się skarżył, odpowiadając im, hr. Tisza, podnosili konieczność uznania i spełnienia "szlachetnych żądań polskich". Batthiany zaś, kładąc kropkę nad i, poruszał groźne dla Węgier dążenia pangermanizmu i zarazem wymagał stworzenia fait accompli w stosunku do Polski, zaraz, bez względu na ostateczny wynik wojny. Chciał Polski zjednoczonej i niepodległej. "Państwo polskie — wołał z 20 milionami mieszkańców, zawdzięczające wolność naszymi narodom i naszym rządóm, będzie chyba stało przy nas, jako nasz wdzięczny i wierny sprzymierzeniec".

Życzeniu temu nie stało się zażość. Pomimo to akt z 5. Listopada radośnie powitany został przez Węgry, jako *fait accompli*, którego pragnął Batthiany, jako pierwszy i nie dający się odwołać krok ku spełnieniu wielkiego dzieła. Z tego powodu obchodzony był świątecznie. Prymas węgierski odśpiewał uroczyste Te Deum, młodzież urzędowała szumnie manifestacją.

Od aktu państw centralnych do urzędystw naszego ideału droga była daleką — i tym dalszą się wydawała, im głębiej braliśmy do serca losy ziem polskich pod panowaniem pruskim zostających. Niemniej jednak na drodze tej ów akt był naszą pierwszą poważną zdobyczą. A zawdzięczamy ją krwawym wysiłkom legionów Piłsudskiego. Znalazły one oddźwięk w narodzie węgierskim, który w chwili stosownej umiał je poprzeć energiczną akcją. Na wielkiej widowni świata w czasie wojny obecnej legiony były rzeczywistą reprezentacją narodu, która nie słowem, lecz krwią prawo Polski do bytu afirmowała. Bez legionów nie miałibyśmy aktu o niepodległości; bez aktu i tego pchnięcia, które on uprawie naszej dał, pierwszy rewolucyjny rząd rosyjski nie zwróciłby się do nas z deklaracją, uznającą niepodległość naszą; wystarczyłaby ze stanowiska jego interesów obietnica autonomii. I dopiero, dzięki owej deklaracji Milukowa i Kiereńskiego, zrozumiano w państwach Ententy, że Polski nie stanowią krykaczki w rodzaju jakiegoś Andrzeja Niemcewskiego czy Nowaczyńskiego i że nie jest ona tylko prowincją rosyjską, domagającą się "samoprawienia"; domyślano się, że naród polski inaczej traktować należy, niż jaką masę etnograficzną, dla której wystarczyłoby przyłączenie "gubernii" krakowskiej do "Prywiślańskiego Kraju". Dobrze ktoś powiedział, że Piłsudski spełniał rolę Garibaldi'ego w Polsce, ale nie znaleźliśmy i nie mamy dotąd polskiego Cavoura.

/Raków pod Mińskiem, w maju 1917 roku/

z tomu: Europa, Rosja, Azja. Szkice polityczno-literackie. Wilno 1923.

nrd:

wczoraj idzie

KACPER S. KRZYMIOWSKI

NRD dzisiaj

Centralny organ "Neues Deutschland" w lutym 1988 r. pisał: "... tajne służby i związane z nimi ośrodki w RFN i Berlinie Zachodnim usilnie pracują nad uaktywnieniem w NRD sił zmierzających do podkopania ustroju społecznego w naszym kraju i stosowania tzw. opozycji wewnętrznej. Działania te są ukierunkowane na odwrócenie uwagi opinii publicznej od głównego celu, jakim jest dokonanie postępu w dziedzinie rozbrojenia, /.../ na oskarżenie NRD o rzekome naruszenie Aktu Końcowego KBWE zwłaszcza w dziedzinie praw człowieka". Co się właściwie dzieje? Zaczniemy od przypomnienia ostatnich wydarzeń.

6-8.VI.87 Berlin. Ok. 3000 młodych berlińczyków przez trzy dni z rzędu zbierało się w okolicach Bramy Brandenburskiej by słuchać zorganizowanych po zachodniej stronie koncertów znanych grup rockowych. Gdy tłum sforsował ustawione przez policję barykady, doszło do starć. Na pałki odpowiedziano kamieniami i butelkami. Wznoszono okrzyki "Przez z murem", "Niech żyje wolność", "Niech żyje demokracja", "Chcemy Gorbaczowa".

12.VI.87 Przebywający w Berlinie Zachodnim na obchodach 700-lecia miasta Ronald Reagan udał się pod Bramę Brandenburską i tam słyszany przez mieszkańców części miasta domagał się wolności i demokracji dla państw w bloku wschodnim. Poruszył też jątrzący berlińczyków problem muru. Powiedział: "Panie Gorbaczow, niech pan otworzy tę bramę, niech pan zburzy ten mur".

8.IX.87 Berlin. W czasie pobytu Honeckera w RFN pod hasłami rozbrojenie i demokratycznych reform demonstrowało ok. 1000 osób. Na pierwszym z transparentów widniał napis w języku rosyjskim "Gorbaczow jest naszą nadzieją". Policja nie interweniowała.

23.IX.87 Synod Związku Kościoła Ewangelickiego wypowiedział się w czasie szych obrad za zwiększeniem zakresu praw obywatelskich.

24-25.XI.87 Do kościoła ewangelickiego "Zionskirsche" w Berlinie Wschodnim, ośrodka organizacji pacyfistycznych i ekologicznych wtargnęła policja. Skonfiskowano powielacze oraz wiele egzemplarzy pism "Umweltbtaetter" /"Przegląd Ochrony Środowiska"/, "Grenzfall" /"Wypadek Graniczny"/. Tej samej nocy na terenie całej NRD dokonano rewizji i zatrzymań i przesłuchań w środowiskach opozycyjnych. Akcja ta wywołała liczne protesty. Np. w kościele "Zionskirsche" przez szereg dni odbywały się warty młodych ludzi, którzy ze świecami w dłoniach protestowali przeciwko bezprawiu.

27.XI.87 Berlin. 500 osób demonstrowało domagając się zwolnienia aresztowanych w nocy 24-25.XI.

Apatkan. Jan Paweł II w wypowiedzi skierowanej do przebywających w Stolicy Apostolskiej biskupów katolickich NRD zachęcił kościół katolicki do stałego demonstrowania "świadczenia życia i wiary, aby móc w ten sposób ustosunkować się do wielu twarzy ateizmu i materializmu w NRD". Wyraził też nadzieję, że "również chrześcijanie w NRD, podobnie jak wielu katolików z innych krajów będą mogli przybyć do Rzymu normalnymi drogami".

17.I.88 Berlin. Do oficjalnego pochodu zorganizowanego w rocznicę śmierci Róży Łuksemburg i Karola Liebknechta dołączyła kilkusetosobowa grupa opozycjonistów związana z grupami pacyfistycznymi i ruchem ekologicznym. Penkja miała być natychmiastowa. Ponad 100 osób aresztowano, z czego ponad połowę natychmiast wydalono do RFN. Na skutek protestów opinii zachodniej, osesba wydalona w najbliższym terminie nie odebrała obywatelstwa NRD.

18.II.88 Bremen. W 45 rocznicę zbudowania miasta północni arcybiskupowie oficjalnych białocerkwie grupa realizująca transparenty domagające się przestrzegania praw człowieka. Narowe manifestujące rozpoznały się wycieczką do mezy w kościele p.w. Św. Krzyszta. Stal 6-tygodniowy pobłąd na świątyni i katechetycznym "Potój i wolność". "Nie zniszczycie jedyń człowieka (kt), jak mierzycie Bremen", "Żądany wolności dla innejcy wyliczycie" puszczali ulitami miasta pod ruiny kościoła NRP. Nadano się to o potój i wolność. Ok. godz. 21.00 do zatrzymanych przyłączyła się blisko 300-osobowa grupa gwałtownych wspanigwać na Zachód mieszczącność Brezwa. Śtandowani "Brezwa z maren", "Blich ówaj kłuz", wyciekano solidarności z areztowanymi 17.1. Śtandowacją nakolczono o północy, óczko wstąpi do stercz z policją, gdy ta rozpoczęła areztowania. Śtandowano pięć osób, jednego z zatrzymanych oszczędzono. Po przesłuchaniach areztowana osoby zwolniono następnego dnia.

Przyczyn tych wydarzeń dopuszczają się należyć nie w działaniu "tajnych służb", jak robi to przy każdej tego typu okazji przyłityna propaganda w całym bloku wschońnia, lecz w konkretnych problemach społecznych, gospodarczych i politycznych. I tak: rosnący w NRD militarizm wywołał wśród młodzieży tendencje pacyfistyczne. Nieprzezwyciężenie praw człowieka spowodowało rozwój ruchu obrony tych praw. System nakazów w kulturze - rozwój kultury niezależnej. Zanieczyszczenie środowiska naturalnego stało się powodem powstania ruchu ekologicznego. "Przeswagi" gospodarki socjalistycznej nad kapitalistyczną były i są powodem liczonej w milionach /jeżeli wzięny pod uwagę cały okres istnienia NRD - w szczególności przed zbudowaniem "muru berlińskiego" w 1961 r./ emigracji obywateli NRD do RFN. Wszystkim tym inicjatywom, oprócz ostatnich, w różnych okresach i w różnym stopniu patronował kościół ewangelicki.

Ruch pokojowy począł przybierać zorganizowane formy na początku lat siedemdziesiątych. Powstały liczne grupy pacyfistyczne działające przy parafiach ewangelickich. Organizowano seminaria /pierwsze w 1972 r./, akcje zbierania podpisów pod apelami i protentami skierowanymi do władz w związku z ich kolejnymi militaryzującymi życie społeczne zarządzeniami. Np. w marcu 1982 r. ponad 300 kobiet podpisało list do Ericha Koneckera protestujący przeciwko wprowadzeniu przepisu umożliwiającego powoływanie do wojska kobiet. Narodził się wtedy list "Kobiety na rzecz pokoju". Inspirowano demonstracje na rzecz pokoju. Powstały niezależne biblioteki i pisma. Formą protestu stało się noszenie przez młodzież naszywek na ubraniach z hasłami pacyfistycznymi. Za to "przestępstwo" groził w NRD usunięcie z pracy lub szkoły. Pacyfiści w NRD żądają m.in. wycofania wszystkich wojsk okupacyjnych z Niemiec, czyli również wojsk radzieckich z NRD, zastąpienia przysposobienia militarnego "nauką o problemach pokoju", wprowadzenia zastępczej służby cywilnej zamiast służby wojskowej, rezygnacji ze szkolenia obrony cywilnej i zaprzestania wszelkich demonstracji siły militarnej. Według danych kościelnych z sierpnia 1987 r. rocznie odmawis służby z bronią w ręku od 500 do 1000 osób. Głównymi ośrodkami ruchu są Berlin, Lipsk, Jena, Erfurt, Poczdam, Wöimar, Wittenberga.

Zorganizowany ruch ekologiczny powstał pod koniec lat siedemdziesiątych. Szczególnie popularne wśród młodzieży stały się wycieczki do lasu połączone z dyskusjami na temat ochrony środowiska i zagrożenia atomowego. Jest on związany z kościołem ewangelickim, przez to i z ruchem pacyfistycznym. Poza wspomnianymi wycieczkami przybrał podobne do ruchu pacyfistycznego formy.

Represje wobec działaczy niezależnych przyspieszyły powstanie ruchu obrony praw człowieka. Również i on związany jest z kościołem ewangelickim, a także ściśle z ruchem pacyfistycznym. Jedną z grup nosi np. nazwę "Inicjatywa na rzecz pokoju i praw człowieka". Grup tych w samej tylko Saksonii, wg danych tamtejszego Synodu kościoła ewangelickiego, jest około stu. Domagają się one prawa do nieograniczonej swobody podróży, ogłoszenia amnestii dla więźniów politycznych, zmian prawa wyborczego w kierunku jego demokratyzacji, prawa wolności zebrań, zgromadzeń i zrzeszania się w niezależnych organizacjach i związkach, wprowadzenia zastępczej cywilnej służby wojskowej oraz zniesienia nauki przysposobienia obronnego w ogóle, a w szczególności jako warunku dopuszczenia do studiów.

Ruchom tym towarzyszy niezależna działalność kulturalna. Organizowane są w domach prywatnych i kościołach wieczory literackie, spektakle, dyskusje,

koncercy, wystawy. Przykładem niech będzie zorganizowana w 1983 r. w jednym z berlińskich kościołów "masza bluesowa", zgromadziła ona ok. 4000 młodzieży. Po kraju krążą kasety znanych pieśniarzy Wolfa Biermana i Stephena Krawczyka /obu pozbawiono obywatelstwa NRD i deportowano do RFN - jest to szesto stosowana metoda/. W działalności tej przoduje "Biblioteka ochrony środowiska" przy kościele "Zionskirche". Organizowane są także happeningi np. przekuwanie mieczy na lemierce. Przodował w nich mieszkaniec Jeny, Roland Jahn, deportowany do RFN w 1983 r. Do jednej z jego licznych akcji należało "odbieranie pochodu pierzaso-majowego": na widocznym miejscu, w uniformie własnej koncepcji stał z twarzą pomalowaną w połowie na brązowo z wąsikami Hitlera, w połowie na czerwono z wąsem Stalina. Innym razem /styczeń 82/ jeździł na rowerze po ulicach Jeny z przyczepką na doł biało-czerwoną flagą z napisem "Solidarność z narodem polskim". Skazano go za to na 1 rok i 9 miesięcy więzienia.

Wszystkie te przejawy niezależnego życia społecznego spotykają się z brutalnymi represjami policji. Te z kolei powodują protesty. Spirala nakręca się. Wiele w tym wszystkim podobieństw z Polską. Żyjemy przecież w tym samym "obozie" i pod tą samą okupacją.

Kacper S. Krzymowski

/Sporządzono na podstawie doniesień rozgłośni zachodnich i prasy niezależnej oraz w oparciu o artykuł Andrzeja Stacha "Stworzyć pokój bez broni". Kontakt 1988, nr 1/2, s. 204-221/

luty 1988.

KACPER S. KRZYMOWSKI

Berlin 1953

"17 czerwca bandy faszystów wyszły na ulice zabijając, tłukąc, mordując".

"Neues Deutschland, 23 czerwca '53"

Dobrze pamiętamy wielkie zakręty historii, mityczne bunty przeciwko systemowi komunistycznemu na Węgrzech w 1956 r. i w Czechosłowacji w 1968 r. A przecież nie były to jedne, aczkolwiek najpotężniejsze, ruchy wolnościowe w Europie Wschodniej.

Wypadki w NRD w 1953 roku są raczej mało znane. Trwały zbyt krótko /zaledwie 2 dni/, aby pozostać w ludzkiej pamięci, aby na dłużej poruszyć opinię publiczną. Nie były też tak tragiczne w skutkach, jak te rozgrywające się na Węgrzech i w Czechosłowacji. Wydarzenia te należą jednak do poważniejszych pierwszych rozruchów w bloku wschodnim.

Po wojnie we wszystkich państwach satelickich oprócz sowieckiego systemu rządu i nadzoru wprowadzono także sowiecki system gospodarczy. Wszyscy wasale zmuszeni byli dostosować się do ekonomicznych żądań Stalina. Wprowadzono więc przymusową kolektywizację rolnictwa, co przyczyniło się do jego upadku. Kosztem ograniczenia rozwoju przemysłu lekkiego i produkcji artykułów konsumpcyjnych rozbudowano przemysł ciężki. Plaga ta osiągnęła także NRD. W lipcu 1952 r. Sekretarz Genralny KC SED, Walter Ulbricht, ogłosił na II zjeździe partyjnym program budowy socjalizmu. Rolnicy i rzemieślnicy mieli się łączyć i tworzyć spółdzielnie produkcyjne. Celem dalszego ograniczenia wpływów stanu średniego władze wschodniemieckie wprowadziły prawo gospodarcze karne i system wysokiego podatkowania. zaczęto przesłać do kościoła, a zwłaszcza tzw. małe gminy wiejskie-

ży protestanckiej. Rozbudowywano przemysł ciężki nie dbając o potrzeby konsumpcyjne społeczeństwa. Powiększały się braki w zaopatrzeniu. Pod koniec 1952 roku, a przede wszystkim w pierwszych miesiącach 1953 r. można było już dostrzec symptomy poważnego kryzysu gospodarczego.

Kryzys ten byłby może mniej odczuwalny, gdyby nie wysokie kontrybucje wojenne, które objęły wschodni sektor okupacyjny. Należy podkreślić, że sektor rosyjski był objęty największymi obciążeniami. Całość odszkodowań wojennych łącznie z wywiezionymi do ZSRR urządzeniami i towarami wyniosła 15 mld dolarów. Zaznaczył się przy tym ostry kontrast między Niemcami z sektora wschodniego i zachodniego, gdyż ci ostatni skorzystali z planu Marshalla, dzięki któremu poddźwignęli się ze zniszczeń wojennych, odbudowali gospodarkę. Poziom życia był nieporównywalny. Różnice były łatwo dostrzegalne - nie istniał jeszcze mur berliński, swoboda poruszania się po całym mieście była nieograniczona, a wielu Niemców z sektora wschodniego pracowało w zachodnim. Mogli więc łatwo porównać swoją sytuację życiową z sytuacją rodaków i przekonać się, czym tak naprawdę jest komunistyczny system gospodarowania. Wielu Niemców wschodnich decydowało się na ucieczkę do Berlina Zachodniego. Liczba uciekinierów stale rosła. W 1952 r. opuściło NRD do 150 tys. osób, a w pierwszej połowie 1953 r. już przeszło 182 tys.

Na początku marca 1953 r. zmarł Stalin. W Moskwie nowe władze partyjno-państwowe zaczęły wprowadzać nowy kurs w polityce wewnętrznej, a także zagranicznej. Proces destalinizacji miał objąć wszystkie państwa obozu komunistycznego. W NRD przeszkadzał miał się okazać Walter Ulbricht, który twarzą trzymał się dotychczasowego kursu. Opozycja w aparacie władzy, popierana prawdopodobnie przez władze sowieckie, dążyła do wyeliminowania Ulbrichta. Nie jest jednak jasne, na ile rozgrywki partyjne w NRD, a tym bardziej posunięcia taktyczne Moskwy doprowadziły do wybuchu buntu, ale wiadomo, że świadomie wykorzystywano nastroje społeczne i manipulowano nimi. O aktywnym zaangażowaniu niektórych polityków sowieckich świadczą oskarżenia, jakie w lipcu tego roku wysunęło przeciwko Berii. M.in. zarzucano mu, że dąży do zjednoczenia Niemiec.

W związku ze zmianą kursu w ZSRR po śmierci Stalina sowieckie władze partyjne ostrzegły kierownictwo NRD przed kontynuacją kursu stalinowskiego. Nowy sowiecki komisarz NRD, Władimir Siemionow zażądał, aby kierownictwo Partii Jedności Niemiec przyznało się do błędów. W uchwalonym 9 czerwca 1953 r. i opublikowanym dwa dni później komunikacie Biura Politycznego SED stwierdza się, że zaniedbano dotychczas interesy rolników indywidualnych, drobnych handlowców, rzemieślników, jak też inteligencji. Rolnikom, którzy opuścili swe gospodarstwa, należy pozwolić powrócić na nie, a młodym obywatelom, których usunięto ze szkół i uniwersytetów za wiarę chrześcijańską, przywrócić ich prawa.

Kilka dni później, we wtorek 16-czerwca 1953 r. we wschodniobерlińskim organie związkowym "Tribuna" ukazał się artykuł pióra pewnego funkcjonariusza związku zawodowego NRD, który opowiedział się za przywódczą rolę SED. W artykule tym jeszcze raz powiedziano bez ogródek, że kierownictwo partyjne oczekuje od robotników podwyższenia do końca miesiąca norm pracy we wszystkich przedsiębiorstwach. Chodziło o co najmniej 10% wzrost wydajności przy niezmiennych płacach. Takie zarządzenie wydała wschodniemiecka Rada Ministrów 28 maja 1953 r. W niektórych miejscach pracy osiągnięcie takiego wzrostu norm byłoby wówczas możliwe, jednak w wielu zakładach pracy robotnicy musieli liczyć się z obniżaniem swoich dochodów.

Fakt, że to właśnie gazeta związkowa domagała się realizacji uchwały o normach i to w kilka dni po oficjalnym przyznaniu się partii do prowadzenia błędnej polityki, doprowadził do wybuchu gniewu robotników buntujących się teraz przeciwko obarczeniu ich skutkami błędów, jakie popełniło kierownictwo.

Do pierwszych rozruchów doszło w Berlinie.

Robotnicy zatrudnieni na budowie w Alei Stalina przerwali pracę i utworzyli pochód, który udał się w kierunku śródmieścia, najpierw przed Centralę Związkową, następnie pod gmach ministerstwa znajdującego się na ul. Lipskiej. Podczas tego marszu pochód demonstrantów rozrósł się do 10 tys., rozjątrzony tłum skandował: "Żądamy obniżenia norm", "Koledzy z nami", "Chcemy być wolnymi ludźmi", "Precz z normami", "Precz z rządem", "Żądamy wolnych wyborów". Żądania strajkujących dotyczące zmian w polityce płac przekształciły się w postulat zmiany rządu na zasadzie wolnych wyborów oraz ponownego zjednoczenia Niemiec. Tego samego dnia po południu mieszkańcy Berlina zebrani na wiecu po wysłuchaniu przemówień

robotników i odśpiewaniu pieśni patriotycznych proklamowali na dzień 17 czerwca strajk powszechny. Zachodniobерlińscy politycy dowiedzieli się, podobnie jak prasa i radio, o wydarzeniach we wschodniej części miasta po południu 16-go czerwca 1953 roku. Nikt na Zachodzie nie liczył się z tak nagłym wybuchem gniewu i niezadowolona. Rozgłośnia w amerykańskim sektorze miasta podała późnym popołudniem najważniejsze postulaty strajkujących - wypłaty wynagrodzeń wg dawnych norm, obniżenia kosztów utrzymania, wolnych i tajnych wyborów, nieopóźnienia do odpowiedzialności karnej strajkujących i ich rzeczników. Radio RIAS nie podało jedynie hasła wzywającego do strajku powszechnego, albowiem zachodni politycy obawiali się, że mogłoby to doprowadzić do radzieckiej interwencji w zachodniej części Berlina. Wiadomości rozpowszechniane przez rozgłośnie spełniły rolę iskrę zapalnej.

W wielu miejscach, w dużych miastach i ośrodkach przemysłowych rankiem 17 czerwca 1953 r. załogi przystąpiły do strajku. Od wczesnego ranka tłumy z pobliskich miejscowości ciągnęły do Berlina. Pierwsze sowieckie czołgi pojawiły się już o 9-tej. Po zerwaniu przez robotników czerwonej flagi z Bramy Brandeburskiej padły pierwsze strzały. Wg oficjalnej statystyki NRD strajki objęły przeszło 270 miast i miasteczek, w tym tak wielkie ośrodki przemysłowe, jak Halle, Drezno, Jena i Lipsk.

W Halle powstały komitety strajkowe, które zawiązały Komitet Inicjatywy. 17 czerwca po południu opanowały miejscową radiostację. O godzinie 18-ej rozpoczął się wiec, na którym przewodniczący Komitetu Inicjatywy zapowiedział strajk powszechny. Równocześnie wezwał tłum do zachowania spokoju i dyscypliny. W tym samym czasie ogłoszono już stan wyjątkowy, a sowieckie czołgi krały na mieście. W Jenie kobiety zastosowały metodę biernego oporu - usiadły na ulicy uniemożliwiając przejazd sowieckim czołgom. Do strajku powszechnego wezwano także w Bitterfeld i Marseburgu. W Bitterfeld uwolniono więźniów. Po opanowaniu radiostacji wezwano do strajku. Nikt jednak nie wzywał do rozruchów na ulicy. Dzięki temu udało się uniknąć masakry. Inaczej potoczyły się wydarzenia w tych miastach, gdzie organizowano masowe demonstracje. Tam, gdzie demonstranci zrywali hasła SED, gajmowali komitety, urzędy miejskie i otwierali cele więzienne, Rosjanie rzucili do akcji wojsko i czołgi. Policja, Armia NRD, jak też skoszarowana policja ludowa nie były zdolne ani też nie chciały stłumić powstania. Wielu policjantów solidaryzowało się z robotnikami i odmawiało wykonania rozkazu.

Tak więc w niespełna dwa dni po wybuchu czołgi radzieckie spacyfikowały nastroje społeczne. Wieczorem 17.06.1953 r. we wszystkich miejscowościach NRD zapanał spokój. Według oficjalnych danych śmierć poniosło 21 osób, rannych zostało 187, wg innych źródeł zabito ok. 500 osób, 160 tys. zwolniono z pracy. Ponad tysiąc mieszkańców NRD zostało aresztowanych, dziesiątki tysięcy uniknęły tego losu uciekając do zachodniej części miasta. Chociaż bunt uśmierzone całkowicie, a Ulbricht pozostał nadal przy władzy, to jednak można mówić o pewnych sukcesach. Podwyższenie norm, sprawa najbardziej jątrząca robotników, została odwołana. Nastąpiła także zmiana w systemie gospodarowania. Zmniejszono inwestycje w przemyśle ciężkim, zezwolono na szerszy rozwój rolnictwa indywidualnego i przedsiębiorstw prywatnych. Było to jednak raczej wynikiem nowego kursu w Moskwie i osobistej ingerencji Malenkowa niż zdobyczą robotników, którzy nie wysuwali bezpośrednio takich żądań. Powstanie w NRD mogło stanowić przełom, nie tyle w historii, co w sposobie myślenia Niemców. Został wówczas zachwiany mit o reprezentowaniu interesów robotników przez partię komunistyczną. Pewien rozłam nastąpił w łonie samej partii. Pomijając rozgrywki o władzę na najwyższym szczeblu, należy zaznaczyć, że nastąpiło zniechęcenie wśród szeregowych członków partii zaangażowanych w propagowanie konieczności podniesienia norm.

Spółeczeństwo doświadczyło jak najwyraźniej działania komunistycznej propagandy, która godziła w ich poczucie godności. Ci, którzy zainicjowali strajki, zostali nazwani faszystami.

Kacper S. Krzymowski

Bibliografia:

- Ebert T. 16-17 czerwca 1953 /Kilka uwag o przebiegu manifestacji i strajków/ w: "Krytyka", 1983, nr 16.
L. Kasper A. Utopia u władzy. Historia Związku Sowieckiego od roku 1917 do naszych czasów. cz. III 1950-1980. Warszawa 1986.

Hubatsch W. The German question. New York 1967.

Grzędziński E. Polityka partii a zróżnicowanie społeczne oraz działalność sił opozycyjnych i wrogich w: "Z pola walki" 1984, nr 4.

Windsor Ph. Der Volksaufstand von 17 Juni. Bonn 1963.

archiwum

PRZEMYSŁAW L. MAKSYMIAK

Postawy Polaków wobec zaborów

LISTY KONFIDENTA MICHAŁA WOLGEMUTA I BOJOWCA ERASTA CHEJŁY

Od rewolucji 1905-1907 minęło ponad 80 lat. W okresie tym kilkakrotnie zmieniały się opisy i oceny tamtych wydarzeń. Kontrowersje istniały już w czasie ich trwania - różnie ustosunkowywali się do wydarzeń tych sami Polacy. Ze swego punktu widzenia opisywali je zaborcy. W okresie dwudziestolecia międzywojennego natomiast historiografia i publicystyka przesadnie eksponowała narodowowyzwoleńczy charakter owego ruchu. Po ostatniej wojnie z kolei ten niezmiennie istotny nurt rewolucji przestał być dostrzegany. Całą nieomal uwagę skupiono na ideologii i czynach SDKPiL. Wszystko to a szczególnie ostatnia z wymienionych tendencja wpływa na dzisiejsze rozumienie terminu "rewolucja 1905-1907". Skłania to do przypomnienia oczywistego faktu, iż wydarzenia z lat 1905-1907 były pierwszym po Powstaniu Styczniowym masowym wystąpieniem przeciw rosyjskiemu zaborcy.

Publikowane poniżej teksty dotyczą ówczesnych wydarzeń a postawy ich autorów charakterystyczne były w tamtych czasach. Są to cztery listy. Autorem dwóch jest Michał Wolgemut - jedna z cienniejszych postaci rewolucji 1905-1907. Urodzony w Siedlcach w 1888 r. do PPS wstąpił w listopadzie 1904. Od kwietnia 1905 wchodził w skład jednej z trzech siedleckich grup bojowych OB PPS. Prawdopodobnie w 2. pierwszej połowie 1906 r. przeszedł na usługi policji politycznej - żandarmerii. W tym czasie OB PPS liczyła już w samych tylko Siedlcach 5 "piątek" bojowych. Z inspiracji Siedleckiego Komitetu Robotniczego PPS powstawały grupy bojowe w innych miastach gubernii siedleckiej. Siedleckie "piątki" współpracowały z nimi przeprowadzając wspólne akcje. Były to przede wszystkim zamachy na znienawidzonych przedstawicieli władz okupacyjnych oraz napady na monopole i urzędy administracji rosyjskiej. Konfiskowane pieniądze przeznaczano na cele organizacyjne: zakup broni, propagandę, pomoc więźniom politycznym, strajkującym robotnikom oraz bojkotującym rosyjskie szkoły uczniom. Uczestniczący w akcjach tych Wolgemut dobrze mógł być więc zorientowany w stanie organizacji konspiracyjnych nie tylko w Siedlcach, ale i w innych ośrodkach ruchu podziemnego w tym i w Warszawie, z którą organizacje siedleckie utrzymywały stałą łączność. Ruch ten mimo niezwykle krwawych represji zapoczątkowanych wprowadzeniem stanu wojennego nie załamywał się. Nie załamał się nawet po pogromie dokonanym w Siedlcach przez wojska carskie w dniach od 7 do 9 września 1906 r. Mimo, iż jsk stwierdził Piłsudski "Pogrom siedlecki wywołał popłoch w całej organizacji partyjnej, bo zrozumiano, że rząd może wszystko, że rząd może wszędzie, w każdym punkcie Królestwa zorganizować z pomocą wojska taki sam pogrom /.../. Pogrom w Siedlcach stanowiący odpowiedź na "Krwawą Srodę" pozostał bez odpowiedzi ze strony Organizacji Bojowej. Była to moralna przegrana OB, po czym przyszeła i materialna".

Zginęło wówczas ok. 100 osób, ok. 100 raniono, 500 aresztowano. Największe straty poniosła żydowska organizacja Bund. Władze nawet nie starały się nadać tym wydarzeniom pozorów rozruchów antysemitkich. Z wydanej po pogromie przez generał-gubernatora siedleckiego Sykołowa odezwy do ludności miasta oraz z dokumentów żandarmerii wynika niedwuznacznie, iż celem przygotowanego przez cały sztab wojskowy i żandarmerii pogromu było zdławienie krwawymi, masowymi represjami ruch

rewolucyjnego.

Po wydarzeniach tych nastąpił odpyw fali rewolucyjnej. Zaniechano wieców i manifestacji politycznych, zmniejszyła się liczba strajków, zanikła "akcja gminna" polegająca na wysuwaniu wobec władz okupacyjnych żądań /w formie uchwał samorządów gminnych/ wprowadzenia języka polskiego do szkół i urzędów a połączona niejednokrotnie z zastępowaniem portretów cara i herbów rosyjskich godłem polskim. Przeszła ukazywać się "Naprzód", organ SKR PPS. Pełnego sukcesu władze jednak nie osiągnęły. Trwał nadal bojkot szkoły rządowej. Rozwijała się sieć tajnych szkółek polskich. Kolportowano nielegalną prasę i literaturę. Nadal ukazywały się tajne pisma organizacji młodzieżowych oraz "Orzeł Biały" siedleckiego NZR. Punkt ciężkości walki rewolucyjnej przeniósł się na akcje zbrojne. 23.X.1906 połączone siedleckie i sokołowskie grupy OB dokonały udanego napadu na konwój przeprowadzający więźniów politycznych z Sokołowa do Siedlec. W 1907 r. dokonano na terenie guberni 43 napadów głównie na monopole i kasy⁶, więcej niż w latach poprzednich.

Prawdziwego pogromu w konspiracyjnym ruchu socjalistycznym i narodowowyzwoleń-
czym w guberni siedleckiej władze carskie dokonały dopiero w 1908 r. przy pomocy zdrajcy Michała Wolgemuta. Katastrofą zakończył się zamach na pocztę w Sokołowie. W akcji brały udział bojówki OB PPS Fr. Rew. z Siedlec i Sokołowa oraz bojowcy z Warszawy w tym Zofia Owczarkówna i Michał Trzos - ten sam który w 1906 r. w przebraniu oficera gwardii carskiej spoliczkował konsula niemieckiego powodując tym interwencję niemieckiego MSZ, co spowodowało z kolei wizytę Skałona u konsula, gdzie był przygotowany na niego zamach. Bombę na Skałona rzuciła wtedy Zofia Owczarkówna. W chwili rozpoczęcia skcji na dworzec w Sokołowie, gdzie mieścił się urząd pocztowy przybyła silna grupa wojska. Rzucono bombę, rozpoczęła się strzelanina. Zamachowcy pozostawili na miejscu dwóch zabitych i wycofali się w kierunku Siedlec. Odwrót udał się. Jednak na skutek zdrady uczestniczącego w akcji prowokatora Wolgemuta uczestników akcji aresztowano. Wraz z nimi aresztowano wszystkich uczestników ruchu rewolucyjnego jakich tylko znał i pamiętał Michał Wolgemut. Nie ograniczył się on tylko do członków własnej PPS Fr. Rew. Syntetycznie i systematycznie ujęte zeznania Wolgemuta obejmują 62 strony maszynopisu⁷. Łącznie aresztowano 90 osób. Na skutek barbarzyńskiego traktowania wielu z nich zmarło w siedleckim więzieniu, zanim wytoczono przeciwko nim procesy. Trzynastoletni Witold Sulima /syn Leona, przywódca Okręgu Siedleckiego OB PPS Fr. Rew./ był przez 14 dni z rządu bity i torturowany, by zdradził resztę członków partii. Zmarł na skutek tortur. Zamordowani zostali w więzieniu żona i dwaj synowie Leona Sulimy, Leonard i Albin. Córka Konstancja Zofia Sulima skazana na dożywotnią katorgę, zmarła w drodze na Syberię⁸. Po śledztwie część aresztowanych zwolniono, część zesłano na Sybir, a 32 osoby oddano pod Sąd Wojenny w Warszawie. W dniach od 30.V.1908 do 15.VI.1908 wytoczono przeciwko nim 12 spraw. Oprócz sprawy sokołowskiej były i inne: dotyczyły zamachów i napadów wcześniejszych a ujawnionych teraz przez Wolgemuta. 29 osób skazano na śmierć, 3 na katorgę. 23 mężczyzn stracono, 5 kobietom Skałon zamienił wyrok śmierci na dożywotnią katorgę. Nikt z podsądnych nie został schwyty w chwili popełnienia zarzuconego mu czynu. Prowokator Wolgemut był jedynym świadkiem oskarżenia. Dla pozorów wydano i na niego wyrok śmierci. Następnie karę zamieniono na 15 lat katorgi po czym ułaskawiono⁹. Na tym rola Wolgemuta się nie skończyła. Pozostawał on jako wygodne narzędzie nadal na usługach policji. Jeszcze 25.II.1909 r. składał obciążające zeznania w jednej z wielu toczących się spraw¹⁰. W okresie tym; jsk wynika z drukowanych w prasie PPS ostrzeżeń¹¹, jeździł on wraz z funkcjonariuszami Ochrony trasą kolei terespolskiej wytapując znane mu osoby. Dalsze losy Wolgemuta odtworzyć można dzięki odnalezionym ostatnio listom /2 z nich poniżej/. Prawdopodobnie jeszcze w 1908 r. wykazał się już nieprzydatny Ochrona i żandarmeria zrezygnowały z jego usług. Zaoopatrzony w pieniądze i rekomendacje ze zmienionym nazwiskiem udał się do Odessy. Tu pracował w założonym przez siebie warsztacie śląc często natrętne listy z prośbą o pieniądze i przystanie "brotokółu" by mógł w zamian za nie obciążyć następną wskazaną przez policję osobę. Co robił w latach 1912-1925 nie wiadomo. W 1925 r. w Białymstoku został rozpoznany przez Ereniusza Chejłę, brata straconego w 1908 r. za udział w zamachu na pocztę w Sokołowie Erasta Chejły. Pracował wtedy na kolei pod przybranym nazwiskiem Marynowskiego. Aresztowany uniknął kary, gdyż przewód sądowy nie uznał go winnym¹².

Prezentowane poniżej listy podpisane - Stanisław Ostrowski oraz inicjałami M.W. dowodzą, iż w Białymstoku rzeczywiście rozpoznano Michała Wolgemuta. /Archiwalia w których znajdują się wspomniane listy Związek Radziecki zobowiązał się zwrócić traktatem Ryskim z 1921 r. Do Polski wróciły one w 1964/. Ostatnia wzmianka o Wolgemucie pochodzi z 1934 r. "Dziś Wolgemut mieszka sobie najspokojniej w Białymstoku i znalazł zajęcie u jakiegoś prywatnego przedsiębiorcy".

Publikowane tu listy pozwalają również na zorientowanie się w mentalności tego typu ludzi - agentów policji politycznej.

Tekst ról się od wszelkich możliwych błędów. Aby nie zamazać jego czytelności nadmierną ilością znaków edytorskich błędy te nie są zaznaczone ani też poprawiane. Jedynie w kilku miejscach odstąpiono od tej zasady.

1911 styczeń 25/ luty 7, Odessa - konfident Stanisław Ostrowski /Michał Wolgemut/ do naczelnika Zarządu Żandarmerii Powiatów Siedleckiego, Węgrowskiego i Sokołowskiego rotmistrza Grigoriewa 15.

Jaśnie Wielmożny Panie!!

Przepraszam że tak długa nie dawałem znać osobie; zajęty robotą, szukałem mieszkania. I, szykowaniem warsztatu; tak że nie miałem czasu nigdzie wyjść. Następnie mam do J.W.Pana prośbę; chociaż nie mam śmiałości Lecz zmuszony jestem prosić J.W.Pana, tak że wyjątkowo, pana, niemam nikogo kto by mnie, podtrzymał. Ośmielam się prosić J.W.Pana o pożyczkę Mnie 25 rubli 16 ponieważ znajduję się w krytycznym położeniu. Spowodu tego że pokupowałem naczynia i założyłem zakład na siebie i niemam roboty tem czase/m/ panuje w Odessie kryzys; przes mrozy, niema żadnego ruchu w przemyśle, szczęsem mam nadzieję że bend|z|ie mnie się dobrze powodzi.

Uprzejmię proszę Łaski J.W.Pana. Ouwzgl|en|dnie|nie| mojej prośby postaram się od wdzieczyć Jaśnie Wielmożnemu Panu. Zawsze jestem od|d|any J.W.P. na usługi.

M. |Michał| W. |Wolgemut|

Pó|n|kta te oktere prosiłem J.W.pana. Otóż niemając jnego wyjścia, tylko jestem zmuszony założyć warsztat nasiebie. Poniewasz roboty nigdzie dostać nie mogę nie mając żadnych świadectw i niemogoc mieszkać pod swoją... 17. Uprzejmię proszę wejść w moje położenie i proszę oznaczenie mnie jako sume pieniądze. Poniewasz to suma kturę otrzymałem niemogię się złupeżnie zabezpieczyć. Czesciowo się zabezpieczyłem; proszę oznaczenie mnie jako sume na które założyłem, zamoją prace które odałem państwu walce SPP /Sic!/ Socjalistyczno. Proszę o naznaczenie jedne razowe. Ichce nadal pracować i przynosić korzyść, Mon|ajrsze oras tronowi. I być odanym państwu na usługi nie zwazając nato że grozi mnie smierc ze strony wrogow Monarchi ja zawsze jestem gotuw odać swoje życie dla Monarchi i tronu Mając jusz małe stosunki zwrogami Monarchi szczasem bende mógł przynieść ko-|r|z|y|sć państwu, nie odkazuje się pracowac nadal zawsze jestem odany nausługi.

Następnie sprawy które ja pooktrywałem i byłem badany i były sondzone pomojch zeznaniach i byłem jako świadek. Na sondzie. Został za|b|irany skład broni po moich pokazaniach 5 pistoletuw Mauzera. 11 pistoletów Brauinga. 1 bomba. 4 petardy i Mase naboj obydwoch kalibrow. Pare party|j|nych bi|b|lotek. w Guberni Siedleckiej zabujstwa napade odkryte przezemnie kto brał udział i wieksza cześć osondzona.

1905 r. Zamach na Sydewra policmajstra 18

2|19|05 Zabójstwo Straznika na Długiej

3|19|05 Zabójstwo Żandarma na warszawskie|j|

4 |1906| Zamach na owicera Os|t|rołęckiego pułku

5. Napat na sklep Monoplo na długiej

6. Zabujstwo prezydenta i Hreszczenki

7. Nap. na stacje Parczew

8. Zamach na Ostrowskiego na Stodolnej

9. Nap. na Lesniczówkę w Golicach
10. Zabuj policmajstra Golcewa
11. Napat na Monop|o|p|o|l| w Zbuczynie
12. w Białej| zabujstwo Monopolszyczka
13. w Sokołowie ranienie Strażnika przy Kościele
- 13 /Sic!/ w Elźbietowie przy Fabryce ranienie Strażnika
14. w E|lźbietowie| drugi strażnik raniony w nogie
15. Nap. na monop w Miedzynie i zabuj|stwo|
16. Nap. na patrol na szosie do Siedlec
17. Zabujstwo Wachmisza w Węgrowie
18. Napa. na Lesniczówkę Obruczewa
19. w Białej| nap na wus pocztowy na drodze do Foksalu w 1907 roku napady i zabuj
20. Napat na stacje Biała był raniony telegra|fista|
21. Nap. na stacje Miendz|y|żec
22. Nap. na stacje Sokołów
23. Nap. na poczcie i Monop Wiśnicach zabity S|t|raźnik|k|
24. Zabuj. Obruczewa
25. Nap. na gmine w Miedzynie
26. Nap. na poczcie i Monopol w Sterdyni
27. Nap. na monopol w Mokobodach
28. Nap. na Monop Hrubie|szowie i Huszlewie
29. Nap. na Monop w Sworach i Huszlewie
30. Nap. na Monop w Rokitnie zabity Siedz|----|
31. Nap. na Sacje Między|rze|c zabity przy stacji Sboreszczuk
32. Nap. na poczcie wiosica|ch| /Sic!/
33. Nap. na poczcie Wisznicach
34. Nap. na Monop Wyroze|m|bach|
35. Nap. na stacje Sokołów i po ranienie Strażników wkożuchuwku /Sic!/
36. Nap. na Monopol Żel|isz|e|wie
37. Nap. na Monop w Sworach
38. Nap. na Monop w Czemieszewie |Trzemieszewie|
39. Nap. na Monop. i gminie Czemieszewie |Trzemieszewie|
40. Nap. na poczcie w Kodniu zabij Strażnik
41. Nap. na pociąg pod Łapamy /Sic!/
42. Zabujst Chłopa we wsi |----| Łukowskie
43. Zabujst Jakuboskiego na Warszaskiej szosie
44. Zabujstwo Chłopa w Łukowie
45. Zabujst Strażnika w Białej i drugi raniony
46. Zabujst Strażnika w Białej na Woli i Sokołów osta|t|ni

Nawiem tylko czy Jaśnie Wielmożny Pan się rozebrać wmojem piśani.

Dowidzenia.

|W jęz. ros.|

Moj adres

u-ca Miesoczdowka Nr 10 kw. 30

Sta. O-ki

25/i /7.II. 11 goda.

Oryginał, rękopis APS, Siedlecki Gubernialny Zarząd Żandarmerii /SGZŻ/ 548
k. 14-17.

Żandarmeria na list ten nie odpowiedziała. Wolgemut wysłał więc następny.

1911, marzec 4/17, Odessa Konfident Stanisław Ostrowski /Michał Wolgemut/ do
naczelnika Zarządu Żandarmerii Powiatów Siedleckiego, Węgrowskiego i Sokołowskiego
rotmistrza Grigoriewa

Jaśnie Wielmożny Panie!!

Przepraszam J.W-go pana że ośmielałem się pisać, list do J-iej W.p. Ja pisałem list do J.W.p. Rekomendowany; sprosbo: i nie otrzymałem żadnej odpowiedzi; niewiem co to ma się znaczyć?

Może J.W.p. namnie jest obrażony? To najserdeczniej przepraszam jezeli cos ziego czyli ktos nagadał namnie to ja niewiem; Przepraszam najmocniej, postaram się naprawić.

Uprzejmie prosze J.W.P. Oto com prosił J.W.P. Ja bym chciał jak najprędzej wysłać ... bardzo mnie zależy natem.

Jeszcze ras ośmielał sie prosić J.W.P. prosto się wyrażę że błagam łaski J.W.P. opożyczzenie natem pare rubli pieniedzy poniewasz sie znajduje dosyć, wkrytycznem położeniu; błagam J.W.p. niech pan wejdzie wmoje położenie; i pożyczcy mnie 10 ru.; czyli więcej jeżeli J.W.p. może prosze łaski J.W.p. niech pan wejdzie wmoje położenie że niemam nikogo kto by mnie dopomógł; cołała nadzieje pokładam w panu. do pana jak do swego rodzzonego Ojca mam śmiałość błagam jaśnie wielmożnego pana O uwzględnienie mojej prosby jak naj prędniej.

Dobranoc

Oddany J.W.P. na usługi do śmierci Stanisław

[W jęz. ros.]

Jatdries moj

Miesoczdowka u-ca Nr 10 kw. 30

Stanisław Władisławow

Ostrowskij

Odiessa 4/17.III.1911 goda.

Oryginał, rękopis APS, SGZŻ 548 k. 19-20

Dwa następne listy napisane zostały przez Erasta Chejłę ps. "Rastek". Chejło, towarzysz Wolgemuta o dwa lata od niego młodszy, od 1900 r. był uczniem Siedleckiego Gimnazjum Męskiego. Założył tam w 1904 koło PPS tz. organizację "Sztubacką". Marzył o czynnej walce z zaborcą. W 1906 wstąpił do OB PPS /po rozłamie tak jak cała OB przeszedł do OB PPS Fr. Rew./²⁰. Należał do tej samej co Wolgemut "piątki"²¹. Chejło od 15 roku życia utrzymywał się z korepetycji. Był wzorowym uczniem i nawet w okresie czynnego zaangażowania w ruchu rewolucyjnym promocje z klasy do klasy otrzymywał z nagrodami. Ostatnią jego akcją bojową był napad na pocztę w Sokołowie. Po niej ukrywał się. Przyjaciele proponowali mu wtedy ucieczkę za granicę - kategorycznie odmówił, kończąc odmowę słowami Warszawianki: "i hańba temu kto z nas za młodu lęka się stanąć - choćby na szafocie!". Wpółście został aresztowany. Przewieziono go do X Pawilonu Cytadeli Warszawskiej. W śledztwie traktowano go ze szczególną surowością. Stosowano różne okrutne metody, by złamać jego młody charakter i wymusić zeznania. Pozostał nieugięty. Zachował pogodę ducha. Drwił z pozorów zachowania prawa, jakimi były sądy wojenne. Żartując ze swymi towarzyszami z OB mówił "I cóż powiedziały teraz mój dziadek, który otrzymał medal za podawlenie polskowo miatieża wobec swego wnuka miatieżnika". 31.V.1908 r. otrzymał wyrok śmierci. 4.VI.1908 r. zaprowadzono go wraz z innymi pod szubienicę. Był świadkiem jak ze słowami "Żegnajcie bracia. Niech żyje Polska!" szli po kolei na szafot jego towarzysze z siedleckiej OB. Tęgo dnia nie stracono go. Został odprowadzony na kolejne przesłuchania. Proponowano mu ulaskawienie żądając zeznań obciążających pozostałych bojowców. Odmówił. Odmawiał tak przez tydzień. W czasie tego tygodnia wyprawdzano go codziennie pod szubienicę. Wiele razy przeżywał swoją śmierć patrząc jak giną jego przyjaciele. Zginął w nocy z 9 na 10 czerwca 1908 r. Na wieść o egzekucji uczniowie gimnazjum siedleckiego powstałi z miejsc przerywając egzamin maturalny.

Ostatni list jski napisał, a który przechwycili żandarmi zaczynał się od słów "Umieramy z wiarą w zwycięstwo rewolucji" a kończył słowami z Mazura Kajdańskiego "Trzeba pomścić, jak należy śmierć zmarłego brata. I na grób mu zamiast wieńca rzucić głowę kata"²³.

W całości zachowały się dwa inne listy. Jeden wysłany z więzienia siedleckiego. Drugi wyniesiony przez obrońcę z X Pawilonu Cytadeli Warszawskiej. Oba opublikowało "Jutro" 6.IX.1924 r. /nr 8, s. 20-22/.

Siedlce, luty-kwiecień 1908, Erast Chejło do brata Eugeniusza Chejły.

"Kochany Gieniu. Mnie wytoczyli 5 spraw i jeszcze nie wiem, wiele będzie, bo śledztwo nie skończone. Sprawy te są: Sokołów /poczta/, stacja w Sokołowie /1906/, dawna sprawa w konstantynowskim powiecie, poczta w Wisznicy i monopol w Sterdyni sokołowskiego powiatu, przychodzili świadkowie na rozprawę i nie wiem, co powie-sokołowskiego powiatu, przychodzili świadkowie na rozprawę i nie wiem, co powie-dzieli. Ze Sterdyni przychodziło 4 Żydów i 3 Polaków. Mnie ubrali w cywilny kapelusz i palto. Polacy i 3 Żydów nie przyznali się do mnie, a jeden Żyd /z czarną brodą/ średniego wzrostu z garbatym nosem poznał. Dowiedz się tam o nim, bo to swojoc - widocznie podmówiony. Bo czyżby on mógł zapamiętać twarz, jak to było w nocy, półtora roku temu, a on nawet nie spojrział dobrze i od razu powiedział, że ten sam. O stacji sokołowskiej podałem na świadków rodzinę Strzałkowskich i ich podaję we wszystkich sprawach, a o Wisznicy, to powiedziałem, że byłem w Mokobodach wtedy. Mnie pytali, czy ja znam Mszczonowskiego, to powiedział mu, jakby się pytali, żeby powiedział, że mnie bardzo mało zna i że ja nigdy nie jeździłem. We wszystkich innych sprawach to nikt nie uznał, a mój charakter pisma nie przydał im się chyba, bo mają kwaśne miny. Ja nie padam na duchu i jeżeli ci szubrawcy powieszają mną - to się nie lękam śmierci. Niech ci kaci nie myślą, że nas ustraszają stryckiem, ja będę umierać mężnie, bo wiem, że przyjdzie czas i na tych szubrawców i tego psa Wolgemuta, co nas sypie. Jak zobaczysz którego z towarzyszy, to kłaniaj się od nas wszystkich, co jesteśmy w więzieniu, nas tutaj jest 16 takich, którym grozi stryk. Mnie teraz łotr, pomocnik naczelnika więzienia poszedł na górę i nie dadzą nawet trochę przejść się po drodze i nawet po korytarzu. Podziękuj cioci Strzałkowskiej, że świadczy za mną. Ja tego nigdy nie zapomnę i będę pamiętać do samej śmierci. Ciebie też dranie aresztowali - i puścili. Oni ciebie też mają na oku. Wszystko od Was dostanę i dostaję. Może tutaj kto jest - to skomunikuj się z nim ²⁴. Pozdrowienia dla mamy i całej rodziny".

Warszawa 3 czerwiec 1908, Erast Chejło do brata Eugeniusza Chejły.

"Kochany Gieniu. Kochana Mamol Piszę do Was po raz ostatni, liczę godziny do egzekucji, bo już dowiedziałem się, że Skałon mnie zatwierdził wyrok śmierci, pewnie to samo przyjdzie i od cara. Żałuję trochę, że ginę tak młodym i że większą korzyść mógłbym przynieść, jaką przyniosłem obecnie. Kłaniaj się wszystkim znajomym i towarzyszom, których spotkasz. Ukłon dla cioci Strzałkowskiej i jej całej rodziny, dla Naci i Żeleznickiego, życząc im szczęścia. Kłaniaj się wszystkim kolegom: Nowickiemu, Korzeniowskiemu, Laturowi i innym. Ukłon dla Lipci i małej Wili. Pamiętaj też o Suckim i prokuratorze siedleckim, bo zawdzięczać im trzeba moją śmierć. Pamiętaj też o mamie, bo ty jeden zostałeś się. Żegnajcie wszyscy koledzy, znajomi i towarzysze. Ze spokojem pójde na szafot, cieszę się jeszcze, że dobry odzew opinii publicznej o nas. Kłaniaj się Jakubowi i Kostce. Bardzo szkoda mi mamy, bo zdaje mi się, że nie przeżyje ona mojej śmierci. Nie martw się, bo człek każdy umrzeć musi, gwałt rodzi mściciela. Ukłon dla Sulikowskich i Święcickich. Jeszcze raz żegnam się z tobą i z Mamą, ze wszystkimi znajomymi i z całym światem. Zgłasza młode życie... do Was pisze kochający twój brat Erasm. Całuję Was wszystkich, 3 czerwca 1908 roku. Godzina czwarta, za 8 godzin egzekucja, dziś moje imieniny - to traf".

Dla ruchu rewolucyjnego w guberni siedleckiej opisane wydarzenia były potężnym

ciosem. Nie spowodował on jednak zupełnego załamania. Między innymi działalność konspiracyjną prowadzili /pod kierunkiem Eugeniusza Chejły/ uczniowie gimnazjum siedleckiego. Jedną z odezwo szeroko kolportowanych w tych trudnych dniach na terenie guberni podpisana przez Oddział Siedlecki PPS Fr. Rev. zaczynała się od słów: "i hańba temu kto z nas za młodu, lęka się stanąć - choćby na szafocie!"²⁵.

Przemysław L. Maksymiuk

P r z y p i s y

1. Archiwum Państwowe w Siedlcach /APS/, Siedlecki Powiatowy Zarząd Żandarmerii /SPŻŻ/ 244 k. 283.
2. Świadczą o tym m.in. dwa wydarzenia z sierpnia 1906 r. Na 15.VIII.1906 r. siedlecka OB planowała dokonanie zamachu na kancelarię policji. Wykonanie przewidziano na moment porannego raportu. Plan przewidywał również dokonanie zamachu na osobę gubernatora, gdyby ten przybył do policji zaalarmowany wybuchem bomby. Akcję tę odwołano z powodu podejrzanego zachowania Wolgemuta. Na "krwawą środę" przewidywano zamach na wyróżniającego się szczególnie okrucieństwem policmajstra kapitana Golcewa. Do zamachu nie doszło, gdyż przechowujący broń Wolgemut odmówił jej wydania. /Zamach ten wykonano 21.VIII.1906/ /U.Głowacka-Maksymiuk, Gubernia siedlecka w latach rewolucji 1905-1907, Warszawa 1985 s. 140/.
3. U.Głowacka-Maksymiuk, Gubernia... s. 111-112, 145.
4. J. Piłsudski, Historia Organizacji Bojowej PPS /w:/ Materiały Historyczne Międzywydziałowego Koła Naukowego Wiedza, Warszawa 1985 s. 12.
5. S.Martynowski, Pogrom w Siedlcach, Łódź 1936, U.Głowacka-Maksymiuk, Gubernia... s. 141-142.
6. U.Głowacka-Maksymiuk, Gubernia... s. 145.
7. St.A.Radek, Sprawa sokołowska - styczeń 1908 r. /w:/ Gazeta Polska 1931, nr 206-210; U.Głowacka-Maksymiuk, Gubernia... s. 146.
8. Centralne Archiwum Państwowe ZSRR w Moskwie, MSW Departament Policji 204 t. 102-00, j.h. 13 cz. 1, k. 38-100, mikrofilm M. 1 w APS.
9. K.Jeziorański. Sulimowie /w:/ Kalendarz jubileuszowy-pamiętka XV-lecia odzyskania niepodległości. Warszawa 1934 s. 87.
10. U.Głowacka-Maksymiuk, Gubernia... s. 146-148; K.Jeziorański, Prowokatorzy /w:/ Kalendarz... s. 105-108.
11. APS SPŻŻ 244 k. 283.
12. "Robotnik" 1908 nr 233 s.4; nr 239 s.7. "Naprzód" 1909 nr 64 s. 2.
13. K.Jeziorański, Prowokatorzy /w:/ Kalendarz... s. 108.
14. Tamże s. 108.
15. W 1910 Komitet Zagraniczny PPS Frakcji Rewolucyjnej skazał rotmistrza Grigoriewa szczególnie gorliwego w dławieniu "polskomo miatleża" na karę śmierci /APS SPŻŻ 247 k. 112, S.A.Radek, op.cit. nr 207, s. 6/.
16. Przeciętny zarobek miesięczny robotnika wynosił w 1911 r. w Królestwie Polakim 25,6 rubla /Rocznik Statystyczny Królestwa Polskiego 1913 s. 129./
17. Wolgemut po zmianie nazwiska nie mógł udokumentować swojego wykształcenia. Z zawodu był ślusarzem.
18. Opis ważniejszych zamachów z wymienianych przez Wolgemuta znaleźć można w pracy U.Głowackiej-Maksymiuk "Gubernia siedlecka w latach rewolucji 1905-1907" Warszawa 1985.
19. Z listów wynika, iż żądano od niego doniesień o ruchu rewolucyjnym w Odessie. Wolgemut nie potrafił sprostać wymaganiom. Między innymi dlatego nie wysłano mu pieniędzy.

20. Słownik biograficzny działaczy polskiego ruchu robotniczego. Warszawa 1878 T.1 s. 303-304.
21. U.Głowacka-Maksymiuk, Gubernia... s. 153.
22. E.Lodwich-Ledwa, Ze wspomnień o Eraście Chejle. Wycinki z zapisków /w:/ Zeszyty metodyczne - Vademecum działacza kultury Siedlice 1982 Nr 4, Cz. 1 s.70; S.A.Radek, op.cit. nr 208 s. 6.
23. S.A.Radek - op.cit.nr 208 s.6; nr 209 s.4; nr 210 s.2; E.Lodwich-Ledwa - op.cit. s. 71-75; Słownik biograficzny działaczy... T.1 s. 304.
24. Chejło miał na myśli członka partii, z którym należy nawiązać kontakt celem zorganizowania ucieczki. Dostarczoną już broń odnaleziono przy więźniach. Próba ucieczki nie powiodła się.
25. P.L.Maksymiuk, Organizacje konspiracyjne w Siedlcach w latach 1907-1914, maszynopis pracy magisterskiej w APS s. 36.

Nota o autorze:

Przemysław L.Maksymiuk ur. 1963. Historyk, absolwent Uniwersytetu Warszawskiego, b. więzień polityczny, wiceprezes Towarzystwa Miłośników Podlasia. Mieszka w Siedlcach.

półka
metrum

PIOTR GAZDA

Nieobecny współmieszkaniec

"Teatr zawsze gram" /"Czytelnik" 87/ Adolfa Rudnickiego jest książką o problemie polsko-żydowskim. Żydów już u nas nie ma i zapewne już nigdy ich tu nie będzie. To historia. Jednak zadziwiająco żywotna! W takim razie może przedwcześnie mówimy o historii? Niekiedy wydaje mi się, że póki nie zaczniemy prawdziwie mówić o niej, nie szeptać czy krzyczeć, tylko właśnie mówić, póty - a trwać to może jeszcze bardzo długo - spać będziemy niezdrowe kwasy. Ten temat ma u nas swoje fazy milczenia i nagłych erupcji, bywa asem w rozgrywanych partiach i bywa niebytem, okresami jest modny, kiedy indziej najbardziej nie na czasie. Przyczyny tych wahań tkwią poza nami, tu niewiele jesteśmy w stanie zmienić. Ale przecież zawsze coś zmienić się daje. Choćby złamać monopol dwóch postaci, które zdają się patronować całej sprawie. Pierwsza z nich jest zawsze pogodna i beztraska, wręcz nonszalancka, stosunki polsko-żydowskie są dla niej sprawą, lecz nie problemem; jest to temat bez tajemnic, jasny i oczywisty, co do którego my niczego ukrywać nie musimy, bo mimo pewnych zgrzytów, myśmy w nim czysto i niewinnie, wystarczy proste przypomnienie cudzych przewin, tych sprzed blisko pół wieku - to natychmiast poprawi nam samopoczucie. Postać druga budzi sympatię większości, ujmuje swoim z troską i delikatnością, temat jest dla niej i sprawą, i problemem; niejasności rozstrzyga raczej na naszą niekorzyść, taktownie, byle tylko uniknąć osądzenia o brak szacunku czy pokory wobec narodu tak okrutnie doświadczonego - taki jest efekt rozmów prowadzonych w cieniu Tanatosa. Postawa druga byłaby ze wszech miar godną polecenia, gdyby nie pewna związana z nią niedogodność, dla mnie nie teka znowu drobna: osobiście zwykłem nie rozmawiać na cmentarzu, bolesna oczywistość miejsca działa paraliżująco, nadmiernie poszerza pole nieobyczajności, sprzyja zaakragleniom, precyzyjnie nierządkiem podmienia kurtuażia. Szlachetne moralizowanie też ma swoje niedostatki.

Jest jasne, która z tych postaw jest Rudnickiemu bliższa. Wiecznie uśmiechnięty

swojak sam z siebie o problemie polsko-żydowskim nigdy nie napisze nawet linijki, chyba że ktoś to pisanie u niego zamówi lub mu je nakaże. Notatki Rudnickiego obrysowują jego "stare obsesje". Ta książka wyrosła z wewnętrznego potrzeby. Historia Idy Kamińskiej i założonego przez jej rodziców teatru żydowskiego miała te zapiski prowadzić, porządkować. Potrzeba przerosła zamiar. Myśli się rozpięzchły, jedne zaszły zbyt daleko, inne - ledwie ruszyły z miejsca. Szukając znaków na powrót je porządkujących, każdy ma prawo zacząć od czego innego. Ale najlepiej napocząć tę historię od środka - od Marca.

Należę do pokolenia, które mogłoby - i nie bez racji - powiedzieć: to nas nie dotyczy, myśmy w tym nie uczestniczyli; na przełomie 67/68 mieliśmy po lak kiikanaście, co najwyżej stać nas było na pełne niemoty statystowanie ówczesnym wydarzeniom. Ale, i na ten fenomen warto zwrócić uwagę, rzadko się zdarza, by ktoś z mego pokolenia odwracał się plecami, by umywał ręce. To coś więcej niż zwykła ciekawość tamtych czasów. Marzec jest w nas, tkwi jak cierni, bolesny, ropiejący. Ilekroć przychodzi nam go dotknąć, ogarnia nas zawstyżenie. Nie wiemy, jak do niego podejść, jak się uatawić. Anty- i filosemickie koleiny wabią prostotą podsuwanych ocen. Chcemy mówienia, a w nadmiarze znajdujemy deklaracje; chcemy ważenia racji, a stajemy wobec gry emocji. A przecież Marzec jest na tyle ważny, że co rusz przychodzi nam go dotykać. Nie wystarczy o nim powiedzieć: to zbrodnia i hańba! Minimalna jest wartość tego wielce słusznego, niemal świętego oburzenia.

Rudnicki mówi: Marzec nie był niczym nowym - już po krótkim czasie widać było, że ten pozornie nowy rozdział nosił stary kapelus, który zrecznie tłumowi nasunięto na oczy. Jeszcze raz - sugeruje pisarz - znużony, marastyczny naród dał się złapać na antysemityczne hasła; był tak żądny rozrywki, że łatwo przyszło wprawić go w stan upojenia. Chwył był stary, to prawda. Od setek lat, zresztą gdzie indziej nie rzadziej niż u nas, kiepscy macherzy od klajstrowania społecznych pęknięć sięgali po żydowską kartę. Mały pogrom, niby oczyszczenie i odmiana, potem wyciszenie i całość wracała do "normy". Później i Marzec przebiegi według tego schematu. Jeśli jednak zważymy, że po roku 68 również próbowano tej zagrywką i że żadna z tych prób, wyjąwszy garstkę aberantów, nie zyskała społecznego oparcia, to może inaczej spojrzmy na Marzec. Stary chwył się zużył. I wcale nie dlatego, że raptem zabrakło Żydów - wystarczy jeden ich przedstawiciel /choć wcale nie jest pewne, czy jego obecność jest absolutnie konieczna/, by rozkołysać antysemityczne nastroje.

W kraju od lat podzielonym na my i oni - pisze Rudnicki - najprzód pierwszy dali w skórę drugim, potem drudzy pierwszym, a kraj wygląda, jak wygląda. Lecz, dodajmy: nie tak, jak wyglądał. W tej części Europy nawet najdrobniejsze były rzeczywiste zmiany nie zasługują na lekceważenie. A czy tak trudno zauważyć, że z Marcem bezpowrotnie skończył się czas tandetnej a wszechogarniającej taktyki., owego wyczekiwania dojrzących ruchów, pośpiesznego wyszukiwania nie mniej doraźnych kontrposunięć. Zresztą nie tylko to się zmieniło.

W "cywilizowanym" świecie istnieją sposoby lepsze niż eksterminacja; teji w Europie praktykować dziś już nie sposób. Istnieje choćby metoda powolnego patroszenia, nijaczenia, bez wszystkich tych krzyczących gwałtów, na które sama natura potrafi szybko i bezbłędnie podszepnąć ripostę. To metoda wydrążania - niezbyt bolesna, więc i trudna do pochwycenia, ubrana w piórka racjonalności i nowoczesności, więc i ludzkiej próżności schlebająca. Bronią przed nią systemy absolutne, te spoza czasu wywodzone i ponad czasem sytuowane. Umysły nazbyt skóre do praktycyzmu, zwykły mówić o nich jako o zabobonnych przeżytkach lub - w najlepszym razie - humanistycznych bajdułkach. A one bronią rzeczywistość. Stąd u ludzi nawyk trzymania się ich, bronięcia ich za wszelką cenę. W zachowaniu człowieka formy znaczą one wiele, w życiowych rozgrywkach - znacznie mniej, najczęściej doznają klęski. Lokowane zbyt wysoko, są bezradne i bezbronne na poziomie codzienności. W Marcu nikomu nie spadł włos z głowy, ale, gorzej, zabijano dusze. Tę pokazową lekcję pojął nie tylko ci, których gra dotknęła najbardziej. Zrozumieli ją wszyscy. A przy okazji dotarło do nich, że na przyszłość nie wystarczy mieć rację, być w prawdzie, wypada jeszcze nie być tak bezbronnym. Za długi niefrasobliwie pogardzaliśmy praktycznością.

Mamy swój udział w historii żydowskiego cierpienia. To niezaprzeczalne. Marzec był jednym z tych strumyków, które zasilają ogólnoswiatową rzekę prześladowań. Wypłynął z naszego kraju. Żaden z tych małych i głupich macherów, którzy wówczas

rozgrywali żydowską kartę, nie spostrzegł, że tak naprawdę ustawia wiechę na najwyższym z oświęcimskich kominów; zapewne każdy z nich mniemał, że to Historia nanosi niezbędne poprawki, kończy dzieło tak minimalnie sfuszerowane. Szlachetny moralista zaleciłby w tym momencie ogólnonarodowe bicie się w piersi. Czy jest to rzeczywiście potrzebne? Może należałoby uściślić adres? Wciągać w to wszystkich, to jakby nie wciągać nikogo. To rozmazywać historię. To zachęcać nawet tych najniewinniejszych do pustego rytuału. To jednocześnie, tak na opak dobrym intencjom, wzmacniać gorycz wśród skrzywdzonych. A gorycz jest złym doradcą. Pozornie nie potrzeba zbyt wielkiej przebiegłości, by zobaczyć rolę tę grę postaw i zachowań polskiego społeczeństwa. Ale wcześniej wypada przełknąć gorycz, nie dać się jej oślapić. Inaczej spod pióra gotowe spłynąć słowa niesprawiedliwe. Jak choćby takie wyznanie: Któregoś dnia w polskim teatrze nie mogliśmy się nadziwić temu, że mimo wszystko życie toczy się jak dawniej, że los Żydów był tylko ich losem osobistym i niczym nie psuł harmonii dnia. To uczucie zna każdy, kto stracił kogoś naprawdę bliskiego – dla niego cały dotychczasowy świat się rozspytuje, wali na głowę, a jednocześnie – o zgrozo! – spostrzega, że życie toczy się dalej, a świat stoi mocno i zdaje się mówić: przecież nic nadzwyczajnego się nie stało. W pierwszym odruchu niejeden gotów zniechęcić wszystkich, nawet stać się osobistym wrogiem samego Pana Boga. Zazwyczaj opamiętanie przychodzi na czas. Bo jakież my mamy prawo wymagać od zbiorowości, by podzielała nasze indywidualne odczucia? Kimże my, u diabła, jesteśmy – wyrocznią? pępkiem świata? Nie jesteśmy ani pierwszą, ani drugą. Nikt nam nie zabroni zamyślać o samobójstwie, ale nigdy nie szukamy takiej myśli w żywych społeczeństwach, całkowicie jest ona im obca. Naszym przywilejem jest mniemać, że z powodu poniesionej straty cierpimy bardziej niż inni, ale po czym wnosimy, że inni nie cierpią wcale, że, więcej, oni nawet tej "naszej" straty nie rączyli zauważyć?

Los Żydów polskich był nie tylko ich losem osobistym, a harmonia dnia, jeśli o takowej w ogóle można tu mówić, została zniszczona /środowniska naukowe i twórcze odczuwają to po dziś dzień/. Passus wcześniejszy przybliżył do tych stwierdzeń, choć, przyznaję, dowodem nie był. Niechaj więc będą one rodzajem deklaracji. Deklaracji potrzebnej, bowiem zwierzenie o teatralnym zdziwieniu poprowadzone zostało u Rudnickiego fragmentem o "polskim antysemityzmie". Gdybyż wyszedł on spod pióra kogoś nie dość zakorzonego w polskość, nie dziwiłbym mu się: reprezentowany przez część polskiego społeczeństwa antysemityzm jest /o ileż chętniej napisałbym: był/, lecz niestety – on ciągle jeszcze jest /faktem i jak każdy przejaw plamiennej nienawiści jest wstrętny. Lecz Rudnickiemu nie o prostą ilustrację tej oczywistości chodziło. To jasne. Chciał objaśnić: jak to się stało? dlaczego tak się stało?

Polska przyjmowała Żydów z wielu krajów. Z czasem powstała tu największa gmina żydowska w Europie. Zatrzymywali się tu, gdzie zatrzymać się mogli, gdzie ich chciano. Czy oni sami chcieli znaleźć się akurat tutaj? Zgódźmy się, że to nie oni wybierali, to ich wybierano, taki zawsze jest los tułaczy. Nawet jeśli uznamy ten "wybór" za wymuszony czy przypadkowy, nie będzie to znaczyło, że z góry przesądzamy, iż musiał on być zły, tak dla nich, jak i dla nas. Dlaczego w tak niewielkim stopniu wykorzystane zostały szanse otwierające się przed każdym, nawet takim "przymusowym" mariażem?

Żydzi znaleźli na polskiej ziemi miejsce dla siebie. Nie był to raj. Ten kraj nie był izolowaną wyspą wolną od zarazków choroby, której na imię antysemityzm. Choć, gdyby dbać o proporcje, za czasów niepodległej Rzeczypospolitej choroba ta była raczej groźbą hipotetyczną, pożytki sprzyjające rozwojowi tu nie znajdowała. Przybywali do nas Żydzi znający już zapach pogromów. Oprócz surowych obyczajów i nędzy, przynosili ze sobą wizję świata bezlitosnego, wręcz okrutnego. Taką podpowiadały im doświadczenia. Zawsze i wszędzie byli ludźmi drugiej kategorii. To, co otrzymywali, w każdej chwili mogło być im odejęte. Wieczna tymczasowość odcisnęła piętno pozorności na ich życiu. Ich bycie było zaledwie tolerowaniem, kruchym, kapryśnym. Tak było od wieków i wszędzie.

Wiecznie izolowanym z czasem nie trzeba już przypominać, gdzie jest ich miejsce. Usuwają się sami. Szukają swoich, zamykają się w swoim kręgu. Zasięg zjawiska polonizowania się Żydów świadczy, że nasza sławna tolerancja ongiś nie była pustą formą. Sytuacja uległa zasadniczej zmianie dopiero w wieku XIX. I my zostaliśmy przeciwni przez historię. Znaleźliśmy się w sytuacji takiej

amej, jak Żydz - spadliśmy do drugiej kategorii, ograniczono nasze prawa, tępią nasze tradycje i język. Na jednej ziemi stykać się teraz musiały dwie nacje bolaśnie doświadczone i głęboce przeświadczone o wyjątkowości swojego losu, wierzące w wielką misję, jaką na tym świecie mają wypełnić. Dwie nacje przeczulone na własnym punkcie, że znaczną skłonnością do zasklepiania się. To je oddalało od siebie, zabijało wzajemne zainteresowanie, lecz nie to było głównym źródłem zdrażeń i konfliktów. Najważniejszy był odmienny stosunek do Rosji. Polacy nigdy nie zrezygnowali ze swoich aspiracji politycznych, nigdy też nie stali się lojalnymi poddanymi carów. Inaczej Żydzi. Kuszeni ogromnymi możliwościami, jakie dostrzegali w Rosji, skłonni byli z pokorą zaakceptować swój dotychczasowy status.

Żal, że tak długo żyjąc razem, tak naprawdę stale żyliśmy obok, niezbyt dbaliśmy o poznanie "aaalada". Wspólnie wyczekiwaliśmy cudu, lecz wypatrywaliśmy go w innych kierunkach. Polacy utkwili wzrok we własnej ziemi, ogarnęli resztki, zaszły się w swoich zaściankach. Z kolei zrodzona w piwnicach myśl Żydów wybiegała daleko - w głąb Rosji, do Ameryki, do Palestyny. Staład łowiono idee. Nie bardzo przy tym zważając na fakt, że te importowane "cudowne" nowinki Polakom, gospodarzom tej ziemi, zdecydowanie nie pasują, że oni ich najzwyczajniej nie chcą, a na ich roznosielieli patrzą krzywo, jak na wrógów. Jest zasadnicza różnica pomiędzy perspektywą piwnicy i zaścianka - gdy ta pierwsza zmusza do radykalizmu, bo przecież jakoś trzeba się przebić, wyjść na powierzchnię, ta druga nastraja defensywnie, skłania do wycofania, oszańcowania się, pielęgnowania ocalałych drobiazgów.

Zbyt długa jest nasza wspólna historia, byśmy mogli zamyślać o precyzyjnym oddzieleniu przyczyn i skutków, o wysupianiu nitki z tego kłębka. Podążający koleinami z maniakim uporem prawią o winach i grzechach, szafując nimi pod dyktando emocji. Takie "surowe" i ostateczne wyceny są ich podstawowym zatrudnieniem. Zwykła zarozumiałość. Tego splotu nikt nie rozplącze. W spokoju można aspirować do roli objaśniacza /ułomnego!/, myśląc nerwami - nigdy. Dlatego wypadł ze swojej roli Rudnicki, gdy napisał: Żydzi są bezbronni. Ten zdobędzie ich serca, kto zapewni im bezpieczeństwo. Jak mogli Polacy zapewnić komukolwiek bezpieczeństwo podczas drugiej wojny światowej? Jakie tu w ogóle było możliwe bezpieczeństwo? Ale była to Polska i Polacy byli zobowiązani zapewnić im bezpieczeństwo. Nie mogli? Ten właśnie był ich wielki grzech. Pochodne tego grzechu żyją i długo żyć będą w ksiązkach, w filmach. Jako uderzenie budzące najpaskudniejszego z demonów - plemienną nienawiść, to znakomite. Ale czy o to chodziło?

Zaczynając tę historię od Marca, napisałem, że będzie to jej środek. Przed - to oczywiste, ale jak możliwe jest potem? Wbrew pozorom ta historia ma swoje potem. I kto wie, czy dziś nie jest to jej część najważniejsza. Rudnicki dotyka materii pomarcowej. Dotyka jej ze sporym obrzydzeniem. Świat miniony, ten zabity i ten odeszły, wydaje mu się lepszy, bogatszy, wspanialszy; terazniejszość jest chuda i nijaka. Wówczas kipiało życie, teraz - straszny pustka. Niewielu schodzących ze sceny widzi to inaczej. Ale to zjawisko tak zwyczajne u Rudnickiego przybiera niekiedy postać niepokojąco drapieżną. Więc proszę - ostrożniej. Przecież tu nadal ktoś żyje. Oprócz nieludzko pięknego rozłożonego zorzą wieczorną nieba, są tu jeszcze ludzie. Co z tego, że żyją w "otępiałej biedzie", że tak często i tak dużo piją? Skąd wiadomo, że oni nie chcą znać pisarzy, których zna już cała "wielka Ameryka"? Czy rzeczywiście ich jedyną prawdziwą umiejętnością jest destrukcja? Tak spierać można się z tym krajem, nigdy - o ten kraj.

Antysemityzm przetrwał u nas Żydów. To zadziwiający fenomen. Należy mu się przyrzec, nie zaś we wstrętem odwracać. Odeszli ludzie piwnic, lecz pozostali - ludzie zaścianka. Problem niegdyś tak gorący powinien był już dawno wystygnać. A jednak nie. Ciągłe parzy, bowiem nadal spełnia ważną funkcję: stał się maską, obiektem zastępczym w sporze o przyszły kształt narodu i jego kultury. Dzisiejszym antysemitom Żydzi są najzupełniej zbędni. Oni szukają klajstrującego spoiwa dla niegdyśszej, anachronicznej wizji społeczeństwa.

Jej wcieleniem jest zaścianek. Myśly się w nim zasiedzieli, polubiliśmy go tak dalece, że dziś nijak wyciągnąć nas z niego nie można. Zbyt długo zmuszeni byliśmy umacniać siebie, przestawać we własnym kręgu, zbyt mało rozglądaliśmy się wokoło, przyciemnialiśmy do innych, oswajaliśmy z innością. Z czasu wielkiej próby wyszedł naród tyleż godzier podziwu, co i ubolewania. Scementowany i twardy,

że nikt go nie zgryzie. Ale też tak zapatrzony w swoją inność, wsobność, specyficzność, że ślepy i nieczuły na odmienność potrzeb i przyzwyczajęń sąsiadów. Każdy z nas jest najprzód Polakiem, dopiero potem - obywatelem. Łatwiej wśród nas o bohaterstwo, niż o odrobinę cywilnej odwagi.

Nam, Polakom, zawsze najtrudniej przychodzi wytłumaczyć sobie, że można inaczej, i wcale nie oznacza to gorzej, oznacza po prostu - inaczej. Długo i z oporami godzimy się na oczywistość, że nie wszyscy chodźć muszą w butach tego samego rozmiaru i fasonu. Historia uczuliła nas na wszelkie odmiany inności. Zazwyczaj ustawiamy się wobec nich zaczepnie, nikomu i niczemu nie dowierzamy. Zawsze ciśnięci i nijaczeni, zastygliśmy w postawie walecznej. Sentymentalni i wylewni bywamy tylko na odległość /najchętniej spora/, na wyciągnięcie ręki - zawsze jesteśmy czujni i nieufni. Miłość do tego, co nasze, własne oślepiła nas. Pół biedy, gdybyśmy jeszcze potrafili się tym dzielić. Ale nie. Sądźmy, że skoro coś jest nasze, naszym pozostać musi; każdy przybysz, a więc obcy, gotów to popsuć lub - co gorsza - pokalać. Na osłode pozostawiliśmy sobie nawyk nadużywania słów wielkich i szlachetnych. Chętnie więc powołujemy się na swoją tolerancyjność, choć najczęściej równoznaczna jest ona z brakiem zainteresowania; mówimy o naszej otwartości, lecz to dotyczy głównie mody, co do której wiadomo, że trwa chwilę zaledwie, więc i "szkód" wielkich spowodować w nas nie jest w stanie.

"Naiwny, szalony, ślepy, bolesny dla wszystkich, dla wszystkich - to wciąż wielki kraj, który wszedł nam w krew".

Piotr Gazda

Adolf Rudnicki, "Teatr zawsze grany", "Czytelnik" 1987.

ANTONI KORWIN

Żmut kultury, żmut pamięci...

Na początek wyjaśnijmy - za Jarosławem Markiem Rymkiewiczem - co to takiego jest żmut: "Żmut to bezładnie poplątane włosy, sznurki, tasienki". Synonimem tego wyrazu nie jest bynajmniej splot, który może być porządnie i starannie wykonany, "żmut zaś musi być koniecznie bezładnie zbity" - wedle określenia dziewiętnastowiecznego leksykografa. Ostatnia książka Rymkiewicza przedstawia się więc nam jako pewien chaos, ale chaos podwójnie twórczy - historia bowiem jest chaosem, a także każdy rodzaj porządku poprzedzony być musi chaosem. "To, nad czym pracowałem przez kilka lat - pisze Rymkiewicz - jest właśnie takim żmutem. Tego żmutu nie udało mi się rozplątać - gdybym to zrobił, nie byłby już żmutem - więc książka, która z tego wynika, także jest czymś w rodzaju żmutu". To jest opinia odautorska. Ale my - czytelnicy - możemy jej uwierzyć, bądź nie. Wszak autor jest nie tylko badaczem przeszłości, ale także poetą i - między tymi dwoma sposobami artykułowania się - z pewnością zachodzą rozliczne interferencje. A zatem przyjrzyjmy się "Żmutowi" nie tylko jako książce o historii, ale i jako utworowi literackiemu.

"Żmut" jest książką o młodości Mickiewicza, młodości wpływającej w trójkącie Wilna, Kowna i Tuhanowicz oraz w trójkącie, którego wierzchołkami poza poetą były: Maryla Wereszczakówna i pani Kowalska. Ale jest to także książka o romantyzmie, a właściwie o pewnym wcieleniu mitycznym polskiego romantyzmu i - jako taka - stanowi ogniwo dłuższego ciągu rozważań. Jarosław Marek Rymkiewicz optuje bowiem za klasycyzmem, jako uniwersalnym wzorcem istnienia kultury, ale, będąc Polakiem, musi rozprawić się z "siłą fatalną" fomatyzmu. Rozprawa ta zainicjowana została wydaną w 1977 roku książką pt. "Aleksander Fredro jest w złym humorze".

W roku 1982 wydana została praca "Juliusz Słowacki pyta o godzinę", rok później ukazał się "Wielki książę z dodaniem rozważań o istocie i przymiotach ducha polskiego", wreszcie w roku 1987, jednocześnie w Instytucie Literackim w Paryżu i nakładem NOWej w kraju ukazał się "Żmut". Wszystkie te książki są próbą zmierzenia się Rymkiewicza z totalitarnym królestwem ducha romantycznego, co tak niemiłobojnie ugniatu Polaków.

Żeby dowiedzieć się, dlaczego tak ugniatu, przyjrzeć się należy jego początkom. Dlaczego romantyzm jest mroczny? Być może dlatego, że narodził się na północnej, mrocznej Litwie. Jak wyglądałby polski romantyzm, gdyby jego pierwszym wieszczem został reprezentujący słoneczne południe Galicji Aleksander Fredro? Inaczej. Tak się jednak nie stało. Mickiewicz walczył w leśnym lichterzynie szambelana Nartowskiego dokonując pewnego czynu symbolicznego: oto duch północy walczył ciężkim narzędziem przemocy ujarzmił ducha południa.

Romantycy wojowali z klasykami w imię wolności sztuki. Ale, rozbijając klasyczne kanony poetyki normatywnej, sami podlegali prawu konwencjonalizacji, stawali się niewolnikami nowego modelu. Jednym z elementów tego modelu jest zintegrowanie sztuki i życia. Zintegrowanie tak ściśle, że życie stylizowane było na literaturę, w literaturze zaś nastąpiła nieznaną wcześniej w takiej skali nobilitacja autentyzmu. Skąd - pyta się Rymkiewicz - wzięła się legenda Mickiewicza jako "dziewiczego kochanka"? Czy był to tylko wynik manipulacji opiniami i relacjami inspirowanych przez rody Puttkamerów i Wereszczaków, wykonanych zaś przez Odyńca i Domejkę? Jaką rolę odegrało tu zapotrzebowanie społeczne? Czy, żeby wiesz kochanku i pielgrzymem, trzeba koniecznie wcześniej odegrać rolę dziewczęcego kochanka? Czy - jeśli uda się dowiedzieć - że dziewczęcy kochanek był w istocie jednoczesnym kochankiem dwu mężatek, to świadczy o polskim romantyzmie legnie w gruzach? Wszystkie takie wpisane w tę książkę pytania, są pociąganiem kolejnych nitok żmuta - z nadzieją jego rozwiązania. I jeszcze jedno. Pytania te, jak również stosunek Rymkiewicza do historii - są pytaniami o c i a g ł o ś ć, o b i e k t y w n ą p r a w d ę - są więc pytaniami klasyka.

Postulat wypełnienia luk w historii jest charakterystyczny dla klasycyzmu. Bo, zmagając się z romantyczną formą, Rymkiewicz dąży do jej domknięcia, do rozpoznania sposobu jej istnienia. W "Żmutcie" - jak i w innych książkach Rymkiewicza poświęconych tej epoce - bardzo mało mówi się o literaturze. Gdyby uciec się do tradycyjnych podziałów, można by stwierdzić, że jest to esej biograficzny. Ale nie tylko biografia - choć dotyczące jej ustalenia zajmują wiele miejsca - jest przedmiotem tej książki. Głównym bohaterem pozostaje przeszłość, opieczęta wana tajemnicą, której rąbek uchylają dwa słowa - klucze: pamięć i kultura. Dążąc do obiektywizacji Rymkiewicz walczył z nieciągłością pamięci. Posługuje się intuicją, a nawet zmyśleniem, jeśli okazuje się ono płodne. Co to znaczy płodne? To znaczy wypełniające w sposób jak najwyżej prawdopodobny umiejscowione luki w historii, zlokalizowane nieciągłości. Rymkiewicz, będąc zatem prawdziwym badaczem, posługując się tysiącami fiszek i setkami źródeł, jest jednocześnie stroną dialogu. Uważa on bowiem, że kultura nie polega na milczącej kontemplacji pomników i powników, lecz na żywej, gwałtownej nawet dyskusji z wielkimi duchami przeszłości. Duchami przeszłości - na pewno nie tak wielkimi jak wieszczowie, ale też znaczącymi - są dla niego historycy literatury, badacze, którzy społeczną recepcję romantyzmu wtłoczyli w pewną ciasną koleinę. Zdaniem Rymkiewicza trzeba skończyć z uzurpacją historii literatury jako nauki ściślejszej. Historia ta przybliżyć się może bowiem tylko do pewnych prawd, ale gdy zrezygnuje z dialogu z przeszłością, straci wszelką moc kreacyjną. Dlatego Rymkiewicz tropi narosłe w tzw. stanie badań nadużycia. Książkę o Fredrze określono mianem "naukowego romansu detektywistycznego", książka o Słowackim to "naukowy poemat dygresyjny".

Jak w tym świetle określić można książkę o Mickiewiczu? Nie uda się chyba wykroczyć poza autorskie określenie "żmutu". Bo bohaterem tej książki jest nie tylko Mickiewicz, nie tylko rozpleniający się romantyczny i postromantyczny stereotyp, ale przede wszystkim historia, a właściwie dramatyczne zmaganie się z jej nieciągłością. Ile lip rosło w altanie Maryli? To pytanie powraca jak refren, bo lip tych już nie ma, a każda dawniejsza relacja podaje inną ich liczbę. Czy Mickiewicz miał naturalne dziecko z Marylą? Jaki był rozkład budynków w Tuhanowiczach? Ludzie, którzy wiedzieli o tym dawniej nie pozostawili wiarygodnych i ścisłych przekazów. Postrzegali historię tak, jakby materialne świadectwa

uważali za niezniszczalne. Tymczasem lipy wycięto, a dworskie zabudowania do fundamentów zniszczył ostrzał artyleryjski I wojny światowej... Rymkiewicz sprawdzonymi metodami naukowymi oraz metodami własnych domniemań i hipotez dąży więc do przywrócenia historii jej ciągłości, wydobywa z niepamięci postacie, które może z danej perspektywy nie są ważne - ale w perspektywie refleksji o destrukcyjnym działaniu czasu historycznego - warte odnotowania. Metody takie narażają Jarosława Marka Rymkiewicza na powtarzany często przez krytykę zarzut przegadania. Czwartą książka w tym samym stylu. Ale zarzut ten natychmiast trzeba uchylić, gdy w rzecz wniknie się głębiej. Życie jest wielokształtne, a jeśli jest to życie wielkiego romantyka, to nie sposób sensownie przeprowadzić selekcję wszystkich kontekstów i uwikłań, w jakich życie to przebiegało.

Poza heroiczną wręcz walką z nieciągiłością pamięci i historii, "Żmut" jest także nobilitacją świadomości. Rymkiewicz zauważa, że - pomimo wszystkich nieścisłości i mankamentów - świadomość ludzka jest tworzywem trwalszym od pamiątek materialnych. Dolina Mickiewicza w Kownie zniknęła zniwelowana pod miejską zabudowę jeszcze w XIX wieku - a pamięć jej istnienia trwa. Ale świadomość umiera, gdy zamienia się w spetryfikowany mit. Trzeba, by poza świadomością faktów dynamizowała się świadomość mechanicznych faktów. Trzeba zdawać sobie sprawę, jak silnie na romantyczne mitotwórstwo oddziaływała swoista, polska pruderia. Jak bardzo - mimo wielu śmieszności i przerysowań - atmosferę polonistyczną oczyścił Boy swoją kampanią brązoburczą. Ale trzeba też wiedzieć, iż, tworząc kulturę narodową, Polacy wpisywali się w pewien szerszy nurt europejski. Że miłość Gustawa i Dziewicy jest jakimś wariantem miłości Tristana i Izoldy, zaś miłość kobieciarza i mężatki takich szlachetnych asocjacji nie wywołuje.

Jaką rangę naukową mają odkrycia Jarosława Marka Rymkiewicza? Wśród badaczy epoki zdania są tu podzielone. Przeważa sceptycyzm. I wartość tej książki nie polega - jak się wydaje - na bezwzględnym ustaleniu obiektywnej prawdy, co raczej na zaproponowaniu innych wykładni ustalonych już opinii. Rymkiewicz, śledząc sposób, w jaki wielokrotnie powtarzana hipoteza staje się w obiegu naukowym pewnikiem, uświadamia relatywizm bardzo wielu ocen, a tym samym ożywia to, co zdało się już być zupełnie umarłym: epokę romantyzmu. Więc, choć stosunek do jego prac może być probierzem naszego konserwatyzmu - to jedno trzeba docenić: praca Rymkiewicza jest pracą kreatywną, jest pracą przywracającą życie najważniejszym ogniom narodowej kultury.

Antoni Korwin

Jarosław Marek Rymkiewicz, "Żmut", NOW-a 1987.

BOGDAN USOWICZ

Wychodzenie na światło

"Habent sua fata libelli" /książki mają swoje dzieje/. Dotyczy to także krótkich słowników filozofii. Przedrukowany w Polsce w latach pięćdziesiątych sowiecki "Krótki słownik filozofii" stał się na kilka lat, obok "Krótkiego kursu historii WKP/b/", podstawowym podręcznikiem na różnego rodzaju przyspieszonych szkoleniach filozoficznych. Jeżeli chodzi o budowanie filozoficznej fikcji było to dzieło wybitne. O wszystkim, co nie było marksizmem, czytelnik mógł się dowiedzieć, iż stanowi burżuazyjny wymysł pozostający w ścisłym związku z agenturalną działalnością CIA, Watykanu i czegoś tam jeszcze. Pomimo tego, że "krótki słownik..." wspiął się na szczyty "naukowości" został bardzo szybko

zapomniany. Wyjęty z piwnic na początku lat 80-tych stał się pozycją poszukiwaną przez intelektualnych sado-masochistów w celach mających jednak bardziej związek z istotą kabaretu niż filozofii.

Wywołanie upiora ze stalinowskiego podręcznika powinno podkreślić "lecnicze" właściwości najnowszej książki I.M. Bocheńskiego - "Stu zabobonów. Krótkiego filozoficznego słownika zabobonów". Ponieważ autorami wielu przesądów są właśnie filozofowie, oni powinni także je obalać.

Innocenty Maria Bocheński, który omawianą książką podjął wezwanie przywracania językowi jego pierwotnego sensu, urodził się w 1902 roku w Czeszowie koło Krakowa. Studiował prawo i ekonomię we Lwowie i Poznaniu. W Poznaniu zetknął się z tej miary uczonymi co profesorowie Cz. Znamierowski i F. Znaniecki. W 1927 roku Bocheński wstępuje do zakonu O.O. Dominikanów. Wysłany przez przełożonych do Szwajcarii uzyskuje stopień doktora na Uniwersytecie we Fryburgu. Powrót do Polski łączy się z podjęciem wykładów w Angelicum i habilitacją na Uniwersytecie Jagiellońskim. W czasie II wojny światowej pełni służbę wojskową. Jest m.in. kapelanem wojskowym w armii gen. Andersa. Po zakończeniu wojny o. Bocheński pozostaje na emigracji. Swoją dalszą los związał z Uniwersytetem we Fryburgu, gdzie otrzymał katedrę filozofii. W latach 1964-66 piastuje nawet godność rektora tej uczelni. Wielokrotnie po wojnie o. Bocheński bywał zapraszany z wykładami na liczne uniwersytety amerykańskie i zachodnioeuropejskie. W roku 1987 przebywał także w Polsce. Jest doktorem honoris causa Uniwersytetu Notre Dame /USA/, uczelni w Buenos Aires i Mediolanie.

Dorobek naukowy o. Bocheńskiego obejmuje prawie 90 tomów i chociaż najwięcej z nich jest poświęconych dziedzinie logiki formalnej, która przyniosła profesorowi największą sławę, to zakres jego zainteresowań jest znacznie szerszy. Rozciąga się on od problematyki moralnej do dzieł z zakresu socjologii i filozofii.

"Sto zabobonów" nie jest książką typowo filozoficzną. Mówił o tym zresztą sam autor, który udzielając w 1982 roku wywiadu dla miesięcznika "Znak" stwierdził: "Teraz skoro jesteśmy przy wyznaniach, muszę przyznać, że owa mądrościowa funkcja zaczyna mnie w starości pociągać. Obiecałem nawet paryskiemu wydawcy /"Kulturze" - przyp.mój/ książkę "mądrościową" - nie będzie to książka filozoficzna w moim rozumieniu filozofii, raczej zespół rad dawanych przez starego człowieka młodszemu". Taką też książkę otrzymaliśmy. Jej szybki przedruk w Polsce i pojawienie się w obiegu niezależnym kilku wydań /od 200 do 450 zł/ sygnowanych przez kilka oficyn pomógł przewyciężyć kilka mitów jakie wokół tej książki narosły. Przyczyniły się do tego także wypowiedzi samego autora podczas pobytu w kraju. Potraktowanie takich pojęć jak "dusza" czy też "nieśmiertelność" jako zabobonów spowodowało, iż niektórzy byli gotowi doszukiwać się w książce herezji. Tymczasem w trakcie jej lektury okazuje się, że autorowi chodzi przede wszystkim o "oczyszczenie" pojęć, uporządkowanie znaczeniowej "wieży Babel". Bocheński jest jak najdalej od negowania istnienia duszy czy też faktu nieśmiertelności. Ofiarą przedwczesnych rewelacji padł m.in. sam Kisiel, który odwoływał w Tygodniku Powszechnym swoje uwagi z wczesniejszego felietonu.

"Krótki filozoficzny słownik zabobonów" posiada jednak swoje bardzo wyraźne miejsce w twórczości o. Bocheńskiego. Ta niewielka książeczka wyrosła z funkcji filozofii, jaką przypisuje jej autor, względem światopoglądu. Skomplikowane relacje filozofii i światopoglądu ograniczają się według Bocheńskiego do dwóch funkcji podstawowych - pomocniczej roli filozofii w procesie budowania światopoglądu oraz jej roli destrukcyjnej, tj. rozbijaniu zabobonów stojących na drodze światopoglądu. Autor "Stu zabobonów" mówił na temat szerszej podczas sympozjum filozoficznego w 1984 roku w Schaan /Liechtenstein/, gdzie m.in. stwierdził, że "filozofia ma zadanie demoniczne: niszczenie głupstw i przesądów". Tak pojmowana funkcja filozofii legła u podłogi napisania "Stu zabobonów".

Omawiana książka zawiera wbrew swojemu tytułowi 105 haseł /od "Aktywizm" do "Zwierzęta"/ ułożonych w porządku alfabetycznym. Dobór haseł jest w przypadku tej książki czysto subiektywny - "pisałem po prostu o zabobonach, które mi na myśl przychodziły, a więc naturalnie przede wszystkim o tych, których sam kiedyś padłem ofiarą". Zabobon to "wierzenie, które jest oczywiście w wysokim stopniu fałszywe, a mimo to uważane za na pewno prawdziwe". Przyczyną powstania tego zjawiska należy szukać w pomieszaniu pojęć, nieprecyzyjności języka jakim się posługujemy, czy wreszcie w fałszywym rozumieniu znaczeń. Za pomocą analizy

logicznej języka Bocheński dokonuje "oczyszczania" pojęć, przywraca im znaczenie pierwotne, precyzuje, tropi źródła powstawania fałszu. Walka z zabobonami rozjaśnia horyzont terminów jakimi częstokroć przychodzi nam się posługiwać w opisywaniu rzeczywistości. Sam autor mówi w przedmowie do książki o "wychodzeniu na światło", o "intelektualnym zmartwychwstaniu". Profesorowi nie chodzi bowiem o zaprzeczenie sensowności samych pojęć, ale jedynie o zdjęcie z nich fałszywego balastu. Dotyczy to np. takich haseł jak: "demokracja", "autorytet", "państwo", "religia".

Wydaje się, że czytelnik "Stu zabobonów" potrafi z łatwością odszukać w dalszej i bliższej rzeczywistości egzemolifikację rozważań Bocheńskiego. Przykładem może tu być choćby niewłaściwe rozumienie autorytetu, z którego wyrósł kult Stalina, a w rezultacie m.in. skuteczne zniszczenie nauki. W tym miejscu pozwolę sobie na małą dygresję. Skutki wszelkiej literatury "mądrościowej" wydają się być mizerne. Pomysł Sokratesa, iż wystarczy przekonać człowieka o błędzie, by ten zaczął postępować prawidłowo - odłożono już dawno na półkę Historii. Podobnie nie należy sądzić, że intelektualna destrukcja któregokolwiek zabobonu zmniejszy siłą jego oddziaływania. Tego musi już dokonać samo życie, a że często tak się właśnie dzieje może poświadczyć przykład marksizmu.

Marksizmowi i wyrosłej zeń ideologii poświęca Bocheński w swojej książce stosunkowo najwięcej miejsca. Rozbijanie zabobonów wyrosłych z tego systemu dotyczy m.in. takich haseł, jak: dialektyka, ekonomizm, ideologia, demokracja, klasa, kolektywizm, komunizm, marksizm, materializm, socjalizm, proletariat, rewolucja, światopogląd, totalitaryzm. Ten pokaźny krąg krytyki jest jeszcze rozszerzony o następujące po każdym hasle odsyłacze.

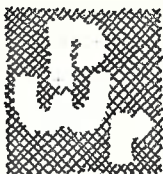
Bocheński uważa marksizm za największy zbiór przesądów jaki ludzie kiedykolwiek wymyślili. Zarazem jest to jeden z zabobonów najgorszych /gorszy od np. astrologii/, ponieważ próbowano go narzucać siłą. Pocięszającym faktem jest, iż obserwacja rzeczywistości informuje o zaniku atrakcyjności tego systemu. Pokutujące jeszcze skutki zamieszania jakie przyniosła z sobą ideologia marksistowska udaje się o. Bocheńskiemu skutecznie tropić.

"Sto zabobonów" to książka przeznaczona dla dość szerokiego kręgu czytelników. Autor - jak na logikę przystało - operuje językiem komunikatywnym i precyzyjnym. Jednak ten po trosze rudymentarny charakter książki sprawia, że nie można jej traktować jako wyczerpującego wykładu wszystkich współczesnych "zabobonów". Jest ona po prostu tabletką rozsądku podrzuconą współczesnym.

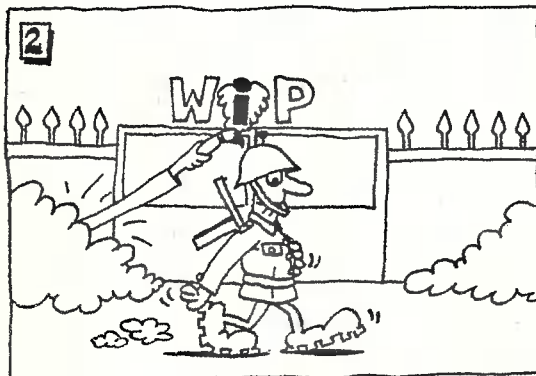
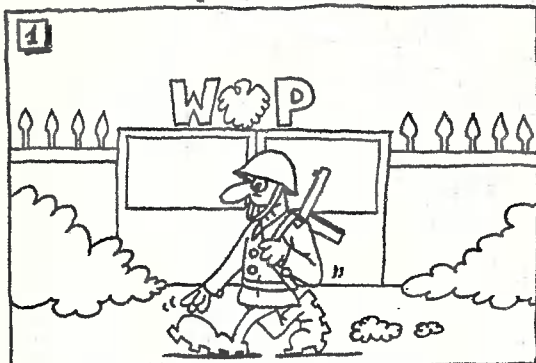
"Celem człowieka - jak pisał hiszpański filozof Miguel de Unamuno - jest uprawianie nauki, katalogowanie świata po to, aby zwrócić go Bogu w stanie uporządkowanym". Książka o. Bocheńskiego ten warunek przewyżczenia chaosu niewątpliwie spełnia. Być może posuwa się nawet zbyt daleko w rygorze mówienia wyłącznie o faktach /np. krytyka Dilthey'a, czy też omówienie hasła "historiozofia"/. Przesłanie tego niewielkiego rozmiarami dzieła można streścić jako chęć zainteresowania czytelnika ciągłą weryfikacją pojęć jakimi przywyki się posługiwać. Błędem byłoby jednak przypisywanie Bocheńskiemu chęci pełnej racjonalizacji świata. Byłby to przecież... kolejny zabobon.

Bogdan Usowicz

Innocenty Maria Bocheński, "Sto zabobonów. Krótki filozoficzny słownik zabobonów", Instytut Literacki Paryż 1987.



PRZEGLĄD WIADOMOŚCI RYSUNKOWYCH



OPINIE:

"(-) MIROSLAW ANDRZEJEWSKI JEST STUDENTEM (-) MATEMATYKI W WYŻSZEJ SZKOLE ROLNICTWO-PEDAGOGICZNEJ W SIEDLCACH (-) CIESZY SIĘ DOBRĄ OPINIĄ W SWOIM ŚRODOWISKU. OD 1980 ROKU ZAŁMUJE SIĘ DZIAŁALNOŚCIĄ ANTYPAŃSTWOWĄ. W ZWIĄZKU Z CZYM W DNIU 15.12.1981 ZOSTAŁ INTERNOWANY I UMIESZCZONY W OŚRODKU ODSOBNINIENIA, SKĄD W DNIU 7 SIERPNIA 1982 R ZBIEGŁ. POSTANOWIENIE KARNE W NINIEJSZEJ SPRAWIE ZAKOŃCZYŁO SIĘ WARUNKOWYM ŁAMORZENIEM."

WICEPROKURATOR
REJONOWY
MGR ANNA
KRUKOWSKA-
-AUGUSTYNAK



"PRZESZUKANIE BYŁO KONIECZNE Z UWAGI NA ZATRZYMANIE MIROSLAWA ANDRZEJEWSKIEGO NA GORĄCYM UCZYŃKU ROZRZUCANIA ULOTEK."

A. KRUKOWSKA-AUGUSTYNAK.

OPINIE:

„OB. AGNIESZKA
ANDRZEJEWSKA
UL. ŚWIERCZEWSKIEGO 65/5
SIEDLCE

ODPOWIADAJĄC NA PROŚBĘ OBYWATELKI INFORMUJE, ŻE NIE WYRAZAM ZGODY NA DODATKOWE WIDZENIE W M-CU CZERWCU. DECYZJA PODYKTOWANA JEST PRZEDĘ WSZYSTKIM FAKTEM PERMANENTNEGO NIEPRZETRZEGANIA POSTANOWIEN REGULARNEMU WYKONANIA KARY POZBAWIENIA WOLNOŚCI PRZEZ MIROŚLAWA ANDRZEJEWSKIEGO. W TEJ SYTUACJI BYŁOBY NIEPEDAGOGICZNIE UDZIELAĆ SKAZANEMU NAGRODY, A ZGODNIE Z ZARZĄDZENIEM NR 11 MINISTRA SPRAWIEDLIWOŚCI (...) ZEZWOLENIA NA CZĘSTSZE WIDZENIE JEST NAGRODĄ ZA WZOROWĄ POSTAWĘ.

NACZELNIK
ZAKŁADU KARNEGO
W BRANIEWIE "



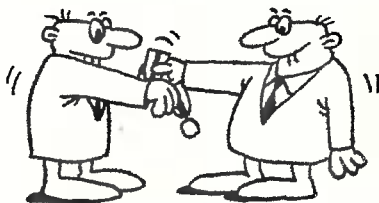
KONSTYTUCJA



ART. 1. W PRL WŁADZA NALEŻY DO LUDU PRACUJĄCEGO MIAST I WSI.



ART. 30. RADA PAŃSTWA NADAJE ORDERY, ODZNACZENIA I TYTUŁY HONOROWE.



ART. 69. OBYWATELE PRL MAJĄ PRAWO DO WYPOCZYNKU.



PRZEGLĄD WIADOMOŚCI RYSUNKOWYCH

ART. 71. OBYWATELE PRL MAJĄ PRAWO DO KORZYSTANIA Z WARTOŚCI ŚRODOWISKA NATURALNEGO ORAZ OBOWIĄZEK JEGO OCHRONY.



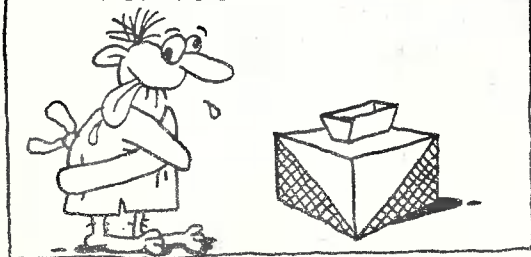
ART. 75. PRL TROSZCZY SIĘ O ROZWÓJ LITERATURY I SZTUKI.



ART. 79. RODZINY O LICZNYM POTOMSTWIE PAŃSTWO OTACZA SZCZEGÓLĄ TROSKĄ.



ART. 99. PRAWA WYBORCZE NIE PRZYSŁUGUJĄ OSOBOM CHORYM UMYSŁOWO.



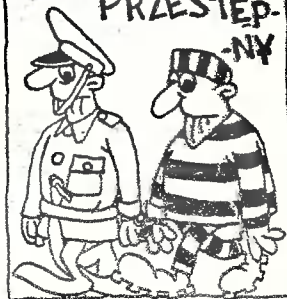
OPINIE

"(-)NEGATYWNE ZACHOWANIE SIĘ SKAZANEGO W ZAKŁADZIE KARNYM NASŁONE W OKRESIE OD 24 WRZEŚNIA B.R. ULEGŁO ZASADNICZEJ POPRAWIE PO PRZETRANS-PORTOWANIU DO INNEGO ZAKŁADU KARNEGO JEDNEGO Z WSPÓLEWIEŹNIÓW -FRASYNIUKA- POD KTÓREGO WPŁYWEM POZOSTAWAŁ M. ANDRZEJEWSKI. (...) SĄD UZNAŁ, ŻE DOTYCH- CZAS ODCIERPIANA PRZEZ SKAZANEGO KARA I USTANOWIONY DOZÓR KURATORA NA OKRES JEDNEGO ROKU (-) POZ- WOLI NA UTRWALENIE POZYTYWNYCH NAWY- KÓW W ZACHOWANIU SIĘ SKAZANEGO BEZ KONIECZNOŚCI WYKONA- NIA RESZTY KARY POZ- BAWIENIA WOLNOŚCI."

SĄD WOJEWÓDZKI
W PŁOCKU

WYDZIAŁ
PENITENCJARNY
NA POSIEDZENIU
W ZAKŁADZIE
KARNYM
W ŁĘCZYCY

1988 ROK PRZESTEP- NY



PRZEGLĄD WIADOMOŚCI RYSUNKOWYCH



KSIAŻKI NADEŚLANE:



LISTY DO REDAKCJI:



PROSIMY WYSYLAĆ NA ADRES PRZEDSTAWICIELA PISMA NA ZACHODZIE

wieża babel

GOMBROWICZ

Wydarzeniem literackim na Węgrzech stało się wydanie w grudniu ub.r. powieści "Ferdydurke" i "Transatlantyk". Ponadto czasopisma literackie drukowały fragmenty "Dziennika". Krytycy pieją z zachwytu. Również premiera filmu o autorze "Kosmosu" /ale już w Paryżu/ wzbudziła duże zainteresowanie. Autorem filmu jest argentyński reżyser Artur Fiszerman. Tymczasem w Polsce wydawaniem dzieł Gombrowicza ratuje się od bankructwa krakowskie Wydawnictwo Literackie. Poszczególne tomy wychodzą w identycznej kolejności jak w "Dziełach zebranych" /z plotek: wydźmie wszystko łącznie z "Dziennikiem"/ w olbrzymich nakładach i o kryminalnych cenach. Dla przykładu: "Bakakaj" /nakład: 200 tys., cena: 370 zł/, "Ferdydurke" /150 tys.; 420 zł/, "Pornografia" /150 tys.; 390 zł/. Gombrowicz zapewne przewraca się w grobie, że za dochody z jego dzieł finansowane będą enuncjacje Machejka i jemu podobnych "literatów".

GIEDROYC O OPOZYCJI

Jerzy Giedroyc: Cała jej działalność /opozycji/ jak i Kościoła, wydaje się być nastawiona na porozumienie z władzą, a nie kontakt ze społeczeństwem. Nie dostrzega tego ani prymas ani Wałęsa. Kościół ma zresztą swoje sprawy na celu.

Pyt.: A co, wg Pana, powinna robić opozycja?

Odp.: Trudno mi stąd doradzać. Ale widzę, że wszędzie się mówi o liberalizacji, a zapomina o niepodległości. Spuszcza się z oczu ten główny cel i wykonywują go niepoważni demagodzy.

/w wywiadzie dla PWA nr 2/129 z 13.I./

WIJŚCIE Z PODZIEMIA

Wydawnictwa podporządkowane władzom naszego bardzo praworządnego kraju drukują bądź rozpoczynają druk książek, za które jeszcze nie tak dawno niezależnych drukarzy, redaktorów i kolporterów te same władze wsadzały do więzień. I tak: dyrektor PIW-u Michał Kabata w wywiadzie dla "Konfrontacji" /nr 1/88/ zapowiedział druk "jeszcze w bieżącym roku" powieści "1984" Georga Orwella. Przy okazji informujemy dyrektora, że "Wojna domowa" Janiennicy nie była - jak twierdzi - dużo wcześniej /tzn. przed podziemiem/ drukowana w "Życiu Literackim" /1983/ ale wydała ją NOWA w 1979 roku, podobnie jak "Pożegnanie jesieni" Witkacego ukazało się "pierwszy raz po wojnie" w wydawnictwie niezależnym /NOWA, 1979/ a nie państwowym.

Inna "zakazana" dotąd powieść Orwella "Folwark zwierzęcy" ma ukazać się w wydawnictwie ALFA, a już teraz drukuje ją miesięcznik "Konfrontacje", niestety z przedmową wołającą o pomstę do nieba. Można się z niej dowiedzieć, że Orwell w swojej książce poddał "krytyce autorytarne tendencje, występujące w życiu politycznym wielu krajów, także Wielkiej Brytanii /sic!/" oraz, że o jej wydanie musiał walczyć z angielską cenzurą. Obie te informacje są oczywiście kłamliwe.

Orwell w "Folwarku zwierzęcym" poddał krytyce ZSRR, pisze zresztą o tym sam w przedmowie do ukraińskiego wydania książki /por. G.O. - Eseje, Puls Publications, Londyn 1985, s. 145-148/. Jeśli chodzi o kłopoty z wydaniem książki, to Orwell miał być rzeczywiście, lecz nie z cenzurą tylko z wydawcami, którzy jego pamflet uznali za "reakcyjny i nie postępowy". "Folwark..." odrzuciło 12 wydawców i dopiero po sukcesie w USA powieść ukazała się w Anglii.

Nagle cenzuralni stali się także dwaj inni twórcy słynnych antyutopii, wydawani dotychczas w podziemiu: Aldous Huxley i Jewgienij Zamiatin. Druk "My" Zamiatina zapowiada "Literatura" a "Nowy wspaniały świat" Huxleya drukuje już w odcinkach "Kultura" /w-wska/. Przy okazji nie obyło się rzecz jasna bez kłamstewek, które albo są celowe, a być może wynikają z ignorancji. Pan Andrzej Wójcik /"Kultura" /w-wska// oświadcza bowiem, że "Nowy wspaniały świat" wraca po 56 latach na polski rynek czytelniczy. Informuję więc, że wrócił już kilka lat temu kiedy został wydany przez Oficynę Liberałów w podziemiu.

Zaglądnąca mi przez ramię koleżanka replikuje, że pan Andrzej Wójcik ma częściowo rację, gdyż wspomniane książki bardzo trudno zdobyć. Czytaj kochana! Wszystko zależy od chęci. Nie wierzę, że jeśli na jakąś książkę zagnie się parol, to nie uda mu się jej dorwać. Trzeba tylko po prostu chcieć. A to, że niektórym się nie chce to już winą.

Mają się ukazać także książki Janusza Kosińskiego. Trudno mi sobie wyobrazić, co się będzie działo na Miodowej... Proza autora "Malowanego ptaka" jest do tego stopnia obsceniczna, że reakcje mogą być gwałtowne. W kościele na Zagórnej możliwe jest nawet publiczne ich palenie...

Ponadto "Literatura na Świecie" zapowiada druk wierszy z łagru Władysława Szarżanowa, Łukasza Budny /ps. Witolda Nawrockiego/ wychwała w "Kulturze" /w-wskiej/ Milana Kunderę... i tylko patrzeć jak zaczną go drukować. Zapewne w tym momencie kilka osób się ostrząśnie i powie, że to niemożliwe. Proszę więc cofnąć się myślami dwa lata wstecz...

/jf/

TIWIERDZA NIENAWISCI

Docierały do nas głosy o tym co dzieje się w warszawskim kościele na Zagórnej lecz to co przeczytaliśmy w artykule Tomasza Jerza pod tym samym tytułem co niniejsza notka ogłoszonym w listopadowym numerze paryskiej "Kultury" /1987/ przeszedło nasze najśmielsze wyobrażenia.

Oto bowiem spotykający się tam młodzieńcy noszą... brunatne koszule, pozdrawiają się w geście... starorzemiejskiego pozdrowienia, "które jednak w Polsce - pisze Tomasz Jerz - i na całym świecie przypomina znacznie bliższe mroczne czasy". Autor artykułu zanotował główne "myśli" z prelekcji Bogusława Rybickiego, który twierdził m.in. że Żydzi wywołali Powstanie Styczniowe, by w beznadziejnym starciu wyniszczyć naród polski. Forsę trzymał oczywiście Żyd, m.in. finansów Henryk Wohl, czyli jasne kto na tym zarobił. Podobnie jak w 1863 roku Żydzi stoją po obu stronach konfliktu i tak sterują sytuacją aby Polakom wyrwać jak najwięcej.

Wyrok na księdza Popiełuszkę wydał w 1984 roku oksfordzki konwentył najważniejszych Żydów za to, że odciął się od KOR-u. Wykonawcy też zresztą Żydzi, bo w UB zawsze służyli Żydzi i służyć tylko oni. Żydzi to także firmy polonijne, które kradną narodowi surowce, siłę roboczą i... dzieła sztuki. Prawdopodobnie Żydzi manipulowali także - twierdzi Rybiński - przebiegiem II Soboru Watykańskiego gdyż z "ducha Soboru" płynie demokratyzacja, a wiadomo do czego prowadzi demokratyzacja w Kościele.

Jerz pisze także o wydawnictwach, które można na Zagórnej kupić. Główną pozycją są oczywiście słynne sfalszowane przez carską Ochranę "Protokoły Mędrców Syjonu". Ponadto handluje się pismami. Oto jeden z cytatów, które Jerz przytacza, cytat - wyznanie wiary: "nie ma dziś na świecie prawnicy. Znikła Hiszpania generała Franco, znikła Portugalia Salazara. Z biedą trzyma się tylko Pinochet w Chile" /"Nowe Horyzonty" nr 8 z 8.II.87/.

Na Zagórnej nienawidzi się wszystkich i wszystkiego: KOR-u, "S", Kik-ów, Res Publici, RMP, PZPR, KPN, WiP-u, Oaz - wszystkich należy utopić w jednym

wiadrze. Ponadto porządek trzeba jeszcze zrobić z narkomanami i homoseksualistami.

"To wszystko głosi się w kościelnym budynku, miejscu będącym w zarządzie instytucji darzonej powszechnym szacunkiem i zaufaniem, pod patronatem kapłanów" - pisze Jerz.

Dla nas zadziwiające jest, że toleruje to Episkopat i Prymas. Zadziwiające tym bardziej, iż podobną osobą za tym wszystkim stojącą jest syn emigracyjnego fanatyka Jędrzeja Giertycha, Maciej, który jest członkiem jaruzelskiej Rady Konsultacyjnej i... Prymasowskiej Rady Społecznej. Czy Kościół znany nam z nauczania Jana Pawła II nie może poradzić sobie z tą kompromitującą Polskę i Kościół twierdzą nienawiści? "Niestety - pisze Tomasz Jerz - jest jeszcze ta czarniejsza - bo nasza - strona medalu. Gdyby podobne jak na Zagórnej publikacje sprzedawano pod szyldem żydożerczego skrzydła PZPR-u, awantura w prasie podziemnej i - chciałbym wierzyć wśród społeczeństwa, byłaby niepomniernie większa niż teraz".

WYSTĄPIENIE PENDERECKIEGO

Poważnego zamieszania w azeregach nieprzyjaciela narobił Krzysztof Penderecki, wybitny kompozytor, który dotąd raczej uważany był o ile nie za neutralnego to na pewno za nieszkodliwego dla władz. W przemówieniu wygłoszonym po otrzymaniu tytułu doktora honoris causa Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu /26.X.87/ stwierdził m.in.: "Te dwie idee [Nietzschego i Marksa], u korzeni swych antychrześcijańskie, w złożonym procesie historycznym wydały owoc w postaci dwóch najbardziej złowrogich tyranii, jakich od lat nie oglądał świat". Stwierdził, że istotny wpływ wywarło na niego trzech Polaków: Jan Paweł II, Czesław Miłosz /książka "Zniewolony Umysł" "otworzyła mi [...] oczy na wiele spraw"/ oraz Leszka Kołakowskiego. Oświadczył także, iż "postawa i geniusz" Ignacego Paderewskiego i Józefa Piłsudskiego są mu szczególnie bliskie.

Ponadto Krzysztof Penderecki dał wyraz swojemu głębokiemu przywiązaniu do religii chrześcijańskiej.

Wśród zgromadzonych przedstawicieli władz zapanowała głęboka konsternacja.

"KONFRONTACJE"

W styczniu br. ukazał się pierwszy numer nowego pisma pronowskiego "Konfrontacje". Jego redaktorzy reklamowali się, że mają pozwolenie pójścia "pół kroku do przodu". Sensacji nie było, choć zespołowi wyraźnie na niej chyba zależy. Na okładce pierwszego numeru widnieje olbrzymiej wielkości /niemal jak winetka/ "zajawka" - "Byłem internowany". Ten mało ciekawy tekst autorstwa Krzysztofa Buczmy ma za zadanie przyciągnąć czytelnika - do czego? Wewnątrz numeru wywiad z W. Siłą-Nowickim, tekst R. Bugaja, wspomnienia Kuleja, "Folwark zwierzęcy" G. Orwella, do którego wstęp /piszemy o tym w innym miejscu/ pozwala na wyrobienie sobie jako takiego poglądu o uczciwości redakcji. Ogólnie pismo jest redagowane kiepsko. Szczególnie idiotyczne - zdecydowanie! - są otwierające numer varia. Oto kilka przykładów z dwóch pierwszych numerów: "Widziano. Byłego premiera, Józefa Piłsudskiego /.../ kierującego się w stronę Alei Ujazdowskich. Do Parku Łazienkowskiego czy do Belwederu?", "Niekarz, z tego co nam wiadomo, nie zamierza działać dla własnego dobra. Nadal działa dla dobra powszechnego", "Widziano. /.../ Zbigniewa Bujaka, pomagającego młodej matce wynieść z warszawskiego autobusu nr 122 wózek z dzieckiem. Kurtuazja czy walka polityczna o młode pokolenie?". Wystarczy. Cały numer redagowany jest w taki sposób, aby wytworzyć w czytelniku wrażenie "obiektywności", wrażenie, że łamy "Konfrontacji" otwarte są zarówno dla opozycji jak i dla władz. Stąd rubryka "Kariery" w numerze 1 prezentuje zdjęcia i krótkie życiorysy Czyrka i Stanisława Stompy, a w drugim Rakowskiego i Stefana Kisielewskiego /w życiorysie dość zgrabne sformułowanie: "krytyk muzyczny i ustrojowy"/, stąd w numerze drugim zaraz po wywiadzie z Bronisławem Gerekkiem następuje wywiad z Krasuskim /z-ca naczelnego "Nowych Dróg"/. Dość

hmm... durnym po prostu pomysłem jest przedrukowywanie tekstów w oryginale /po angielsku/, na co "Konfrontacje" poświęcają po jednej stronie w każdym numerze. Ma to odsunąć podejrzenia o manipulację translatorskie.

Ciekawą sprawą jest poparcie przez pismo propozycji Paktu Antykryzysowego między władzą a opozycją wysuniętego przez RKW "S" reg. Mazowsze /"Konfrontacje" nie piszą kto ów projekt zgłosił/. Więcej nawet, w wywiadzie dla "Trójki" w kwietniu br. członek redakcji oświadczył, że jeżeli pakt nie zostanie zawarty redakcja zaprzestanie wydawania pisma! bo nie dla samego li tylko miesięcznika podejmowała działalność! Gdyby z przykładu "Konfrontacji" chciały skorzystać inne gazety to wówczas nic nie będzie się ukazywało - proszę mi pokazać na świecie pismo, które kilkoma tekstami osiągnęło realizację jakiegoś poważnego problemu. "Konfrontacji" nie będzie nam żal...

ODPOWIEDZ NA "WEZWANIE"

Rzecz dotyczy odpowiedzi Stefana Bratkowskiego na ankietę "lewica - prawica", jaką od numeru marcowego z 1987 r. zaczęło publikować "Niezależne pismo literackie - Wezwanie". Poprzedzony głosami Moczulskiego, Lipskiego i Wiernego, Bratkowski napisał swoisty pamflet na nie-lewicową opozycję w Polsce. Jest to pamflet zarówno na konkretne osoby, jak i na wszelkie próby politycznej systematyzacji poglądów. Pisząc w tonie "trochę ad personam", p. Bratkowski daje upust swojej polemicznej pasji. Argumenty ad personam wyprzedzają rzeczowość, "upupianie" i "przyprawianie gęby" /jak najbardziej w rozumieniu Gombrowicza/ idą przed wszelkimi faktami. Ponosiło autora "Trzech teatrów", niechże poniesie i mnie.

Przyznawanie się do proweniencji prawicowej jest wg Bratkowskiego "formą kompensacji dla sfrustrowanych", którzy się jeszcze nigdzie "nie załapali" /s.19/. Frustracja to źródło wszelkiej prawicowej działalności. "W Piotrze Wierzbickim - pisze Bratkowski - domyślam się samych frustracji" /s.21/ i dalej - "to dobry materiał na prawicowca".

Drugim źródłem przyznawania się do prawicy jest - wg sięgającego do istoty rzeczy autora - niechęć do rzeczywistości PRL. Bratkowski pofule poklepuje po plecach - rozumem was chłopcy, ale żeby zaraz sięgać do np. Dmowskiego... Tego ostatniego p. Stefan wybitnie nie lubi, więc ci, którzy się nań powołują są nierozumni /co najmniej/. Bratkowski nie bierze tej całej zabawy na poważnie: "miazmaty, czady unoszące się z waszych młodzieńczych bujnych czupryn" powodują, że autor artykułu nazywa współczesną prawicę "dzieci mi systemu". Sam najprawdopodobniej byłby przy zastosowaniu takich sylogizmów jednym z "ojców założycieli".

Stefan Bratkowski szeroko w swoim artykule obdziela charakterystykami poszczególnych polityków zaliczanych do nurtu prawicowego. Oto niektóre próbki: "pionąca niezdrowo oczy Antosia Macierewicza", "dobroduszny M. Król", "publicystyka Jacka Bartyzela, któremu sam "socjalizm" kojarzył się z Azją", Wierzbicki, "który przeczytał pół książki F. Zweiga i został liberałem gospodarczym" /sam Bratkowski robi zaraz potem wyznanie, iż on tę książkę czytał 10 lat wcześniej - czyżby więc i u niego frustracja była motywem napisania tego opartego na resentmentach artykułu?/.

Zresztą, wg Bratkowskiego, nie byłoby w ogóle żadnej prawicy, gdyby Macierewicz osiągnął rozgłos Kuronia, zaś Korwin-Mikke zrobił karierę jako społeczny cybernetyk. Nie udało się, więc obydwa leżą teraz kompleksy. Utrzymane w tonie żartu wyszydzanie narodowych inklinacji Macierewicza i Wierzbickiego /pierwszemu wypomina brzmiać z ruska nazwisko, drugiemu dziadka finansistę, którego uważano za Rosjanina/ mało żart przypomina. Jakże łatwo oskarżając kogoś o używanie pałki, samemu się z tym narzędziem obudzić.

Ochłonawszy nieco wyczytałem dalej w artykule Bratkowskiego następujący tok rozumowania: lewica /ta "prawdziwa"/ to współcześnie centrum - Polacy zawsze byli centrowi /zdarzały się ekstremizmy, których ilustracją jest wg autora zestawienie działalności PPP i NSZ/ - w PRL nie ma posiadaczy, więc i nie ma podziałów politycznych. Dalej Bratkowski przystępuje do "obrony" Solidarności, w "spectrum której" mieści się całe to centrum /mające swoje rozmaite odcienie/. Centrum rozumiem co najwyżej jako demokratyczną platformę ścierania się poglądów

/zamiast np. honorowych pojedynków - niezależna prasa, w przyszłości wybory itd./. Używa się także ostatnio słowa "centrum" na określenie politycznego ośrodka decyzyjnego, ale o to chyba tutaj nie chodzi. Uważanie zaś Solidarności za jedyną płaszczyznę gry sił politycznych trąci kilkuletnim opóźnieniem. Działo się tak w roku 1980, kiedy to "S" skupiła pod sztandarem rewindykacji narodowych i społecznych wszystkie /prawie/ orientacje ideowe. Do takiej "S" - "nie ma już powrotu". Upolitycznienie działaczy, znaczne postępy politycznej edukacji i emancypacji znacznie Związek zmieniły. Kiedy Bratkowski, jak prawdziwy arbiter elegantiarum, stwierdza, że "kolega Hall napluł już był na Solidarnościowe podziemie", to nie broni bynajmniej "S", ale jedynie własnych mistów /w negatywnym tego słowa sensie/. Nie umiem sobie odpowiedzieć na pytanie o źródła tej niechęci autora do akceptacji dorobku myśli politycznej ostatniej dekady. Czyżby czerpał on więcej satysfakcji z gry w czerwonym totalizatorze na partyjne konie?

Nie przekonuje mnie też argument, że liberalizm jest bez sensu w kraju, gdzie 70% ludzi ma kłopoty z dociągnięciem do pierwszego. Przyczyną tych kłopotów są bowiem 40-letnie rządy lewicy /tak przynajmniej oni sami się określają/. Zaś w przyszłości taki sam skutek mogą osiągnąć idee pozostające w "centrowym" spectrum Bratkowskiego. Między innymi dlatego /bez specjalnej frustracji/ - już dzisiaj - jestem za podziałami politycznymi /z uznaniem pierwszeństwa postulatów odzyskania pełnej niepodległości, jaki zgłasza w tym samym numerze L Moczulski/.

BOGDAN USOWICZ

SWIADKOWIE

W styczniu w warszawskim Klubie Inteligencji Katolickiej odbyła się projekcja filmu wyprodukowanego przez VideoNową pt. "Świadkowie". Film reżyserował Marcel Łoziński a autorem zdjęć jest Jacek Petrycki /m.in. autorzy znakomych "Ćwiczeń warsztatowych", za które otrzymali nagrodę kulturalną "S"/. Film został nakręcony na zamówienie III programu francuskiej telewizji i jak należy przypuszczać będzie wyświetlany w wielu krajach Europy.

Film opowiada o pogromie kieleckim 4 lipca 1946 roku. Autorzy nakręcili 12 godzin materiału, z których stworzyli 25 minutowy film będący relacją naocznych świadków wydarzeń.

Film jest dla Polaków bardzo nieprzyjemnym dokumentem. Z niesmakiem i zażenowaniem słuchołem enuncjacji moich rodaków na temat podłej natury Żydów, ich roli w UB, ich spokojnych wypowiedzi o tym jak małemu dziecku roztrzaskano główkę o mur, o zamordowanej staruszce na oczach tłumu... Rzeczy, w które wielu młodych Polaków nie wierzyło, czasami traktując je jako antypolskie oszczerstwa, zostały im opowiedziane przez współrodaków, którzy jednak nie sprawiali wrażenia zbyt to przejętych.

Spotkać można głosy, że film umocni w świecie obraz "Polaka - antysemitę z nożem w zębach". Jestem odmiennego zdania. Uczciwe przedstawienie swoich win i błędów spowoduje raczej zbliżenie stanowisk i uznanie dla Polaków że to, że mają odwagę mówienia /także/ o ciemniejszych kartach swojej historii.

Nagrody kulturalne "Solidarności" za rok 1987

Komitet Kultury Niezależnej przyznał Nagrody Kulturalne "Solidarności" za rok 1987. Otrzymali je:

1. Jerzy Beres /Kraków/ - za twórczość rzeźbiarską.
2. Maciej Bieniasz /Katowice/ - za twórczość malarską i rysunkową.
3. Jacek Bocheński /Warszawa/ - za książkę "Stan po zapaści", wyd. "NOW-a".
4. Waldemar Frydrych, "Major" /Wrocław/, twórca ruchu "Pomarańczowa Alternatywa" - za aranżację happeningów.
5. Henryk Mikołaj Górecki /Katowice/ - za utwór na chór a capella "Miserere".
6. Marek Grzesiński /Warszawa/ - za inscenizację operowe w warszawskim Teatrze Wielkim: "Mistrz i Małgorzata" Rainera Kunada wg Michała Bułhakowa oraz "Brany raju" Joanny Bruzdowicz wg Jerzego Andrzejewskiego.
7. Julia Hartwig /Warszawa/ - za tom poezji "Obcowanie", wyd. "Czytelnik".

8. Alina Kowalczykowa /Warszawa/ - za książkę "Warszawa romantyczna", wyd. PIW.
9. Waldemar Krzystek /Wrocław/ - za debiut filmowy "W zawieszaniu".
10. Zygmunt Kubiak /Warszawa/ - za przekład i opracowanie "Eneidy" Wergiliusza, wyd. PIW.
11. Łukasz Socha /pseudonim/ - za książkę "Te pokolenia żałobami czarne... Skazani na śmierć i ich sędziowie 1944-56", Biblioteka Kwartalnika Politycznego "Krytyka", wyd. "NOW-a".
12. Jan Józef Szczepański /Kraków/ - za książkę "Kadencja", wyd. "Oficyna Literacka".
13. Wiesława Szymborska /Kraków/ - za tom poezji "Ludzie na moście", wyd. "Czytelnik".
14. Jacek Krzysztof Zieliński /Warszawa/ - za twórczość graficzną.

UJAWNIE NIE SIĘ KRYTYKI

Począwszy od numeru 26 najlepszy polski podziemny "tłustyj żurnał" Kwartalnik Polityczny "Krytyka" publikuje nazwiska członków zespołu redakcyjnego.

"Krytyka" ukazuje się od 1978 roku. Przed Grudniem 1981 roku w skład zespołu redakcyjnego wchodził m.in. Václav Havel /Czechosłowacja/ i Miklós Haraszti /Węgry/. "Krytyka" jako jedyne pismo podziemne ma swoją ciągłą edycję na Zachodzie, gdzie drukowana jest nakładem "Aneksu". Istnieje także Biblioteka "Krytyki" /drukowana przez wyd. NOWA i KRĄG/, w której dotychczas ukazało się 15 pozycji m.in. monumentalne dzieło K.E. Poppera "Społeczeństwo otwarte i jego wrogowie", "Nomenklatura" M. Wolskiego, "Narodziny systemu władzy. Polska 1943-48" K. Kersten, "Solidarność" J. Holzera, "Eseje" V. Havela czy eseistyka Adama Michnika.

Redaktorem naczelnym "Krytyki" jest historyk Jan Kofman a zespół tworzą m.in. Adam Michnik, Mirosława Grabowska, Robert Mroczewicz, Marek Beylin.

Gwoli sprawiedliwości dodać należy, że redakcja raczej ujawniła się przed czytelnikami niż przed policją, bowiem część zespołu w roku 1986 została zdekonspirowana i uwięziona.

/mm/

FILM O WAŁĘSIE

Stanley Kramer, autor takich filmów jak "Dziki", "Kto sieje wiatr", "Zgadnij kto przyjdzie na obiad" pracuje aktualnie nad filmem o życiu Lecha Wałęsy. Wybitny reżyser oświadczył, że film nie będzie filmem politycznym i nie jest skierowany "przeciwko nikomu ani nikomu". /Sądźmy, że Jaruzelski jest odmiennego zdania/. Film ma być świadectwem, że credo jednego człowieka może mieć wpływ na bieg wydarzeń. Drugim wątkiem ma być miłość Lecha i Danuty. Tymczasowy tytuł filmu - "Polonez". Kilka wytwórni filmowych wyraziło chęć produkcji filmu lecz zbiórka wśród Polonii przyniosła wystarczające środki i film tylko z nich będzie finansowany.

Dokumentalne filmy o wybitnych Polakach nadała w br. telewizja BBC, emitując film o Ryszardzie Kapuścińskim /film stał się m.in. okazją do kilku minut nienawiści w wykonaniu rzecznika prasowego rządu/ oraz o Tadeuszu Konwickim.

START RES PUBLIKI

W czerwcu 1987 roku ukazał się pierwszy numer "legalnej" "Res Publik", pierwszego pisma podziemnego w krajach komunistycznych, które uzyskało zgodę władz na oficjalne ukazywanie się. "Res publica" jest także jedynym prywatnym

pismem w Polsce.

Reakcje prasy podziemnej były raczej powściągliwe - wszyscy czekali co z tego wyniknie. Wyjątkiem był nieco demagogiczny atak Jana Walca w paryskiej "Kulturze", który odsądził zespół od czci i wairy. Mimo iż lektura 7 numerów nie pozostawia wątpliwości, że zgoda na wydawanie pisma warta była obiadu z Urbanem, fundamentaliści nadal prowadzą bojkot "Res publiki". Dowodem na to choćby tekst Jana Sabera w "Kulturze Niezależnej" /Nr 33/ "Za wcześniej". Ponadto ponoć Adam Michnik na różnych spotkaniach niemal ostantacyjnie podkreśla swój dystans wobec Marcina Króla.

Według naszej opinii decyzja przejścia zespołu do obiegu oficjalnego nie jest naganna. Jeżeli redakcja woli z ograniczeniami w większym nakładzie niż bez ograniczeń w mniejzym to jej sprawa. Dotąd, dokąd redakcja nie wystąpi przeciwko fundamentalnym - i jak sądzę wspólnie wyznawanym - wartościom nikt nie ma prawa zarzucać jej "kolaboracji", "zdrady" itd.

Jeśli chodzi o zawartość treściową pierwszych numerów to zdecydowanie najmocniejszą stroną "RP" jest publicystyka kulturalna i esejystyka. W publicystyce społeczno-politycznej /szczególnie teksty M. Króla i D. Kalbarczyka/ razi nieco mętorski ton, przemawianie z "jedynie słusznych" pozycji, tak jakby redaktorzy byli w posiadaniu prawdy objawionej.

Reasumując: warto było...

/k/

NIEZALEŻNE ZRZESZENIE STUDENTÓW

Odrodzenie się NZS-u można rozpatrywać raczej w kategoriach mistycznych niż racjonalnych. Przecież działacze tej zdelegalizowanej organizacji studenckiej w znakomitej większości ukończyli już studia, aktualni studenci podczas oficjalnej działalności NZS-u jeździli raczej na wrotkach niż interesowali się sprawami politycznymi... Niemniej NZS działa i w tej chwili obok "Pomarańczowej Alternatywy" jest w stanie zgromadzić na swoje akcje więcej ludzi niż nawet najwyższy wódz Wałęsa.

Krótką impresją z wizyty na Uniwersytecie Warszawskim.

Już po wejściu na dziedziniec Uniwersytetu rzucają się w oczy olbrzymie plakaty NZS wiszące na drzwiach wejściowych wydziałów. Zawiadamiają o walnych zebraniach członków - podają numer sali, w której się odbędą, dzień i godzinę. Wchodzę na jeden z wydziałów. Pierwszą rzeczą jaką rzuca się w oczy jest oczywiście ogromny plakat NZS: "Tutaj możesz wpisać się na listę wydziałową NZS" i strzałka w dół, gdzie za biurkiem siedzi dziewczyna i chłopak z wpiętymi w swetry znaczkami NZS i uczą się. Za chwilę przychodzi dwóch koleśków z plecakiem. Z zupełnym spokojem zajmują jeden ze stolików i rozkładają bibułę. Co można nabyć? Jest m.in. "Sto zabobonów" Bocheńskiego, krajowe przedruki paryskiej "Kultury", "Tygodnik Mazowsze", broszura "Na zaproszenie Lecha Wałęsy". Wśród obecnych nie widać najmniejszej oznaki, która wskazywałaby, że jest to jakieś nadzwyczajne zdarzenie. Ludzie przebiegają jak w księgarni, wybrzydźdają, badają stan techniczny publikacji, jedni kupują inni odchodzą.

Masa osób chodzi z wpiętymi znaczkami NZS-u. Idę na mały rekonesans po Uniwersytecie. Tablica ZSP: ktoś powrzucał za szybę obraźliwe kartki typu: "Kupię pół litra po starej cenie. Wiadomość: Rada Uczelniana ZSP", na tablicy PZPR jeszcze gorzej, widać ślady po zmytej farbie. Tam było napisane "PZPR na Madagaskar" - informuje mnie kolega. Tablica "Samorządu" /oczywiście "Samorząd" pisany gdańskim gotykiem/ w jednym z centralnych miejsc. Widnieją na niej zdjęcia z demonstracji w rocznicę Marca, komunikat z rozmów rektora z NZS, informacja: "wszyscy spałowani proszeni są o zgłaszanie się do koleżanki..." i inne obrzydliwstwa przyprowadzające awangardę klasy robotniczej o ból głowy.

Podsłuchuję rozmowę dwóch panienek ze znaczkami - a jakże! - NZS-u.

- Ty wiesz, że docent X podobno zerwał ulotkę w BUWie?!

- Poważnie... Ale bydlę...

W głosie panienki słychać wyraźne oburzenie zmieszane z niedowierzaniem.

Rzeczywiście, ulotek jest pełno. W tym "pełno" nie ma ani drobin przesady - wszystkie wydziały są dokładnie i starannie nimi oblepione. Przypadki zrywania są sporadyczne i ostro piętnowane. Wykładowca, który dopuścił się tego haniebnego wbytku jest w oczach tej młodzieży jako człowiek skończony...

Po zobaczeniu tych wszystkich rzeczy powiedzenie, że "Polska jest krajem totalitarnym" nie przechodzi przez gardło.

NZS wystąpił do Urzędu Miasta o rejestrację i mimo, że mu jej odmówiono, przedstawiciele tej organizacji oświadczyli, że nie zamierzają zmieniać dotychczasowych form działalności.

/j/f/

FIBAK WYDAWCĄ

Wojciech Fibak rozpoczął wydawanie nowego polskiego kwartalnika poświęconego polskiej sztuce poza Krajem pt. "Pro arte". Redaktorem jest Z. Michael Legutko. Pismo o ograniczonym nakładzie 400 egzemplarzy ukazuje się po polsku i angielsku i liczy 48 stron. Pierwszy numer, który ukazał się latem 1987 zawiera artykuły o malarzach E. Żaku i Z. Menkesie i rzeźbiarzu L. Kozakiewicz. Cena pojedynczego numeru 40 dolarów, prenumerata roczna tylko 130. Zainteresowanym podajemy adres, na który można kierować zamówienia: PRO ARTE. 147, Milton Street, Brooklyn, New York 11222, USA.

NAWRÓCENIE

W depeszy z Moskwy KATHPRESS pisze, iż Georgij Malenkow był pierwszym premierem ZSRR, którego pochowano według obrządku prawosławnego. Zmarły w wieku 86 lat dawny bliski współpracownik Stalina powrócił na początku lat siedemdziesiątych do Kościoła prawosławnego, kościoła swego dzieciństwa i młodości. W kołach kościelnych Moskwy wiadomo było, że Malenkow stale modlił się w swym kościele parafialnym jako "pokorny pokutnik". Jego nawrócenie było tak przekonujące, że gmina wybrała go starszym cerkwi. Nawrócenie Malenkowa - kontynuuje KATHPRESS - wzbudziło tym większą sensację, że zaliczał się on do głównych współodpowiedzialnych za inscenizowanie procesów pokazowych w okresie stalinowskim. Jego nawrócenie przyczyniło się do tego, że dla społeczeństwa radzieckiego do końca życia pozostał osobą "prywatną".

Cieszymy się z nawrócenia "zbląkanej owieczki", ale - dlaczego tak późno?

PERŁY LIRYKI

W łomżyńskim tygodniku "Kontakty" w listopadzie ub.r. ukazały się wiersze Kazimierza Wołkuskiego. Fragmenty dwóch z nich przytaczamy za "Dezertorem" /nr 7/53/:

"Mądra głowa Gorbaczowa"

Czyja mądrzejsza głowa na świecie
Która narodom pokój zachowa
Mądrzejszej głowy już chyba nie ma
Jak głowa Gorbaczowa

"Ostatnia droga"

Piekło z kociołkiem nagrzaną smołą
Czeka na pana Reagana

Stanie przed wodzem piekła całego
Wódz wodza spowiadać będzie
Reagan już kłamać nie może
Że pokój zakłócał wszędzie...

wiadomości powiatowe

POD PODŁOGĄ

Ukazuje się regularnie "Gazeta Podlaska".

Oficyna im. Grzegorza Przemyska wydała dwa tomiki wierszy: Stanisława Jastrzębskiego - Pełnia dojrzewania oraz Edwarda Kopówki - Wędrówi neofity.

Wydawnictwo Metrum wydało: Zygmunt Krasieński - Memoriały polityczne, Marek Hłasko - Piękni dwudziestoletni, Jerzy Geresz - Zaczęło się od happeningu...

PPN - korzystając z najlepszych faszystowskich wzorów ostatnio małżonce jednego z działaczy "S" przesłała pismo "Sprawa" adresując kopertę jej panieńskim nazwiskiem, którego nie używa ale za to nie brzmi "rasowo czysto".

W KIK-u

Nieco uaktywnił się w bieżącym roku siedlecki Klub Inteligencji Katolickiej. W ostatnim okresie organizuje coraz więcej imprez otwartych. Szkoda jedynie, że informacja o imprezach jest tak słaba, i do ludzi z Kościołem nie związanych dociera zazwyczaj post factum. 12 lutego mec. Jan Mizikowski miał wykład pt. "1918 - My - Europa - Sąsiedzi" a w miesiąc później red. Zdzisław Szpakowski przedstawił historię Kościoła II Rzeczypospolitej. Odbyło się też kilka spotkań o tematyce religijnej: doc. Janina Słonimska wygłosiła prelekcję na temat "Katolicy świeccy wobec problemów współczesności" /18.III./ a p. Stolarski mówił o I Synodzie Diecezjalnym w diecezji siedleckiej /wkrótce ma odbyć się drugi Synod/. W dniach 21-22 kwietnia KIK zorganizował cykl spotkań "Sacrum w literaturze", podczas których wygłoszono prelekcje na temat religijności w twórczości Adama Mickiewicza oraz Cypriana Kamila Norwida. Ponadto aktorzy recytowali poezje obu wieszczów.

Do KIK-u w woj. siedleckim należy ok. 150 osób, z czego aż 50 liczy bardzo aktywny oddział w Łukowie, który w bieżącym roku po raz pierwszy zorganizował u siebie Tydzień Kultury Chrześcijańskiej.

/jst/

TADEUSZ KONWICKI W SIEDLCACH

Jednym z ważniejszych wydarzeń kulturalnych w naszym mieście w br. był wieczór autorski Tadeusza Konwickiego, pisarza i reżysera, który przybył do Siedlec na zaproszenie Towarzystwa Miłośników Podlasia. Spotkanie, które odbyło się 26 stycznia br. zgromadziło w sali Muzeum Okręgowego ok. 80 osób. Podczas dwugodzinnego spotkania autor odpowiadał na pytania dotyczące jego twórczości pisar-

skiej i filmowej oraz - to już takie polskie zбочzenie - polityki.

"Tygodnik Siedlecki" ustami Tomasza Skrzymskiego zaatakował Konwickiego - Towarzystwo /niepotrzebne skreślić/ w zasadzie nie wiadomo za co. W zatrwającą głupim tekście pan Skrzymski co chwilę sam sobie zaprzeczając dał pełny wyraz swoim kompleksom prowincjonalnym /Konwicki odmówił mu udzielenia wywiadu/ i zwykłej grupocie.

Autorowi "Rzeki podziemnej" bardzo podobało się... miasto Siedlce co zapewne niepomernie zdziwi wielu jego mieszkańców. Jako ciekawostkę podajemy fakt, że w związku ze spotkaniem do Siedlec miała przybyć ekipa telewizji BBC, która w tym czasie kręciła film o Tadeuszu Konwickim. Przyjazd nie doszedł do skutku z powodu, iż ekipa BBC nie otrzymała na czas wiz wjazdowych do Polski.

W TOWARZYSTWIE MIŁOŚNIKÓW PODLASIA

Od czasu zamknięcia poprzedniego numeru "wp" do chwili obecnej Towarzystwo Miłośników Podlasia wyrosło na jedną z najbardziej aktywnych instytucji kulturalnych w Siedlcach. 26 stycznia odbyło się spotkanie z Tadeuszem Konwickim, następnie wieczór autorski Aliny "Msrty" Fedorowicz /22 lutego/, 28 marca miał miejsce wykład Bogdana Dobosza nt. "Wybrane koncepcje zła w filozofii", 14 kwietnia natomiast odbył się wieczór autorski Eugeniusza Kasjanowicza. Jak można było przypuszczać aktywność i niezależność /"Kultura niezależna w granicach prawa" - jak mawia Przemysław Maksymiuk - wiceprezes TMP/ nie przypadnie do gustu miejscowemu aparatczykom. Niemal w ostatniej chwili Muzeum Okręgowe odmówiło wynajętej wcześniej sali na prelekcję dr Tadeusza Krawczaka i dr Janusza Odziemkowskiego pt. "Losy ludności polskiej na ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej po 17 września 1939 roku." Wykład został przeniesiony do Kaplicy Matki Boskiej Kodeńskiej i odbył się 26 kwietnia.

Towarzystwo uruchomiło także klub video, w którym wyświetlane są co tydzień filmy dla ludzi z trzycyfrową inteligencją. Dotychczas wyświetlono m.in. "Wybór Zofii" Allana Paculi, "1984" Roberta Redforda, "Piłat i inni" Andrzeja Wajdy oraz "Generał Anders i jego Armia" W. Zadrowskiego. Jak wynika z programu wkrótce mają być wyświetlone filmy m.in. "Cwiczenia warsztatowe" M. Łozińskiego i J. Petryckiego, "Jestem Żydem bo tak mi się podoba" W. Zadrowskiego, "Wielki bieg" J. Domaradzkiego oraz zestaw filmów autorskich A. Titkova. Chyba tylko w konwencji surrealizmu socjalistycznego można traktować fakt zabronienia rozpowszechniania przez cenzurę "Łowcy jeleni" /film ten wyświetlano w kinach studyjnych!/. Cenzura ponadto nie wyraziła zgody na wyświetlenie "Moskwy nad rzeką Hudson" P. Mazurskiego.

Towarzystwo zapowiada kolejne ciekawe imprezy: 5 maja ma odbyć się koncert Antoniny Krzysztoń, 22 maja rajd autokarowy szlakami ks. Stanisława Brzózki. W czerwcu przewidziano m.in. II część rajdu szlakami Unitów oraz prelekcję dr Romualda Turkowskiego "PSL na Podlasiu 1945-1948".

Działalność Towarzystwa spotkała się z żywym zainteresowaniem mieszkańców miasta o czym świadczą m.in. pełne sale na spotkaniach. Niektóre samorządy pracownicze zgłosiły również chęć dofinansowania TMP.

IV JAZZ STANDARDS FESTIWAL

W kwietniu odbył się w Siedlcach IV festiwal standartów jazzowych. Miłośnicy jazzu w Siedlcach po dwóch poprzednich raczej nieudanych festiwalach /szczególnie II/ z niepokojem oczekiwali na informację kto przyjedzie. Na szczęście w br. obsada była bardzo dobra i festiwal był chyba najbardziej interesujący ze wszystkich dotychczasowych. Na szczególne wyróżnienie zasługują moim zdaniem: duet Szprot-Szukalski, Studio 123 /lepsze w gospels niż negro spirituals/ oraz Novi Singers, których koncert mógł zachwycić najbardziej wytrwałych fanów. Minusy: 1/ popełniono błąd przenosząc koncerty z "Sali Białej". Sala Widowiskowa nie

tworzy odpowiedniego klimatu. 2/ Na jamach wyraźnie przesadzono z ceną piwa /1 butelka 0,5 l = 300 zł/. 3/ Znawcy ze zdziwieniem zastanawiali się co na festiwalu robi dobra skądinąd kapela Walk Away, która w ogóle standartów nie gra. Złośliwcy proponowali natomiast zaprosić na następny festiwal punkową grupę "Sedes".

Reprezentacja społeczeństwa na koncertach i jamach niemal pełna. Była opozycja i policja, byli czerwoni i biali - nie zauważono jedynie przedstawicieli Kościoła.

NOWE KINO

Na wiosnę w Siedlcach uruchomiono nowe kino "Centrum". Mieści się ono w wyremontowanym budynku przy ul. 1-go Maja /zwanym popularnie "emperbe" - od instytucji, która niegdyś się tam mieściła/. Remont trwał 5 lat. Wykończenie zewnętrzne fatalne - w środku nieco lepiej. Centrum Kultury i Sztuki, które patronuje przedsięwzięciu, zakupiło niedawno pokaźnej wielkości monitor wideo /tzw. Tele-Bim o wymiarach 1,5 x 2,0/ i na tym sprzęcie wyświetlane są filmy. Pozwala to na niemal błyskawiczne sprowadzanie szlagierów kina światowego do Siedlec, czego na razie organizatorzy - mimo szumnych zapowiedzi - nie wykorzystują. W kwietniu np. wyświetlano "Łuk erosa" i "Komediantów". Ponadto kierownictwo "Centrum" obiecuje wyświetlanie filmów należących do klasyki światowego kina jak np. "Obywatel Kane" Wellsa.

Młodszym czytelnikom przypominamy, że na ul. Sienkiewicza stoi i niszczeje od wielu lat kino "Odrodzenie", którego już chyba nie da się ocalić. Aktualnie znajdując się tam magazyny.

TO NAPRAWDĘ PARANOJA

Przed wakacjami 1986 ukazał się pierwszy numer bezdebitowego "nieregularnika" frontu artystycznego "Sabinka" "Paranoya". Recenzowaliśmy go przychylnie na łamach dwutygodnika "Metrum" /nr 60/. Było to coś nowego. totalny wygłup, oddech od patriotyczno-męczeńskiej retoryki, w którą sami także momentami popadaliśmy. Wertując 1 numer "Paranoi" można było się nawet rozeźnić - a to już dużo. Niestety, już wkrótce okazało się, że redaktorom /"redaguje kolegium ds. wykroczeń w składzie..."/ inwencji i pomysłów wystarczyło zaledwie na 16 stron - potem możliwości intelektualne "spółki z ograniczoną świadomością" zostały wyczerpane. Kolejne numery to po prostu czysta rozpacz. Oto np. genialny "wiersz" z n-ru 2: "Kula kulę w kulę kuli, ale kuli nie zakuli" albo "spomniczeli drukiem/ na łatwopalnych/ cokołach/ mutanty dziedziczne obciążone rozumem/ my/śli/my/my/śli/my/my/ itd." Podobne perełki można czerpać pełnymi garściami. Identycznie sprawa wygląda z opowiadaniem. Kompletna nieumiejętność stosowania środków artystycznych, prowadzenia narracji, nieudolność budowania akcji /tam gdzie autor na takie ambicje/ itd. Słowem, jeżeli ktoś chciałby zbliżyć się do empirycznego odpowiednika pojęcia "grafomania" bez obawy może sięgnąć po "Paranoyę". Najlepiej na tym nijakim tle prezentują się rysunki /ale wyłącznie satyryczne/.

Aby uniknąć wszelkich nieporozumień: nam "Paranoya" nie przeszkadza, życzymy jeszcze 100 równie debilnych numerów, ale szczerze radzimy redaktorom zastanowić się nad tym co robią, aby się nie ośmieszali. Gorszy i szokować też trzeba umieć. "Odjazdy" nie są jeszcze patentem na twórczość.

I jeszcze jedno: zostawcie, na Boga, w świętym spokoju tego biednego Witkiewicza - miał wystarczająco dużo problemów za życia, należy mu się więc spokojny odpoczynek w grobie.

OCIEMNIAŁA MŁODZIEŻ

Wracając w święta od rodziny, brudnym i zatłoczonym autobusem PKS, z nudów

sięgnąłem po leżącą na półce na bagażu broszurę "Cennik opłat komunikacji pasażerskiej /obowiązujący do dnia 01.X.1987/" /Wydawnictwo O/PKS Siedlce/ i zacząłem wertować... Na 2 stronie wspomnianego cennika znajduje się informacja komu przysługuje 50% zniżka przy korzystaniu z usług owej firmy. Po wycieszeniu milicjantów, klawiszy, urzędników itd. widnieje następująca kategoria "ulgowych":
"- niewidomi i ociemniaли /w tym młodzież szkolna/". Co o tym sądzić?
/k/

poczta metrum

Droga redakcjo,

w 4 numerze "Metrum" został opublikowany tekst p. B. Ułowicza pt. "Dlaczego Józef Mackiewicz". Z klimatu tekstu - mimo wszelkich mistyfikacji - wynika, że p. Ułowicz darzy Józefa Mackiewicza dużym autorytetem i stawia go niejako za wzór postępowania przeciwko komunistom. Ułowicz - celowo lub z ignorancji - usiłuje wykazać czytelnikowi, że dla autora z którego książek Ułowicz "czepie dużą część argumentów", przed wszystkim "wcześniejszy był sprzeciw moralny" a na dwudóód przytacza, że potępiał zbrodnię niemiecką w Ponarach, sowiecką w Katyniu czy angielską w Drawie /wydanie sowieciom internowanych Kozaków/. Ma to sugerować Czytelnikowi "niezależność" autora "Nie trzeba mówić głośno". Tymczasem fakty są następujące: Józef Mackiewicz został skazany na śmierć przez sąd specjalny Polski Podziemnej w Wilnie wspólnie z Czesławem Ancerewiczem /wyrok na nim wykonano w Wilnie w marcu 1943 roku/ za kolaborację z okupantem hitlerowskim, która polegała na publikowaniu w goebelowskim piśmie "Goniec Codzienny", polakożerczej i wysławiającej hitleryzm gadzinówce. Mackiewiczowi udało się wybiłagać w Komendzie Okręgu zawieszenie wykonania wyroku do końca wojny /mógiłby wówczas w myśl prawa odwołać się do sądu/. Na taką decyzję pik. Wilk-Krzyżanowski wpłynął fakt, że Mackiewicz sam wyniósł się z Wilna i zaprzestał tym samym pisanie w "Gońcu". Fakt pisanie do "Gońca" nie ulega najmniejszej wątpliwości. Reprodukcje i przedruki jego tekstów zamieszczone zostały w wydanej w 1971 roku przez Zarząd Główny Koła AK broszurze "Pod pręgiem". Znajdują się tam, także wystąpienia tak wielkich autorytetów jak Stefana Korbońskiego /szefa Kierownictwa Walki Cywilnej/ oraz Adama Galińskiego /ostatniego Delegata rządu londyńskiego na Okręg Wileński - a więc neocznego świadka wydarzeń/. Należy dodać, że Mackiewicz uchylał przed rozpatrzeniem stawianych mu zarzutów przez Obywatelską Komisję Orzekającą wyłonioną po wojnie przez Zjednoczenie Polskie w Wielkiej Brytanii. Nie skorzystał także z możliwości pozwania do sądu angielskiego osób, które publicznie oskarżały go o kolaborację. Należy dodać, że sądy angielskie wyjątkowo srogo karzą za zniesławienie.

Nie zaszkodzi także zauważyć, iż ten zaciekle antykomunista był zawsze wyjątkowo zgodny z władzami PRL zwalczając równocześnie te same osoby i instytucje. W okresie największych represji atakował Kościół i ś.P. Stefana Kardynała Wyszyńskiego, Armię Krajową, Radio Wolna Europa, Koło Poselskie "Znak", "Solidarność" i in.

Uważam, że redakcja powinna podejść z większym krytycyzmem do wspomnianego tekstu.

Od redakcji:

Z powodu nieobecności Autora w kraju jego odpowiedź zamieścimy w następnym numerze.

Szanowna redakcjo,

do "Kroniki siedleckiej "S" zamieszczonej w 4 numerze "Metrum" wkraść się błąd dotyczący mojej osoby /s. 70, 4 wiersz od góry/. Wicedyrektor departamentu MOiW, Jan Karczewski, w skierowanym do mnie piśmie stwierdził, że straciłam "kwalifikacje i d e o w e " do dalszego wykonywania zawodu nauczyciela a nie "zawodowe" jak napisano w "Metrum".

Siedlce, dn. 12.04.1988

Elżbieta Jędrzejuk

Warszawa, 8.III.1988 r.

Redakcja "Gazety Podlaskiej"

Z ogromnym zaskoczeniem przeczytałem zamieszczony w 4 /20/ numerze "GP" artykuł pt. "Intryga lewaków czy SB". Tekst pełen jest przeinaczeń czy wręcz kłamstw, jak mam nadzieję nie wynikających ze złej woli, lecz niedoinformowania redakcji. Gwoli ścisłości chciałbym sprostować, że:

1. Czterej działacze J.J.Lipski, W. Goldfinger-Kunicki, A.Malanowski, M.Nowicki nie wystąpili z PPS, a jedynie złożyli swoje funkcje.
2. Uchwała programowa pn. "Zasady działania PPS do Zjazdu Statutowego" jest jedynie p r o j e k t e m do dyskusji wewnątrzorganizacyjnej - przyjętym zresztą przez kwalifikowaną większość Rady Naczelnej.
3. Cytowane fragmenty uchwały pochodzą z jednej z wcześniejszych wersji i w obecnym dokumencie takie nie występują.

Szkoda, że "GP" opublikowała artykuł posługujący się argumentami w stylu "Trybuny Ludu".

Ze swej strony przypominam, że Rada Naczelna w porozumieniu z czterema działaczami powołała specjalną obywatelską komisję ds. zbadania kryzysu w kierownictwie PPS.

Członek CKW PPS

Cezary Miżejewski

Do wiadomości:

1. OKW Siedlce NSZZ "Solidarność"
2. Redakcja niezależnego pisma "METRUM"



**NOWE
WIERSZE
ZBIGNIEWA
HERBERTA ss.27-29**

rys. David Levine

CENA 400 zł